

ROZMOWA „DO RZECZY”

Jacek Żalek: LGBT to ideologia,
a nie ludzie. Kropka



Ambasador Georgette Mosbacher
o kulisach rozmów USA i Polski

„W PUSTYNI
I W PUSZCZY”

– MASŁOŃ
BEZ PARDONU
O CENZORACH
SIENKIEWICZA



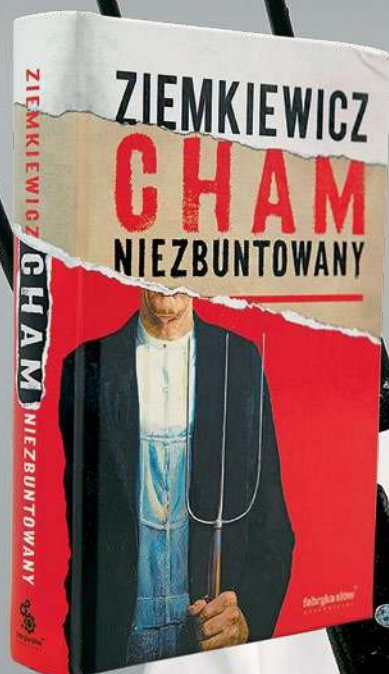
Burzowy czerwiec – gdzie leży
polska Aleja Tornad

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 26/379 22–28 CZERWCA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO
RZECZY



Ziemkiewicz o atakach na siebie i swoją nową książkę:

OSKARŻAM
OSZCZERCÓW

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 59 000 egzemplarzy

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Uciekłem z piekła Korei.
Wywiad z ofiarą
azjatyckiego
bolszewizmu**

Jan Sadkiewicz – W obronie ostatniego króla
Tymoteusz Pawłowski – Porwanie Poniatowskiego
Sławomir Koper – Romans Stanisława z Katarzyną
Jakub Ostromięcki – Pojedyunki snajperów w Stalingradzie
Mikołaj Iwanow – Polska republika sowiecka
Sławomir Cenckiewicz – Powrót Adolfa Bocheńskiego
Piotr Zychowicz – Dlaczego Hitler przegrał ze Stalinem

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Rachunek zysków i strat

Wszystko wskazuje na to – tak przynajmniej wynika z sondaży – że w wyborach prezydenckich dojdzie do drugiej tury i że zmierzą się w niej urzędujący prezydent Andrzej Duda i Rafał Trzaskowski. Ten drugi korzysta na efekcie świeżości, na tym, że wszedł do kampanii

stabilizację władzy, a także jest skuteczną zaporą przed walcem tęczowej rewolucji. Z równym prawdopodobieństwem można przewidzieć, jakie byłyby skutki zwycięstwa jego oponenta.

Pierwszym i najbardziej oczywistym byłaby prawdziwa wojna polityczna w obrębie władzy wykonawczej. Rafał Trzaskowski wyraźnie o tym powiedział w czasie debaty telewizyjnej, kiedy wspominał, że władza prezydenta ma kontrolować inne władze. Absurdalny pomysł twórców polskiej konstytucji, którzy podzielili władzę wykonawczą między premiera i rząd oraz prezydenta, mógłby znowu wydać kolejne, zgubne owoce. Trzaskowski jako prezydent nie tylko by blokował i uniemożliwiał normalne rządzenie, lecz także jest pewne, że będzie toczył z większością sejmową regularną wojnę. W efekcie zamiast rzekomej równowagi będziemy mieli do czynienia z jeszcze większą awanturą i praktycznym paraliżem władzy wykonawczej. Rządzenie sprowadzi się do administrowania. W sytuacji, w której Polsce szczególnie potrzebny jest gabinet zdolny podejmować szybkie decyzje, byłaby to katastrofa. Kryzys nie jest dobrym czasem na eksperymentowanie.

Rafał Trzaskowski nie jest wściekłym ideologiem lewicowym. Jest raczej typowym kunktatorem, człowiekiem chorągiewką, który podąży tam, dokąd zaprowadzi go wiatr historii. Ten zaś wieje w jedną stronę. Dlatego można być pewnym, że w kancelarii Trzaskowskiego, gdyby miał ją –

nie daj, Boże – szansę zbudować, pojawią się ciotki feministycznej rewolucji, aktywiści LGBT oraz wszelkiej maści lewicowi ideologowie. Może mieć to nie tylko wymiar symboliczny – oswojenie z szaleństwem ideologicznym jest pierwszym etapem skutecznej rewolucji. Przyczółek w Kancelarii Prezydenta to dla działaczy lewicy prawdziwa gratka. I jednocześnie poważne zagrożenie dla tożsamości kulturowej i cywilizacyjnej Polski.

Wreszcie można się spodziewać, że wygrana kandydata PO byłaby potężnym ciosem dla obecnej polityki zagranicznej. Mniej lub bardziej skuteczna, jest ona jednak oparta na zasadzie wzmacniania polskiej suwerenności. Warszawa wreszcie nie jest potulnym uczniem Brukseli, nie potakuje ani nie przyjmuje z zadowoleniem decyzji podejmowanych przez mądrzejszych i starszych. Po zwycięstwie Rafała Trzaskowskiego byłoby to już praktycznie niemożliwe. Podległość Unii zostałaby przywrócona, a plany suwerennościowe praktycznie zablokowane. Nad Wisłą znowu panoszyliby się unijni komisarze, którzy, jak to robi obecnie pani Věra Jourová, przywoływaliby do porządku niesfornych uczniów. Polska zostałaby znowu przytroczona do rydwanu postępu. A przynajmniej takie próby byłoby nieporównanie trudniej blokować.

Zanim odda się głos, warto dokonać racjonalnego rachunku zysków i strat. Jego wynik wydaje się, w tej sprawie, łatwy do przeprowadzenia. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



z zaskoczenia i że obudził zniechęconych i rozczarowanych wyborców Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Co oznaczałaby kontynuacja obecnej prezydentury, mniej więcej wiadomo. Niezależnie od swoich wad Andrzej Duda zapewnia



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ANATOMIA OSZCZERSTWA
Atak na „Chama niezbytowanego”

KRAJ

20 ROZMOWA Z GEORGETTE MOSBACHER
DO POLSKI PRZYLECI WIĘCEJ
AMERYKAŃSKICH ŻOŁNIERZY
Ambasador USA: Nie możemy Polsce mówić, co robić

24 TOMASZ ROWIŃSKI
SKUTKI KLĘSKI BIEDRONIA

26 ROZMOWA Z JACKIEM ŻALKIEM
LGBT TO IDEOLOGIA,
A NIE LUDZIE. KROPKA

28 PIOTR SEMKA
UŚMIECHNIĘTY CHŁODEK

31 MAREK JUREK
DOBRO I „WIZERUNEK”
KOŚCIOŁA

32 ŁUKASZ WARZECHA
W CO GRA GAZPROM?

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
ŁOWCY „ŚMIECI”

36 RADOSŁAW WOJTAS
POLSKA ALEJA TORNAD

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
COUNTRY W NASHVILLE,
DISCO POŁO
W MICHAŁOWIE

KULTURA

40 KRZYSZTOF MASŁOŃ
FIOŁKOWE BREDNIE
Przyprawianie gęby
nie tylko Henrykowi
Sienkiewiczowi

44 ROZMOWA Z HENRYKIEM TALAREM
169 CENTYMETRÓW TALENTU

46 PIOTR GOCIEK
ZŁOTO WJETNAMU

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 LIST I ODPOWIEDŹ JOANNY SIEDLECKIEJ
SPÓR O ODOJEWSKIEGO
Literat i Służba Bezpieczeństwa

HISTORIA

58 JEAN RASPAIL
W GÓRĘ BIEGU HISTORII
Fragment książki „Na królewskim szlaku”

ŚWIAT

62 MAŁGORZATA WOŁCZYK
ZNISZCZYĆ MONARCHIĘ
Lewica kontra hiszpańska rodzina królewska

64 PIOTR WŁOCZYK
UPIÓR Z BRUKSELI

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
PODATEK OD OSZCZĘDNOŚCI
Koniec „darmowej” bankowości

70 TOMASZ CUKIERNIK
COVID-OWA (D)OPŁATA

O ZDROWIU

76 KATARZYNA PINKOSZ
BEZ MONITOROWANIA
NIE MA LECZENIA
Telemedycyna w kardiologii i diabetologii

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (60), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), NOWAK (82)

Drodzy Czytelnicy!

Jeśli chcieliby Państwo podzielić się swoimi opiniami na łamach „Do Rzeczy”, to zachęcamy do przesyłania listów. Adres do redakcji znajduje się w stopce obok. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Pandemia czy psychoza?” Tomasz Cukiernik, „DRz” 23/2020

Z ciekawością przeczytałem Pana artykuł „Pandemia czy psychoza?”, natomiast uważam, że sformułowania z ostatniego wiersza tego artykułu są mocno rozbieżne z rzeczywistością i wymagają komentarza.

Uważam to za o tyle ważne, że ostatnie zdania są jakby syntezą całego artykułu. „We Włoszech, Francji czy w Belgii przede wszystkim zarażali się ludzie starsi żyjący w domach opieki. Większość pozostałych mogła normalnie żyć i pracować”.

I właśnie o tę większość zwłaszcza we Francji i Włoszech, która ponoć mogła „normalnie żyć i pracować”, mi chodzi. Bo niestety wcale nie mogła ani żyć, ani pracować normalnie. Chciałbym odnieść się tutaj bezpośrednio do doświadczeń z Francji i Włoch. Miałem tę przyjemność bezpośredniego kontaktu z moimi współpracownikami mieszkającymi w tych dwóch krajach, z którymi w czasie trwania pandemii wymienialiśmy się doświadczeniami o rozwoju sytuacji, a w zasadzie o najnowszych restrykcjach, ograniczeniach, które wprowadzały nam nasze rządy. I tak w przypadku Francji, o czym – o dziwo – bardzo mało się u nas mówi, restrykcje w kwestii przemieszczania się zostały wprowadzone do limitu 500 m od miejsca zamieszkania tylko do zaspokojenia niezbędnych potrzeb życiowych. A przy przemieszczaniu się poza wyznaczoną granicę należało mieć przy sobie wypełnioną przez siebie deklarację ze wskazaniem zdefiniowanych niezbędnych potrzeb (takich jak wizyta u lekarza, pracodawca potwierdzający, że praca zdalna jest niemożliwa), którą to deklarację kontrolująca policja miała za zadanie kolekcjonować, zakładam, że w celu weryfikacji, czy osoba nie nadużywa wyjątkowych okoliczności do łamania obostrzeń. Również restauracje, sklepy i wszelkie usługi pozostały zamknięte w takim stopniu jak w Polsce, jeśli nie większym. Otwieranie restauracji we Fran-

cji następuje dopiero w tym tygodniu [list nadesłany 3 czerwca – przyp. red.], a ich zamknięcie, podobnie jak cały lockdown, nastąpiło chyba z tygodniowym przesunięciem w porównaniu z Polską. Również zniesienie ograniczeń przemieszczania się nastąpiło w czasie, kiedy w Polsce już chodziliśmy po centrach handlowych, a restauracje i bary ponownie otworzyły swoje podwoje. Widoczna różnica wystąpiła też w przypadku firm przemysłu ciężkiego, gdzie zarówno we Francji, jak i we Włoszech niektóre firmy zostały czasowo zamknięte lub znacząco ograniczyły prace ze względu na kwarantannę personelu lub przypadki stwierdzonego koronawirusa wśród pracowników. Znamienne jest, że kilka dni przed lockdownem przypominam sobie protesty żółtych kamizelek, które ot, tak sobie zamilkły wraz z ogłoszonym lockdownem! Dość dużym zaskoczeniem było dla mnie to, gdy podczas zesłotygodniowej rozmowy wymienialiśmy się najnowszymi informacjami o znoszeniu obostrzeń i że w Polsce odbywa się to w określonych fazach, a od kolegi z Francji usłyszałem, że nasz rząd miał plan, konsekwentnie go komunikuje i realizuje, czego on nie może powiedzieć o swoim... Jakoś dziwnie stanął mi wtedy przed oczami nie tak dawny news (prawdopodobnie z końca kwietnia) z pewnej naszej gazety, który przedstawiał sytuację zupełnie odwrotną – jak to świetnie obywatele wszystko wiedzą od swojego rządu we Francji, który ma plan i go konsekwentnie prowadzi. Komu zatem wierzyć? Nie protestowałem jednak, gdy kolega tak mówił...

Uważam, że jeśli już ulegliśmy psychozie, to nie byliśmy sami, i to stwierdzenie należy rozszerzyć na większą część Europy. A już na pewno nie można powiedzieć, że we Francji i Włoszech większość mogła normalnie żyć i pracować.

Z pozdrowieniami
Konrad R.

Od autora

Panie Konradzie R.,
dziękuję za list. Żle Pan zrozumiał te ostatnie zdania mojego artykułu, które były skrótem myślowym. Nie miałem na myśli tego, że w tych krajach nie było obostrzeń, ale to, że gdyby do sprawy podeszść racjonalnie, należało izolować osoby starsze, a pozostałym pozwolić normalnie żyć i pracować.

Pozdrawiam
Tomasz Cukiernik



ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batony Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

Stali współpracownicy i felietniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenciewicz, Wiesław Chelminiak,
Dominika Ćosić (Bruksela), Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabanowski,
Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka,
Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małkowski, Monika Małkowska,
Karolina Marchewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,
Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzry, Sandra Skibniewska, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tasiński,**
Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Trzacyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz,**
Agnieszka Wasilewska
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Robert Gardziński**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batony Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rylczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 59 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detailed ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością
karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

NA PIERWSZY OGIEŃ

Eksperymenty profesora Kentlera



PIOTR SEMKA

Za namową naukowca badającego resocjalizację pedofilów berliński Jugendamt oddawał w przeszłości dzieci pod opiekę pedofilów – donoszą niemieckie media. Sprawa nie wyszłaby na jaw, gdyby nie dwaj dorośli mężczyźni, którzy po długim czasie zdecydowali się opowiedzieć, jak latami jako dzieci byli wykorzystywani seksualnie przez Fritza H., przydzielonego im oficjalnie opiekuna. Ta opowieść brzmi jak jakiś koszmarny sen, ale zdarzyła się naprawdę.

Oto 30 lat temu berliński urząd do spraw młodzieży wszedł w niejawną kooperację z prof. Helmutem Kentlerem – niegdysiejszym „dzieckiem rewolty '68” – który od lat studenckich starał się zrelatywizować pedofilię poprzez teorie o ukrytym seksualizmie dzieci. Kentler, tak jak wielu jego towarzyszy, przeszedł drogę od radykalnych grup do pozornie szacownej pozycji eksperta do spraw pedagogiki socjalnej na uniwersytecie w Hanowerze. Gdy przeniósł się do Berlina, dzięki wspólnej rewolucyjnej młodości

nawiązał dobre kontakty z lokalną administracją. Jego eksperyty wykorzystywano w postępowaniach dotyczących spraw rodzinnych. I to właśnie Kentler przekonał władze Berlina do uruchomienia eksperymentalnego projektu, w ramach którego dzieci z domów dziecka oddawano pod opiekę także osobom o skłonnościach pedofilskich. To on wyszukiwał opiekunów, był też ich doradcą. Kentler miał oddać pod opiekę pedofilów co najmniej trzech chłopców. Później chwalił ich zaangażowanie, pisząc: „Było dla mnie jasne, że ci mężczyźni robili tak dużo dla swoich podopiecznych, bo utrzymywali z nimi stosunki seksualne”.

Jak pisze portal Deutsche Welle: „Sprawa nie jest nowa. Dzienniki tygodnika »Der Spiegel«, a także dziennika »Die Tageszeitung« ujawnili ją już w 2013 r. W 2016 r. władze Berlina zleciły opracowanie raportu, który miał wyjaśnić tę bulwersującą historię”. Lata mijają, ale nie udało się uzyskać odpowiedzi na kluczowe pytania: „Ile dzieci zostało oddanych pod opiekę pedofilom?”

i „Kiedy faktycznie zakończono projekt?”. Nie wyjaśniono też, dlaczego jeszcze w latach 90. berliński Jugendamt nie reagował na czytelne sygnały wskazujące, że Fritz H. mógł wykorzystywać seksualnie swoich podopiecznych. Jak pisze „Spiegel”, Kentler używał swoich wpływów w berlińskim Jugendamcie, aby neutralizować niepokojące sygnały dotyczące zachowania opiekuna. Sprawę tym łatwiej zamieść pod dywan, że Helmut Kentler zmarł w 2008 r. podobnie jak jego berliński podopieczny – pedofil Fritz H.

Ciała historia pokazuje ponure żniwo rewolucji seksualnej 1968 r. I przy okazji pomaga zrozumieć, dlaczego śledztwo tak długo stoi w miejscu. Osoby odpowiedzialne za eksperymenty na dzieciach wciąż mogą być silne i wpływowe. Weterani rewolty '68 mają dziś po 70 lat i mieli czas na zniszczenie kompromitujących dokumentów. I nikt nie robi na ich temat filmów fabularnych. Dlaczego? Na to pytanie odpowiedz już sobie sam, drogi czytelniku. ©©



FOT. FASAL KHAN/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

ZBROJNE STARCIE W HIMALAJACH

Nawet 20 indyjskich wojskowych mogło zginąć w starciach z chińskimi siłami na spornej granicy indyjsko-chińskiej w Ladakhu. Spór o wciąż nieuregulowaną granicę oba kraje prowadzą od zakończenia wojny w 1962 r. Ubiegłotygodniowe starcie było pierwszym od 45 lat, w którym zginęli ludzie. – Indie chcą pokoju, ale potrafią zareagować, gdy zostaną sprowokowane – oświadczył w śróde premier tego kraju Narendra Modi. Władze Chin zapewniają, że chcą „uspokojenia napięcia”. Z propozycją mediacji wystąpił prezydent USA Donald Trump. (jap) ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kwestia smaku

Symetria jest estetyką głupców – powiedział pewien sławny malarz – a ja zawsze do tego dodaję, że także ich mądrością, czy raczej „mundością”. Frazes „prawda leży pośrodku” stworzyli i upowszechnili ludzie, którzy z powodu lenistwa albo ignorancji nie potrafią sobie wyrobić własnego poglądu w różnych sprawach i po prostu wygodnie jest im wyświechtaną formułką przyznawać rację obu stronom sporu, zarazem obu jej odmawiając.

PiS nie jest wolny od zła, ale jest to zło zupełnie inne niż w przypadku Platformy

Nie inaczej jest ze szczególnie odmianą tej „mundości”, jaką jest zrównywanie obu stron toczzonej o Polskę wojny tożsamościowej. Mało rzeczy wydaje mi się głupsze niż hasło „PiS-PO, jedno zło”. Owszem, PiS nie jest wolny od zła, ale jest to zło zupełnie inne niż w przypadku PO i liberalno-lewicowego Salonu, którego polityczną emanacją ona stanowi.

Miniony tydzień przyniósł tu kolejny przykład. Przed Sejmem podpalił się człowiek. „Gazeta Wyborcza” już zachłysnęła się tą wiadomością, licząc, że zyskała przed wyborami kolejnego

„męczennika”, już pojawiły się komentarze w duchu: „PiS znowu ma krew na rękach”... I szybko zamilkły, bo okazało się, że samobójca (miejmy nadzieję, że niedoszły) to rolnik, zrujnowany przez wyroki sądowe, którego desperacki czyn był protestem przeciwko niesprawiedliwości „kasty”.

Nie wiem, czy ten człowiek, którego nazwiska nie ujawniono, miał prawo uważać się za pokrzywdzonego. Wiem, że – podobnie jak wtedy, gdy pod kancelarią Donalda Tuska podpalił się za rządów PO-PSL Andrzej Żydek – nikt po umownej „prawej” stronie nie próbował urządzać analogicznej hucpy, jaką zrobiła lewica na grobie zabitego przez depresję endemiczną Piotra Szczęsnego.

Podobnie jak nie sposób sobie wyobrazić, by do przemawiającej postanki Nowackiej ktoś z „PiS-owskich” ław krzychał: „Zadzwonić do matki!”. Podobnie jak nikt nie próbował po śmierci prof. Szyszki hucpy przeciwko opluwającym go do ostatniej chwili lewicowym mediom, tak jak PO robi to do dziś w związku z zamordowaniem przez szaleńca prezydenta Adamowicza, choć media PO atakowały nieprawidłowości jego rządów równie, a może nawet bardziej zajadłe niż TVP.

Zdecydowanie poczucie przyzwoitości nie zostało w polskiej polityce podzielone równo i o żadnej symetrii w zachowaniach lewicy i prawicy mowy być nie może. ©

Z głębokim żalem zawiadamiam,
że dnia 5 czerwca 2020 roku zmarł w Londynie



płk Marian Tomaszewski

urodzony 13 lipca 1922 roku w Przemyślu.

W listopadzie 1939 roku po aresztowaniu przez NKWD, następnie zesłany do Karagandy w Kazachstanie.

Po amnestii, w sierpniu 1941 roku w Buzutuku wstąpił ochotniczo do Armii Polskiej formowanej w ZSRR.

W lipcu 1942 roku ukończył Szkołę Podchorążych Broni Pancерnej przy 6. Dywizji Piechoty w Shahrissabz w Uzbekistanie.

Jako dowódca czołgu w 6. Pułku Pancernym

„Dzieci Lwowskich” w składzie 2. Warszawskiej Brygady Czołgów przeszedł cały szlak bojowy

2. Korpusu Polskiego w kampanii włoskiej. Uczestniczył w walkach frontowych z Niemcami o Monte Cassino, Piedimonte San Germano, Ankone i Bolonię.

W kwietniu 1945 roku awansowany do stopnia podporucznika.

Po wojnie pozostał na emigracji w Wielkiej Brytanii, gdzie aktywnie włączył się w działalność niepodległościową i kombatancką.

Ukonorowany między innymi Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Monte Cassino, Medalem Pro Bono Poloniae oraz innymi odznaczeniami polskimi i zagranicznymi.

Cześć Jego pamięci!

**Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych**



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Pomnik Nieznanego Idioty

Dawno temu w zbiorze czytanek do nauki angielskiego natknąłem się na anegdotkę, która – nie wiedzieć czemu – pozostała mi w pamięci do dziś, choć byłem wtedy dzieckiem. Amerykanin wybrał się do Szkocji na zwiedzanie tamtejszych zamków. Po jednym oprowadzał go dumny właściciel. W pewnym momencie gość przez okno zobaczył majaczące w oddali baszty innego zamku, więc spytał, kto tam mieszka.

dostępnej informacji, motorem działań odmóżdżonych ikonoklastów w najbardziej ucywilizowanych, najbogatszych krajach świata. Światowe media pokazały zdjęcie sprzed Kapitolu Minnesoty w Saint Paul. Z cokołu strącono pomnik Krzysztofa Kolumba, a fotka pokazuje bardzo z siebie zadowolonych czterech młodych sprawców. Jeden stanął na cokole z uniesioną do góry zaciśniętą pięścią. Tak właśnie powstał portret Pomnika Nieznanego Idioty.

Kolumb z pewnością aniołem nie był. Był za to nieodrodnym synem swoich odległych, nierzadko okrutnych czasów. Do Amnesty International ani do Ligi Walki z Rasizmem należeć nie mógł. Nie mógł też zapoznać się z Powszechną deklaracją praw człowieka ONZ. Wiele z tego, co się dziś dzieje w związku z policyjnym mor-

dem, którego ofiarą padł George Floyd, nieodparcie kojarzy się ze współczesnym ikonoklazmem Czerwonych Khmerów, hunwejbiniów i talibów: historię, z którą trudno dać sobie radę, należy zniszczyć jako niesłuszną i proklamować „Rok Zero” w imię idei „Historia zaczyna się od nas”.

Co zupełnie nie zmienia faktu, że rasizm i antysemityzm nadal istnieją i są hańbą naszych czasów. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Pojedynki prawie prezydenckie

Zanim w Telewizji Polskiej odbyła się (para)debatą wyborczą, na Twitterze starło się dwóch zawodników wagi ciężkiej. Z tym że jeden w wyborach nie startuje, ale to detal. „Prezydent Rzeczypospolitej powinien dbać o jej reputację. Andrzej Duda robi wszystko, aby ją zrujnować. Jego kampania to wstyd na cały świat” – zaczął delikatnie Donald Tusk.

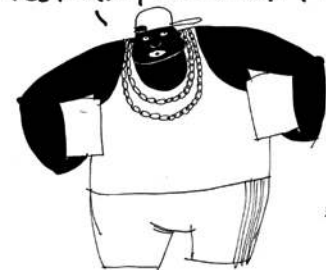
„**Panie Donaldzie**, miał Pan okazję wystartować w wyborach i prowadzić swoją kampanię. Był Pan dwukrotnie namawiany, by się ze mną zmierzyć, przez swoje środowisko. Wolał się Pan jednak schować za plecami MKB, a później RT. Wie Pan, jak się na taką postawę mówiło na podwórku? Cykor...” – odpowiedział mu subtelnie Andrzej Duda. Nie musieliśmy długo czekać na kontre ze strony byłego szefa PO. „Panie Andrzeju, interesowała mnie konfrontacja z pańskim przełożonym. Ale, jak to mówią na podwórku...” – stwierdził Tusk.

Ostatnie słowo należało jednak do urzędującego prezydenta. „Panie Przewodniczący, z moim Mistrzem, moim Prezydentem skonfrontował się Pan w 2005 roku. I przegrał Pan smrotnie... A co było potem, wszyscy pamiętamy” – zamknął dyskusję Duda. I może na tym powinna się zakończyć, gdyby nie wpis Cezarego Tomczyka. „Pana Mistrz przegrał w 2010” – rzucił polityk, który po chwili tweeta wykasował. Jak to się jednak mówi, „niesmak pozostał”.

Jeśli chodzi o prawdziwą debatę, jeśli państwo przegapili ten wiekopomny wieczór, z telegraficznym skrótem spieszy Mateusz Maranowski. „PAD – poprawnie. RT – poprawnie. Hołownia – sprawnie, ale bez sensu. KK – zbyt nerwowo. Bosak – poprawnie, ale do swoich. Biedroń najgorzej. Reszta – maskotki. Mucha wygrała. TVP przegrała. Kolejna nudna debata. Jeszcze pik od J. Kurskiego i lulu” – podsumował dziennikarz.

Zapomniał jednak, że gdzieś w tle wielkiej polityki działa się nie mniejsze dramaty demokracji. „Szانونi Państwo, z przykrością informujemy, że sonda już na obecnym etapie jest nieważna. Wykryliśmy strumień 600 botów. Nie zdejmujemy jednak sondy, żeby nie dawać pretekstu do kłamliwych zarzutów wobec TVP” – ogłosiła TVP Info. Oczywiście zupełnym przypadkiem „anulowaną” sondę wygrał Rafał Trzaskowski. ©©

Kradzież nie jest to zwykły wandalizm
a warty głos w dyskusji o przemoc,
rasizmie, ekonomicznych i wielokulturowościach...*



* cytuję z tekstu
Jaśka Radomskiego
„Krytyka Polityczna”

c e z a x y k r 7 3 2 5 0 0 e

Szkot spurpurowiał, a potem podniesionym głosem wyjaśnił: „Tam mieszka rodzina rzezimieszków i i okrutników, jakich mało. Niech pan nawet tam nie patrzy. Mojemu krewnemu połamali wszystkie kości, wylupili oczy, a w końcu obcięli mu głowę”. „Jak to? Kiedy?” – pyta Amerykanin. „W 1123 r”.

Nie sądziłem, że po latach sedno tego w końcu średniej klasy niewinnego żartu – myślenie (?) ahistoryczne – stanie się dziś, w dobie powszechnie

Ważna wiadomość na finiszu kampanii. Nie wiemy, czy oglądacie Tefaueny24. A jeśli oglądacie, to nie wiemy, czy zwróciliście uwagę na to co my. Otóż ostrze krytyki tej stacji wymierzone w dobrą zmianę bardzo się ostatnio stępiło. Co bardzo nas zaintrygowało i postanowiliśmy zasięgnąć złych języków. Tym razem przy Wiertniczej. I jakież było nasze zdumienie, kiedy okazało się, że nie tylko my zwróciliśmy uwagę na tajemniczą przemianę.

Wygląda na to, że walkę wybotczą rozstrzygnie to, który sztab bardziej zaszkodzi swojemu kandydatowi...



będzie można protestować przeciw, ale bez narażania się na zarzuty homofobii.

Oto, co usłyszeliśmy. Otóż kowboje – a tego określenia używa się wobec amerykańskich właścicieli stacji – mieli wyrazić oczekiwanie, że stacja będzie informować obiektywnie i zachowywać równe odległości do obu stron sporu politycznego w Polsce. Nieszczęśni pracownicy Tefauenów czują się więc jak scjentolodzy, którym kazano nagle reklamować papieża. Gorzej nawet. Podobno padła też delikatna sugestia, że szczególnie najbliższa wizyta prezydenta Andrzeja Sebastiana w Białym Domu nie powinna być relacjonowana ze szkodą dla amerykańskich interesów. Nie możemy się doczekać.

Apropos telewizji. Podczas naszej ostatniej wizytacji w KPRM odkryliśmy, że w zadziwiająco wielu odbiornikach telewizyjnych oglądany jest Polsat News. Na miejscu kolegów z TVP Info bylibyśmy jednak ciut urażeni.

Przy okazji. Dobrzy z nas ludzie, więc pomagamy. Przekazujemy niniejszym gorącą prośbę z pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana. Prośba dotyczy tego, żeby rozmaici domorośli PiS-owscy homożercy przestali pomagać w kampanii, bo Andrzej Sebastian poradzi sobie w tej materii doskonale sam. Bez osobników, którym włączył się tryb nieśmiertelność łamane na tarczyńskizm. Tak, jednym z adresatów jest poseł Czarnek.

Skoro już na agendzie jest LGBT, to chcieliśmy zauważyć, że można ten skrót rozszyfrowywać nieco inaczej, niż się to przyjęło. Właściwie dlaczego mielibyśmy pozwolić na to, żeby ktoś nam ukradł kawałek alfabetu? I dlaczego wszystko ma się kojarzyć z seksem? Nie może z polityką? Proponujemy: Lubnauer Grabiec Budka Trzaskowski. Też

Zlekkim zakłopotaniem przyjęliśmy tezę Jacka Wilka z Konfederacji o tym, że PiS to żydokomuna. No bo pamiętamy, że PiS to antysemita, tak przynajmniej naucza sekta z Czerskiej i „Lisweeka”. Zastanawiają nas konsekwencje takiej wilczej interpretacji sceny politycznej. Jeśli PiS to żydokomuna, to w takim razie czym jest PeŁo? Sprawdzamy w podręcznikach i wychodzi na to, że najbardziej żydokomuna nie lubiła endecja. Ergo: PeŁo to endecja. Ale się Roman ucieszy!

Jest gorzej. Uświadomił nam to piłkarz nożny Damien Perquis. Ów urodzony we Francji wnuk polskiej emigrantki grał kiedyś w biało-czerwonej reprezentacji. Ale przestał. „Ze względów politycznych” – oświadczył ostatnio. „Nie było już

klimatu do powoływania piłkarzy z podwójnym obywatelstwem”. Sprawdziliśmy. Perquis grał w reprezentacji w latach 2011–2012. Niestety, kochani, w chwili, gdy przestano go powoływać, rządziła PeŁo, a premierem był Donald Tusk. Ergo: PeŁo to nie tylko endecja, to także ksenofobia.

Napisał do nas Adam „Jeszcze Rzecznik Praw Obywatelskich” Bodnar. Napisał wewnątrz książki, którą wydał, bo przyszła z dedykacją. „Z podziękowaniem za zainteresowanie książką »Obywatel PL« oraz z życzeniami dobrej lektury” – napisał. Za późno. Zdążyliśmy już wcześniej przeczytać. Efekt? Ani dobrej lektury, ani zainteresowania.

Zauważyliście cudowne zniknięcie ulubionego tematu Eine Totalopposition, czyli zbrodni Pancernego Banasia? Otóż złe języki mówią, że prezes NIK dogadał się z PeŁo. Przez resztę kadencji będzie wysyłał swoich siepaczy (dla niepoznaki zwanych kontrolerami) wszędzie, gdzie może sprawić problemy dobrej zmianie. Na początek idzie Poczta Polska oraz kontrola zapobiegania i zwalczania koronawirusa. Auć!

Aco w zamian? Otóż PeŁo miała podobno się dogadać z Marianem tak: co prawda nadal będą bardzo przeciw jego pancernej osobie, ale tylko do momentu, kiedy sprawa się przedawni. Niemożliwe? Otóż nie do końca. Jak niedawno odkryto, Pancerny Marian powinien mieć zarzuty identyczne jak kiedyś Kapica w sprawie zwalczania mafii hazardowej. I wiecie co? Otóż Kapicy się przedawniło. Smutekczek.

Wracając do koronawirusa. Wiemy już, z czego składa się Parlament Europejski. Nie, wcale nie z europarlamentarzystów. Otóż PE składa się z wątpliwości. Dowiedzieliśmy się tego z e-mailingowej akcji informacyjnej „Parlament Europejski walczy ze skutkami pandemii”. E-maile promujące bohaterską działalność PE składają się bowiem z ładnego obrazka oraz zapytania: „Miliardy euro pomogą w walce ze skutkami pandemii?”. Gdyby było nas stać, sfinansowalibyśmy akcję informacyjną „Parlament Europejski jest jeszcze do czegoś potrzebny?”. ©©

dwaj panowie g



FOT. ROBERT CAROZINSKI



Polacy nie muszą już chodzić do oddziałów banków, bo większość operacji mogą wykonać za pomocą bankowości internetowej, mobilnej czy telefonicznej. Właściciele Profilu Zaufanego przez Internet są w stanie załatwić większość spraw urzędowych. Z kolei za pomocą aplikacji Moje NBP można łatwo sprawdzić bieżące i historyczne kursy walut, a także aktualności dotyczące polityki pieniężnej

E-usługi ułatwiają życie Polaków



Coraz bardziej popularne stają się także przelewy na telefon, dzięki którym można przelać komuś pieniądze, nie znając numeru jego konta. Niektóre instytucje finansowe pozwalają zaś rozbić konkretny rachunek na kilka osób, co ułatwia e-zrzutkę np. na wspólny prezent czy wspólne wyjście do restauracji.

Co istotne, kolejne banki wprowadzają również udogodnienia, które pozwalają korzystać z bankowości elektronicznej również osobom niepełnosprawnym, w tym słabowidzącym i niewidomym. Wywołana pandemią koronawirusa konieczność społecznej izolacji sprawiła, że banki jeszcze chętniej promowały np. zakładanie kont bez konieczności wychodzenia z domu (np. poprzez selfie). Szybki rozwój sektora e-commerce sprawił, że bankowcy błyskawicznie zdali sobie również sprawę z tego, iż klient kupujący towar przez Internet niechętnie będzie po kredyt szedł do oddziału. W wielu bankach również umowy kredytowe można więc już zawierać zdalnie. Przez Internet można także założyć lokatę czy zamówić kartę kredytową.

W świecie smartfonów, tabletów i hybrydowych laptopów przybywa również pozabankowych aplikacji finansowych. Ułatwiają one m.in. zarządzanie domowym budżetem, umożliwiają zrobienie porządku z setkami faktur i paragonów, trzymanie w jednej aplikacji wszystkich kart lojalnościowych oraz tworzenie ułatwiających oszczędzanie pieniędzy list zakupów.

MOJE NBP

Jeszcze przed wybuchem pandemii swoje bezpłatne aplikacje udostępniły internautom takie instytucje jak Narodowy Bank Polski, Komisja Nadzoru Finansowego czy Ministerstwo Finansów. Aplikacja Moje NBP umożliwia szybki dostęp do najnowszych wiadomości, np. wyników przetargów sprzedaży bonów pieniężnych, najświeższych danych o bilansie płatniczym Polski, a także informacji o wydarzeniach organizowanych przez NBP i Centrum Pieniądza NBP. Moje NBP pozwala także sprawdzić bieżące i historyczne kursy walut, a także aktualne informacje o polityce pieniężnej oraz raporty i analizy ekonomiczne NBP. Przydatnym narzędziem jest również kalkulator walutowy. Poszukujący wiedzy o polskim banku

Jeszcze przed wybuchem pandemii banki w Polsce chętnie rozwijały nowe e-usługi, które ułatwiają Polakom zdalny dostęp do banków oraz urzędów. Dostęp do konta za pomocą komputera stał się już standardem. Według danych ZBP w IV kwartale 2019 r. 37,41 mln klientów indywidualnych miało dostęp do bankowości internetowej.

Większość banków oferuje już także usługi bankowości mobilnej (według ZBP w IV kwartale 2019 r. było 12 mln aktywnych użytkowników aplikacji mobilnych), dzięki której bardzo

wiele spraw można załatwić za pomocą smartfona w dowolnym miejscu i o każdej porze dnia i nocy. Banki umożliwiają więc m.in. sprawdzenie salda, historii i przelewów oraz zdalną zmianę limitów transakcji. Żeby zwiększyć wygodę, banki umożliwiają płatności zbliżeniowe nie tylko za pomocą tradycyjnych kart, lecz także poprzez telefon czy przy użyciu smartwatchów i inteligentnych opasek fitness. Z kolei by poprawić bezpieczeństwo transakcji zawieranych przez Internet, do oferty wprowadzają m.in. karty wirtualne.

FOT. ADRIAN STOK

■ centralnym znajdą w aplikacji informacje o zasadach działania NBP i Rady Polityki Pieniężnej. Kolekcjonerzy docenią sekcję dotyczącą emisji monet okolicznościowych oraz banknotów kolekcjonerskich, a także sekcję poświęconą polskim banknotom i monetom obiegowym (można sprawdzić, jak wyglądały banknoty przed modernizacją zabezpieczeń).

Posiadacze urządzeń mobilnych mogą korzystać z bezpłatnej aplikacji KNF Alert, która umożliwia szybkie wyszukiwanie podmiotów znajdujących się na liście ostrzeżeń publicznych Komisji Nadzoru Finansowego oraz przeglądanie aktualnej bazy podmiotów nadzorowanych. Aplikacja może również wysyłać powiadomienia m.in. o nowych podmiotach wpisanych na listę ostrzeżeń, zmianach w bazie podmiotów oraz o komunikatach wydanych przez KNF (np. w sprawie podjętych decyzji, nałożonych kar pieniężnych czy w kwestii zagrożeń dotyczących inwestycji w konkretne produkty, np. w weksle inwestycyjne). Aplikacja umożliwia także dostęp do słownika terminów, który zawiera takie hasła jak np. „agent rozliczeniowy”, „akceptant”, „doradca inwestycyjny”, „instrument płatniczy”, „płatnik”, „zakład reasekuracji” etc.

Z kolei Ministerstwo Finansów stworzyło bezpłatną aplikację e-Sprawozdania Finansowe, która służy do odczytywania sprawozdań finansowych sporządzonych w formacie XML. Umożliwia ona użytkownikom najpopularniejszych przeglądarek internetowych wprowadzenie danych do sprawozdania finansowego, zapisanie wprowadzonych danych sprawozdania finansowego, otwarcie zapisanego sprawozdania finansowego, przygotowanie przez podmioty składające sprawozdania finansowe do Szefa Krajowej Administracji Skarbowej i podpisanie wysyłki do Szefa KAS sprawozdania finansowego wraz z dokumentami dodatkowymi, a następnie pobranie Urzędowego Poświadczenia Odbioru.

TOŻSAMOŚĆ? NA BANK

Innowacyjność polskiego sektora bankowego wspomogła również szybki rozwój e-administracji. W kwietniu 2020 r. Profil Zaufany miało już ponad 6 mln Polaków. Rekordowy wynik nie byłby możliwy do osiągnięcia, gdyby nie banki. To za pomocą nowoczesnych



systemów bankowości internetowej internauci mogą bowiem potwierdzać swoją tożsamość bez konieczności osobistego odwiedzania urzędów.

Czym jest Profil Zaufany? To bezpłatne narzędzie umożliwiające weryfikację tożsamości w kontaktach z administracją publiczną za pośrednictwem Internetu i elektroniczne podpisywanie dokumentów wysyłanych do urzędu. Umożliwia złożenie wielu urzędowych wniosków o dowolnej porze i bez wychodzenia z domu. Za pomocą e-usługi możliwe jest np. zgłoszenie urodzenia dziecka, zdalne zameldowanie lub wymeldowanie czy złożenie wniosku o odpis aktu stanu cywilnego. Cyfrowo można również np. złożyć wniosek o e-dowód, zgłosić utratę dowodu czy prawa jazdy, zawiadomić urząd o sprzedaży samochodu, dopisać się do spisu wyborców, zarejestrować działalność gospodarczą w CEIDG, zawniioskować o odpisy aktów stanu cywilnego, a także podpisać oraz wysłać pismo do urzędu w dowolnej sprawie.

Posiadacze Profilu Zaufanego zyskują dostęp do Elektronicznej Platformy

Usług Administracji Publicznej (ePUAP). To bezpłatna platforma do kontaktu z urzędami, przez którą można wysyłać wnioski oraz odbierać urzędowe pisma. Korzystając z niej, można sprawdzić zeznanie podatkowe, zgłosić spadek lub darowiznę, otrzymać zaświadczenie o niekaralności, złożyć wniosek o kartę EKUZ, sprawdzić stan składek w ZUS. W przypadku braku formularza dotyczącego danej sprawy można również wysłać pismo ogólne. Z kolei usługa eSkrzynka umożliwia odbieranie elektronicznej wersji listów poleconych bez konieczności czekania na listonosza czy stania w kolejce do okienka na pocztę (można w ten sposób odbierać wszystkie listy polecone oprócz przesyłek z sądów, prokuratury i innych organów ścigania czy od komorników sądowych).

Profil Zaufany można łatwo założyć, korzystając z kont bankowości internetowej oraz przez należącą do Poczty Polskiej platformę Envelo. Aby potwierdzić tożsamość bez pośrednictwa systemu bankowego, należy: albo posiadać e-dowód wraz ze specjalnym czytnikiem (fizycznie podłączanym do komputera



Procedury związane z opieką zdrowotną ułatwia też wspomniane Internetowe Konto Pacjenta. Jest to cyfrowa platforma, która umożliwia pacjentom wgląd w swoje dane medyczne oraz m.in. wystawione e-recepty. Dzięki IKP można szybko i bezpłatnie uzyskać dostęp do danych dotyczących własnej historii zdrowia oraz historii zdrowia członków rodziny, np. niepełnoletnich dzieci. Znajdują się tam m.in. dane wystawionych wcześniej e-recept wraz z zaleconym dawkowaniem leków, informacje o e-receptach już zrealizowanych (wraz z ceną zakupu danego leku oraz kwotą refundacji) oraz historia wizyt lekarskich w ramach Narodowego Funduszu Zdrowia. Konto umożliwia także udostępnienie informacji medycznych konkretnemu lekarzowi, a także członkom rodziny.

Aby zrealizować e-receptę, nie trzeba mieć smartfona ani aplikacji mObywatel (choć stanowi ona duże ułatwienie). Receptę w postaci elektronicznej można otrzymać w jednej z kilku wersji: SMS-a z 4-cyfrowym kodem dostępu (do jej realizacji niezbędny jest numer PESEL pacjenta) lub e-maila z plikiem PDF, w którym zapisane są dane recepty. Lekarz może też wystawić e-receptę w formie wydruku z danymi recepty – z tej wersji mogą korzystać wszyscy pacjenci, bez względu na to, czy są zarejestrowani w IKP, czy nie. IKP daje również dostęp do e-zwolnienia (są one obowiązkowo wystawiane od 1 grudnia 2018 r.) i e-skierowania (ta forma stanie się obowiązkowa od 8 stycznia 2021 r.).

W cyfryzację inwestuje także Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Logując się do Platformy Usług Elektronicznych ZUS, można np. zweryfikować składki przekazane przez pracodawcę, sprawdzić stan konta emerytalnego i składki przekazane do OFE, historię zwolnień lekarskich, złożyć wniosek o świadczenie z programu „Rodzina 500+” czy obliczyć prognozowaną wysokość emerytury. Przedsiębiorcy z kolei mogą np. sprawdzić dane osób zgłaszanych do ubezpieczeń oraz przejrzeć swoje zestawienia deklaracji i wpłat, sprawdzić zwolnienia lekarskie pracowników, a także zgłosić i wyrejestrować osoby ubezpieczone. Założenie konta możliwe jest z poziomu strony internetowej ZUS, a do korzystania z niego niezbędne jest posiadanie Profilu Zaufanego lub e-dowodu.

lub w postaci stworzonej przez Polską Wytwórnę Papierów Wartościowych aplikacji eDO App), albo po wypełnieniu wniosku w serwisie Profilu Zaufanego (www.gov.pl/web/gov/zaloz-profil-zaufany) osobiście zgłosić się do jednego z blisko 1,5 tys. punktów potwierdzających: banku lub urzędu.

Życie ułatwić może również mObywatel – bezpłatna aplikacja wydawana przez polski rząd, która oferuje dostęp do sześciu urzędowych e-usług. Jednym z elementów aplikacji mObywatel – do której uruchomienia niezbędne jest posiadanie Profilu Zaufanego – jest mTożsamość, czyli elektroniczna forma dowodu osobistego. Chociaż nie zastępuje tradycyjnego dokumentu, to za pomocą aplikacji można potwierdzić tożsamość na pocztce, w niektórych hotelach czy podczas kontroli biletów w pociągu (u wybranych przewoźników).

Kolejną częścią aplikacji mObywatel jest mPojazd, czyli moduł przechowujący dane z dowodu rejestracyjnego i polisy OC pojazdu należącego do posiadacza aplikacji. Planowane jest również uruchomienie modułu, który zawierać będzie

informacje o naszym prawie jazdy. Z kolei moduł „Polak za granicą” zawiera najważniejsze informacje publikowane przez MSZ, polskie ambasady i konsulaty (m.in. zalecenia lub ostrzeżenia dotyczące podróży czy dane kontaktowe polskich placówek dyplomatycznych).

MOBYWATEL I E-PACJENT

Z aplikacji mObywatel mogą korzystać również uczniowie i studenci, których legitymacje szkolne i studenckie przechowywane są w telefonie w formie mLegitymacji. Jedną z zalet posiadania aplikacji mObywatel jest także możliwość realizacji recept elektronicznych. Moduł eRecepta dostępny w smartfonie powiązany jest z Internetowym Kontem Pacjenta i pozwala nie tylko pobierać i przeglądać wystawione przez lekarzy recepty, lecz także wykupić je w aptece. Użytkownik aplikacji może realizować swoje recepty oraz osób, które w Internetowym Koncie Pacjenta ustanowiły go pełnomocnikiem. Wystarczy wyświetlić w aplikacji element eRecepta i przekazać farmaceucie do zeskanowania wygenerowany na ekranie smartfona kod QR.



FOT. PAMEŁ GROMADA

TAKIEJ TO NIE DOGODZISZ!

Była modelka i była partnerka Jana Kulczyka, obecnie projektantka i celebrytka, postanowiła poinformować świat, jak wspaniałą ma przemianę materii, dzięki czemu nawet będąc po pięćdziesiątce, może jeść, co chce, i nie tyć. Takie cuda.

„Tyle słyszałam, że po pięćdziesiątce zacznę tyć.

A ja wcale nie tyję, a wręcz chudnę. Moje koleżanki się śmieją, że ciągle jem kotlety mielone z indyka, hot dogi, frytki, hamburgery i zamiast przybierać na wadze, to tracę kilogramy. A już hot dogi ze stacji benzynowej to mój ulubiony przysmak.

Nie wyobrażam sobie bez nich życia” – zwierzyła się niedawno „Faktowi”.

Dodała też, że jej szczupła sylwetka wcale jej się nie podoba. „Wkurza mnie to, bo nie lubię być chuda. Mi się podoba sylwetka Jennifer Lopez” – stwierdziła.

W następnym wywiadzie pewnie ponarzekła, że jest zbyt ładna.

A w kolejnym, że zbyt bogata. Na koniec zaś tradycyjnie wyleje wiadro łez, że ją wszyscy hejtują, a ona zupełnie nie wie dlaczego.

POUKŁADANA PANI DOMU

Radek Majdan w radiowym wywiadzie, w którym mówił głównie o sporcie i piłce, powiedział też, jak ważne w życiu każdego sportowca jest poukładane życie rodzinne. – Trudno się nie zgodzić z powiedzeniem, że jeżeli facet ma mądrą żonę, to jest w stanie osiągnąć więcej niż facet, który ma żonę niemądrą. I rzeczywiście coś w tym jest – stwierdził filozoficznie, odnosząc się oczywiście do swojej małżonki Małgorzaty Rozenek vel Majdan. – Akurat moja Małgosia jest bardzo inteligentną kobietą i taką dobrze poukładaną – dodał.

Z tym ostatnim trudno się nie zgodzić. Co jak co, ale poukładać się w show-biznesie Małgorzata świetnie potrafiła!

NIE MA LEKKO

Aktorka serialowa Kasia Cichopek zdradziła, że wieloletnia praca w „M jak miłość” to nie tylko komfort stałej pracy, ale i pewne wyrzeczenia oraz zobowiązania. Biedna Cichopek nie może na przykład ścinać włosów bez zgody twórców serialu. To niejedyny zamach na jej wolność! – Nie mogę zmieniać fryzury. Jestem zobligowana kontraktem w serialu „M jak miłość”, że moje włosy muszą mieć tę samą długość do kontynuacji i bez zgody producentów nie mogę zmienić koloru czy zrobić drastycznego cięcia – wyjawiała.

– Obstrzeżenia są przede wszystkim „wyglądowe”. Jeżeli chodzi np. o paznokcie, jak dziewczyny lubią ostre i mocne kolory, to na planie muszą przemalować na delikatne – dodała.

– Ja od 18 lat mam krótkie i jasne paznokcie – zdradziła. I niech ktoś powie, że życie serialowej gwiazdy jest łatwe i przyjemne!

TAKI ŁADNY KANDYDAT

Pisarka i niespełniona polityk Manuela Gretkowska nie kryje swojego zachwytu kandydatem Koalicji Obywatelskiej na prezydenta. Jej zdaniem największą zaletą Rafała Trzaskowskiego jest jego wygląd. „Od 1989 r. nie mieliśmy tak fotogenicznego prezydenta Warszawy. Ani



FOT. MICIECH OLSZANKA/TWIST NEWS

uwodzicielskiego kandydata na prezydenta Polski. Trzaskowski to zwycięzca sondaży typujących ideał Polaków w kategorii rządzący: mężczyzna w średnim wieku, odpowiedzialny, żonaty, dzieciaty. Na Tinderze też to mu by nie przeszkadzało, gdyby kandydował do kadencji trwałego związku” – stwierdziła. „Przeglądając prezydencką ofertę ostatniego 30-lecia, widać, że zaletą Trzaskowskiego jest: brak okularów, wykształcenie, trzeźwość, również polityczna, brak brata bliźniaka, wąsów i niebycie kretyńcem” – dodała. Uroda oraz brak wąsów i okularów jako największe zalety kandydata na prezydenta? To się chyba nazywa pocałunek śmierci. ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z zażenowaniem obejrzałem debatę prezydencką. Po tym, jak ostatnią debatę wygrała Kidawa i potem honorowo zrezygnowała z kandydowania, okazało

Nie jest więc dobrze. Niemniej przypomnijmy sobie, iż żyjemy w Polsce, a więc przekrój kandydatów odpowiada mniej więcej przekrojowi tego nudnego społeczeństwa.

Dzięki temu otrzymaliśmy potężną dawkę wiedzy medycznej w wykonaniu kandydatów i prawdopodobnie najlepszy moment w tegorocznej kampanii wyborczej. Szkoda, iż osoby decyzyjne w zakresie pytań nie poszły jeszcze dalej i nie zapytały kandydatów o fizykę kwantową, zmianę zasad finansowego fair play w piłce nożnej, wpływie 5G na rozprzestrzenianie się koronawirusa oraz czy Bill Gates chce depopulacji.

Na Za chodzie chaos, obalanie polukików,
rozboje, i przemoc, tylko u nas jak za
króla Cwieczka...



c e z a t y k e t y s z t o p d

się, iż na najwyższy urząd w państwie kandydują wyłącznie biali, w zdecydowanej większości heteroseksualni mężczyźni.

W dodatku mamy tu wybór między mniej lub bardziej skrajną prawicą a Robertem Biedroniem i tym nieznanym nam panem z Unii Pracy.

Dlatego nie ma się co dziwić, iż kandydaci są, jacy są.

W ogóle nie wiemy, komu należą się podziękowania, ale chcielibyśmy, aby przekazała je osobie, która uznała, iż warto zapytać kandydatów o szczepionkę na koronawirusa.

Zmieniając temat: w tym roku finał piłkarskiej Ligi Europy miał się odbyć w Gdańsku, jednak stanie się inaczej. UEFA postanowiła, iż decydujące mecze odbędą się jednak, co bardzo symptomatyczne, w Niemczech. Czy trzeba wyraźniejszego sygnału, iż świat obserwuje, co dzieje się w tym kraju, reaguje i nie waha się przed sięgnięciem po naprawdę radykalne rozwiązania? Zauważcie też, iż jeśli w tym kraju dzieje się coś niepokojącego, to kto przychodzi na pomoc? No właśnie, Niemcy.

A u nas ciągle resentymenty, reparacje i kwestie historyczne, które nikogo nie powinny już obchodzić, iż – przypomnijmy – działa się dawno temu, a finał Ligi Europy miał się odbyć teraz i Niemcy teraz przyszyły nam z pomocą. ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)**

PODSŁUCHANE

Menelowe plus

Andrzej, tak sobie myślę... A może ten pomysł Żółtka nie jest taki głupi? Czekaj, Adam – Żółtka? A który to był?

Ten Rumcajs.

A, to wiem. Jaki pomysł?

„Menelowe plus”. Wiesz, może zdecydować kilkadziesiąt tysięcy

głosów, a meneli wcale nie musi być mniej. Elektorat do wzięcia. Jak ty to sobie wyobrazasz? Przecież to strasznie ryzykowne wizerunkowo.

No, ale przecież my tego byśmy nie nazwali menelowym. I tak trzeba wymierzyć, żeby miesięcznie starczyło na, powiedzmy, 15 win marki „Wino”. Bo w końcu nie przesadzajmy, nie będziemy ludziom codziennej markowej wódki fundować.

A ile nas to może kosztować? Już i tak mocno przegnamy z zadłużeniem.

Oj, jakieś głupie dwa, może trzy miliardy rocznie.

Mówisz? Tylko żeby to miało sens, to musimy to mieć najpóźniej przed drugą turą. Marnie to widzę. Senat nie przepuści na czas.

Przepuści. Jeśli to odpowiednio opakujemy. Mam już nazwę: „Program zapomogi relaksacyjnej dla permanentnie wykluczonych”. I powiedz mi teraz, że będą mieli jaja, żeby to zatrzymać. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ułaskawie każdego Polaka, który byłby zagrożony jakimkolwiek wyrokiem w związku z niepłaceniem podatku dochodowego”

STANISŁAW ŻÓŁTEK, kandydat na prezydenta RP, podczas debaty w TVP

Anatomia OSZCZERSTWA



Rafał A. Ziembkiewicz

Mamy dziś w Polsce do czynienia z całą sprawnie funkcjonującą maszyną zastraszania, cenzurowania i łamania karier. Czas się jej przeciwstawić

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Nie piszę tych słów po to, żeby załatwiać własne sprawy. To prawda, że stałem się w ostatnich dniach, nie po raz pierwszy, celem nagonki, opartej na spreparowanych z premedytacją kłamstwach – ale nie mnie jednego to spotkało. I akurat w moim przypadku atak okazał się przeciwnie skuteczny. Książka, której rozpowszechnianie próbowały wstrzymać lewicowe organizacje, fabrykując, zanim jeszcze się ukazała, fałszywe zarzuty pod jej adresem, błyskawicznie weszła na listy bestsellerów, a pierwszy, kilkuset-tysięczny nakład rozsprzedany został dosłownie w kilka dni. Pojawiło się wiele żartobliwych komentarzy, że chyba stowarzyszeniu Otwarta Rzeczpospolita i innym, kolportującym jego oszczerstwa, zapłaciłem za przewrotną formę promocji (w wersji „lajt”: że celowo je sprowokowałem, umiejętnie wybierając cytaty użyte w promocji).

ATMOSFERA ZASTRASZANIA

Tyle że fiasko próby wypchnięcia z debaty publicznej „Chama niezbyt-buntowanego” było przypadkiem raczej nietypowym. Tym razem po prostu oszczercy porwali się na autora niezależnego finansowo, mającego zbyt silną pozycję na czytelnym rynku, zbyt licznych zwolenników operujących w mediach społecznościowych, którzy błyskawicznie „rozbroili” zarzuty, wykazując ich oczywisty fałsz i groteskowość całej sytuacji. W wielu innych przypadkach jednak dokładnie takie samo „know-how”, jakim się przeciwko mnie posłużono, jest skuteczne. Skutecznie zastrasza pisarzy, publicystów, pracowników naukowych – a tych, którzy zastraszyć się nie dają, pozwala się cenzurować, uniemożliwiać im publiczne spotkania, pozbawiać pracy i możliwości głoszenia swoich poglądów. Szykany, jakie spotykają tych, którzy nie chcą pokornie milczeć, mają zniechęcić do mówienia prawdy innym. I zniechęcają.

W ten sposób udało się lewicy wprowadzić, także w Polsce, atmosferę zastraszania. Każdy dziennikarz, który próbował namówić na wypowiedź dla mediów np. specjalistę seksuologa albo klimatologa, potwierdzi, że 30 lat po triumfalnie ogłoszonym upadku komunizmu wraca tak typowa dla tego ustroju atmosfera podszytej lękiem ostrożności przed mówieniem publicznie tego, co się wie prywatnie. Specjalista pytany o na-

ukową wiedzę, jak rujnująco wpływa na psychikę i życie dziecka pozbawienie go dwóch wzorców płciowych, matki i ojca, jakie skutki dla rozwoju niesie zaburzenie młodemu człowiekowi tożsamości płciowej i zbyt wczesne ingerowanie w jego seksualność albo jaki jest rzeczywisty wpływ człowieka na globalną emisję CO₂, a samego CO₂ na zmiany klimatu, powie nam dziś to na stronie, ewentualnie wypowie się w ścisłym gronie naukowców. Ale nie „pod nazwiskiem” w mediach ogólnodostępnych.

Trudno się temu lekowi dziwić. Ściągnięcie na siebie uwagi ideologicznej żandarmerii może każdego w każdej chwili uczynić obiektem zorganizowanej nagonki lewico-liberalnych mediów i salonów, może doprowadzić do bombardowania przełożonych e-mailami, oświadczeniami i listami z żądaniem natychmiastowego relegowania z pracy, doniesienia do prokuratury, konieczności tłumaczenia się, często też odsunięcia od funkcji... W chwili, gdy na Zachodzie „fasyzmem” stały się stwierdzenia nawet tak elementarne jak to, że kobiety miesiączkują, a mężczyźni nie (za co obiektem nagonki stała się autorka „Harry’ego Pottera” J.K. Rowling), postawa „lepiej się nie wychylać” coraz bardziej zyskuje na popularności.

JAK TO SIĘ ROBI

Opiszę państwu, jak działa mechanizm zniesławienia, na własnym przykładzie – tylko dlatego na nim akurat, że tu mogę pokazać dokładnie wszystkie elementy takiej akcji.

Najpierw było „zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa”, ogłoszone publicznie przez stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita. Oficjalnie zajmuje się ono „walką z ksenofobią i antysemityzmem”, a w istocie – przypisywaniem ich politycznym przeciwnikom lewicy i ludziom dla niej niewygodnym, co skutkuje raczej narastaniem zwalczanych rzekomo zjawisk, a co najmniej znieczuleniem na nie ogółu społeczeństwa.

Użycie formuły „zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa” jest upowszechnionym w lewicowych nagonkach wybiegiem. Żeby wystąpić z oskarżeniem, trzeba przedstawić jakieś konkretne zarzuty, sformułować pozew, opłacić go i zaryzykować zwrot pozwu – „kosztów zastępstwa procesowego” w razie przegranej. „Zawiadomienie” do prokuratury nie pociąga za sobą

żadnych kosztów, nawet – od czasu, gdy można to zrobić e-mailem – koperty i znaczka pocztowego.

Na czym to polega? Dla przykładu – ktoś, nazwijmy go, dajmy na to, Józefem K., kupuje nowy samochód, a zawistny sąsiad, jako „zatroškany obywatel”, zawiadamia prokuraturę o swoim podejrzeniu, że ten ktoś mógł ten samochód ukraść albo kupić za łapówki. W ten sposób sąsiad, nazwijmy go, dajmy na to, Otwartą Rzeczpospolitą, rzucając kalumnie, chroni się przed odpowiedzialnością za naruszenie dóbr osobistych tego, na którego donosi. On przecież o nic nie oskarżył, on tylko podzielił się podejrzeniem, że MOGŁO dojść do przestępstwa.

Urzędnicza procedura wymaga, aby KAŻDE przychodzące zawiadomienie zostało w prokuraturze potraktowane z taką samą powagą. Dlatego prokuratu-

Szykany, jakie spotykają tych, którzy nie chcą pokornie milczeć, mają zniechęcić do mówienia prawdy innym

ra najgłupszego nawet donosu nie może po prostu wyrzucić do kosza, musi „rozpocząć postępowanie”, przesłuchać tego, na kogo doniesiono, albo zlecić wywiad środowiskowy dzielnicowemu i dopiero wtedy może postępowanie zamknąć jako bezzasadne. Zresztą, gdyby nawet prokuratorskie czynności ograniczały się do zmięcia donosu i ułożenia go w koszu, ważne jest tylko to, że zostały podjęte. Dzięki temu oszczercy mają już „newsa” o pozorach sensowności: przeciwko właścicielowi samochodu wszczęto postępowanie prokuratorskie! „Prokuratura zajmie się domniemanymi kradzieżami i łapówkami Józefa K.”. „Józef K. ma kłopoty z prokuraturą” – ile tego rodzaju tytułów przemknęło już państwu przed oczami? Od tego momentu zawsze już Józef K. będzie człowiekiem naznaczonym, o którym, ilekroć będzie to dla nich wygodne, media będą mogły informować z napomnieniem, że toczyło się przeciwko niemu postępowanie prokuratorskie w sprawie kradzieży i łapówek. I przed żadnym sądem nie będzie mógł

■ uzyskać oczyszczenia z błota, którym go obrzucano, bo przecież, formalnie rzecz biorąc, toczyło się.

Istotą sprawy nie jest samo „zawiadomienie”, ale to, co dzieje się z nim dalej. W publicznym donosie na mnie wspomnianego stowarzyszenia nie tajono nawet, że nikt tam nie pofatygował się mojej książki bodaj wziąć do ręki, nie wspominając o jej czytaniu. Jediną argumentacją oszczerców był krótki cytat użyty w promocji, mówiący o tym, że syjoniści wykorzystują instrumentalnie „Holocaust, a raczej mit Holocaustu, który sami zbudowali”. Podejrzewane przez stowarzyszenie przestępstwo z art. 256 i 257 Kodeksu karnego (propagowanie ustroju faszystowskiego i znieważanie grupy ludności z uwagi na przynależność etniczną) polegać miało, po pierwsze, na

Tomasz Piątek, i były ksiądz, prof. UW Stanisław Obirek. Ten ostatni zresztą przypisał książkę innemu wydawnictwu, nazwał ją „powieścią”, a mnie samego opisał jako frustrata, który zabrał się do publicystyki po klęsce w science fiction, gdzie wykił go sam mistrz tego gatunku, Wacław Sapkowski (!). Nie zabrakło deklaracji, po której poznaje się rasowego „autoryteta” salonu: że książki nie czytał ani nie przeczytał, bo z zasady nigdy nic Ziemkiewicza nie czytał, a gdy widzi go w telewizji, przełącza, jako że ani myśli obcować z antysemityzmem.

Częścią działań mających zablokować rozpowszechnianie książki było umieszczenie jej na liście książek zakazanych „antyfaszystowskiego” stowarzyszenia Nigdy Więcej – tego samego, w imieniu którego nieżyjący już zbrodniarz Simon

czwarte listy przebojów – po którym piosenka została zaraz przywrócona, a dziennikarze, którzy na znak protestu odeszli i po chwili dali się uprosić, by wrócili, do dziś opowiadają na antenie o doznawanym męczeństwie i szykanach.

Owszem, moja książka wróciła na Allegro, ale wystarczy zerknąć w Internet – sprawa zaowocowała dziesiątkami jednobrzmiących tytułów w duchu „Książka Ziemkiewicza zakazana za antysemityzm i negowanie holocaustu”. Przywrócenie aukcji bynajmniej nie zdjęło z niej kłamliwego odium, potraktowano je raczej na zasadzie „Skoro sprzedają tam »Mein Kampf« Hitlera, to musieli pozwolić i na Ziemkiewicza”.

EFEKTY NAGONKI

Nie, nie każdy rozgłos jest dobry. Nagonka może i pomogła w sprzedaży „Chama niezbuntowanego”, ale na dłuższą metę osiągnęła swój cel, przyklejając książce i autorowi zniesławiającą etykietę. O ile w kraju jestem w stanie z nią walczyć, o tyle zagraniczne wpływy oszczerców nie dają niestety szansy na obronę. Do tej pory naliczyłem w obcojęzycznych mediach żydowskich z różnych stron świata ponad 20 dłuższych i krótszych artykułów, głównie po angielsku (ale też francusku i niemiecku – alfabetów niełacińskich nie umiem policzyć), o tym, że w ciemnej, antysemitycznej Polsce ukazała się książka „prawicowego ekstremisty” Ziemkiewicza, negująca Holocaust, co więcej, została, o zgrozo, bestsellerem – mimo szlachetnych protestów stowarzyszeń Open Republic i Never Again, a także wybitnych intelektualistów, dziennikarza Tomasa Piatka, filozofa Stanisława Obirka, a nawet (tak!) znanego widzom Netflixa mistrza polskiej fantastyki, Władysława Sapkowskiego.

Kilka z tych artykułów napisała oświadczenie Katarzyna Markusz, polska współpracownica żydowskiej agencji informacyjnej JTA, niemal wszystkie wyraźnie inspirowane są materiałami sygnowanymi przez tę agencję. Niektóre pisane przez autorów znanych z niechęci do Polski – np. Hagaya Hachena z „Jerusalem Post”, który zasłynął niegdyś kuriozalnym artykułem o rzekomych antysemitycznych wypowiedziach prezydenta Dudy. Hachohen przyznał wtedy, że doniesienia o tych wypowiedziach były fałszywe, ale wpisy internetowe, jakie umieścili Polacy pod owymi doniesieniami (konkretnie: trzy, wszystkie anonimowe), dowodzą, że

Ilu już polskich publicystów, krytykujących lewicę, było wskutek fałszywych donosów zatrzymywanych na lotniskach, upokarzanych wielogodzinnymi przesłuchaniami i rewizjami osobistymi?

użyciu słowa „syjoniści” – bo tego słowa używano w propagandowej nagonce na Żydów w marcu 1968 r., po drugie – na zanegowaniu historycznego faktu Holocaustu.

Czy w ogóle ma sens poważne polemizowanie z tymi nonsensami? Czy nie jest oczywiste, że syjoniści istnieją, sami siebie tak określają, odbywają coroczne kongresy syjonistyczne i współrządzą od wielu lat Izraelem? Czy nie jest oczywiste, że np. stwierdzenie, iż zbudowano mit powstania warszawskiego, nie oznacza, że powstania warszawskiego nie było?

Ala to wszystko nie jest przecież ważne – ważne było sprokurowanie „newsa”: „antysemicka książka”. Zawiadomienie Otwartej Rzeczypospolitej do prokuratury i apel o wstrzymanie dystrybucji mojej książki natychmiast po ogłoszeniu w „Gazecie Wyborczej” (w dniu premiery książki) podchwycone zostały przez wszystkie lewicowo-liberalne portale i gazety, oczywiście z pominięciem szczególnie: „ukazała się antysemityczna książka negująca holocaust”. W upowszechnianiu tego „faktu prasowego” bardzo aktywnie zaangażowały się lewicowe „autorytety”, w tym znany z szalonych teorii spiskowych „dziennikarz śledczy” „Wyborczej”,

Mol sporządził kiedyś wytyczne, przyjęte przez PZPN, nakazujące usuwanie z trybun piłkarskich m.in. polskich historycznych symboli patriotycznych jako emblematów „faszystowskich”. To niejako automatycznie spowodowało usunięcie książki z mającej w polskim Internecie quasi-monopolistyczną pozycję platformy transakcyjnej Allegro. Kilka lat temu bowiem to właśnie Allegro znalazło się na celowniku „antyfaszystów” pod pretekstem umożliwiania handlu materiałami „nazistowskimi” pamiątkami (co było równie głupie jak równoległa kampania prowadzona przeciwko grupom rekonstrukcyjnym – fakt hobbyistycznego zbierania pamiątek z drugiej wojny światowej, także niemieckich, nijak ma się do insynuowanych sympatii nazistowskich). Po nagonce medialnej, pikietach i przegranych procesie sądowym spółka ratowała się wówczas, przyznając fanatykom z Nigdy Więcej prawo blokowania „faszystowskich” aukcji.

Rozumiem tych, którzy żartują, że „antyfaszyści i Allegro zrobili książkę Ziemkiewicza świetną reklamę”, i dopytują się, ile im za to zapłaciłem. Jednak sprawa nie jest taka prosta jak w przypadku operetkowego przesunięcia piosenki Kazika Staszewskiego z pierwszego miejsca na

wywołane nimi oburzenie i potępienie Polski były usprawiedliwione.

Właściwie na tym dobitnym przykładzie logiki, stosowanej w tego rodzaju nagonkach, można poprzestać. Reszta jest kwestią organizacji, a tę skrajna lewica ma dzięki Sorosowi i wielu innym sponsorom bardzo sprawną. Ilekroć zapragnę pojechać do któregoś z krajów zachodnich, tamtejsze bojówki, inspirowane przez polskich towarzyszy, pośpieszą z donosami, protestami, powołując się na liczne „dowody” rasizmu i antysemityzmu – być może znowu uda im się pozyskać do tej akcji jakąś lewicową posłankę, która, nie mając pojęcia o sprawie ani nie znając polskiego, załatwi z policją, żeby osoby mnie goszczące bądź udzielające mi lokalu na spotkanie z czytelnikami zostały odpowiednio zastraszone. Ilu już polskich publicystów, krytykujących lewicę, było wskutek takich donosów, najzupełniej fałszywych, zatrzymywanych na lotniskach, upokarzanych wielogodzinnymi przesłuchaniami i rewizjami osobistymi? Znam co najmniej kilka drastycznych przypadków. Jasne, nikt nie chce o tym publicznie opowiadać, ale czas najwyższy zacząć.

MASZYNA ZASTRASZANIA

Jeszcze raz zastrzegam – ja sobie z tym radzę, być może znacznie lepiej niż inni. Ale sytuacja dojrzała, by zrozumieć, że mamy do czynienia z całą sprawnie funkcjonującą maszyną zastraszania, cenzurowania i łamania karier. Znam osobę (nie upoważniła mnie niestety do podania jej nazwiska, ale nie byłoby ono czytelnikom obce), zresztą o przekonaniach lewicowych, wpisaną przez Nigdy Więcej do „brunatnej księgi” tylko dlatego, że wzięła udział w publicznej dyskusji z posłem Grzegorzem Braunem. Brzydzi się perspektywą publicznego składania „samokrytyki”, której od niej zażądano, ale etat na uczelni – niestety, prywatnej i oprowadzanej przez lewactwo – który bez takiej „samokrytyki” może stracić, jest jej jedynym źródłem utrzymania.

Nie wiem, jaką decyzję podejmie. Ale to się dzieje naprawdę – w Polsce, 30 lat po upadku PRL!

I na Zachodzie, niegdyś postrzeganym przez nas jako raj utracony i wolny świat. Maszyna kłamstw i czarnego PR zbudowana została w Polsce nie tylko za tamtejsze pieniądze, według tamtejszych wzorów (z pominięciem, na razie, elementu agresji fizycznej, choć i tej jest już coraz więcej), lecz także pod kątem tamtejszych potrzeb propagandowych. Identyczna operacja jak ta, która w skali mikro wykonywana jest na mojej książce, mniej więcej w tym samym czasie zorga-

nizowana została z zamiarem wpłynięcia na wynik wyborów w Polsce. Myślę o wyrzuceniu ze studia TVN24 posła Zjednoczonej Prawicy za rzekome stwierdzenie, że homoseksualiści to nie są ludzie.

Posel nic takiego nie powiedział, wszystko było manipulacją funkcjonariuszki TVN, co jest oczywiste dla każdego, kto zapoznał się ze sprawą. Polskie i światowe media zalane jednak zostały „agregującymi” oczywiste i beczelne kłamstwo materiałami, protestami przeciwko nigdy niewypowiedzianym słowom w specjalnych uchwałach różnego rodzaju organizacji i gremiów, profesorowie i celebryci, wydziały wyższych uczelni, teatry... Jest więcej niż prawdopodobne, że słowa, których nie było, staną się przedmiotem kolejnej antypolskiej rezolucji Parlamentu Europejskiego – jak stały się nim zmyślone „strefy wolne od LGBT”, „zakaz edukacji seksualnej” i „masowe samobójstwa prześladowanych za LGBT dzieciaków”.

Być może spotkają się tam, wśród innych kłamstw lewicy, z wydaniem „negującej holocaust” książki. Uwiarygodnione w ten sposób kłamstwa pójdą dalej,

stając się, wraz z innymi, regularnie produkowanymi oszczerstwami, wielokrotnie powtarzaną „powszechną wiedzą” dla zachodnich mediów, uniwersytetów i organizacji sporządzających raporty o rasizmie, antysemityzmie i „odradzaniu się polskiego faszyzmu”.

Patrzmy na to bezradni jak dzieci, każdy z osobna, nie dowierzając własnym oczom, że tak w ogóle można – tak beczelnie, tak kłamliwie, z takim cynizmem i brakiem skrupułów oraz pałkarską bezwzględnością nowego, neomarksistowskiego Sturmabteilung.

Naprawdę, nie chodzi mi o własną książkę i wolałbym, żeby ten tekst pisał ktoś inny w oparciu o inny przykład. Ale czasu na skuteczne przeciwstawienie się lewicowej maszynie do szerzenia kłamstw i nienawiści jest coraz mniej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



MARCIN MAKOWSKI: „Amerykańska ambasada interweniowała w sprawie słów prezydenta Andrzeja Dudy o LGBT. I to na finale rozmów dotyczących zwiększenia sił USA w Polsce” – poinformował 16 czerwca „Dziennik Gazeta Prawna”. Jak odniesie się pani do tych słów?

GEORGETTE MOSBACHER: Chcę, żeby wybrzmiało to bardzo jasno – mówimy o fake newsie. Z tego, co wiem, gazeta nadal stoi na swoim stanowisku, pomimo mojego sprostowania w mediach społecznościowych, ale to po prostu nieprawda. Jestem tym oburzona. W ogóle nie rozmawiałam z byłym ambasadorem USA w Niemczech Richardem Grenellem na ten temat.

Gazeta tego nie twierdzi, zaznacza jednak, że chodzi o pani „upomnienie” przekazane do pałacu prezydenckiego.

To jest nieprawda. Kropka. Nie rozmawiałam na temat LGBT i słów prezydenta Andrzeja Dudy z nikim z polskiego rządu ani z nikim z pałacu.



Z **Georgette Mosbacher**, ambasador USA w Polsce
rozmawia *Marcin Makowski*

Do Polski przyleci więcej amerykańskich żołnierzy

A może ktoś z ambasady rozmawiał w pani imieniu?



– Do Polski przyleci więcej żołnierzy – to mogę potwierdzić. Mówi się o kontyngencie 1000-osobowym, ale kiedy – daty nie są jeszcze ustalone – mówi ambasador USA w Polsce FOT. MARCIN BIELECKI/PAP

Nic mi o tym nie wiadomo, z pewnością nikogo do takich rozmów nie upoważniałam.

Dziennik podaje również, że „słowa polskiego prezydenta odbiły się w Waszyngtonie szerokim echem”. Czy ktoś z Białego Domu albo Departamentu Stanu dzwonił do pani w kwestii LGBT?

Nie, nikt z administracji w Waszyngtonie nie kontaktował się ze mną w tej sprawie. To zmyślona historia. Chcę być tutaj precyzyjna. Moje zdanie oraz zdanie rządu USA na ten temat są znane – nie popieramy żadnej formy dyskryminacji. Nikt jednak nie interweniował w tej kwestii.

To jeszcze jeden cytat z artykułu. Miała pani powiedzieć: „Niemożliwe jest utrzymywanie przyjaznych stosunków z Waszyngtonem i jednocześnie stosowanie dyskryminacyjnej retoryki”.

Nigdy tak nie mówiłam. Gdyby ktoś tak stwierdził, byłby w dużych kłopotach, ale według mojej wiedzy nikt nie przekazywał takiego stanowiska.

Część polskich mediów wiązała również słowa prezydenta Dudy na temat mniejszości LGBT i póź-

niejsze łagodzenie retoryki z tematem budowy tzw. Fortu Trumpa. Czy te zagadnienia są ze sobą jakoś połączone?

Ponieważ te doniesienia od samego początku nie są prawdziwe, fałszywa jest również konkluzja. Po pierwsze, nie nazywam tej bazy „Fortem Trumpa”.

Określimy ją zatem kolejną wysuniętą bazą NATO w Polsce.

Tak, to wysunięta obecność NATO. Tutaj wszystko jest na właściwej ścieżce, zgodnie z harmonogramem prac i literą umów bilateralnych, zawieranych między prezydentami Dudą i Trumpem. Każdy element prac wygląda tak, jak go zaplanowano.

Czy nowa baza i zapowiedź prezydenta USA mówiąca o wycofaniu części żołnierzy USA do Niemiec i możliwym przetransferowaniu ich do Polski to element tej samej architektury bezpieczeństwa?

Donald Trump zadeklarował tylko, że wycofa część amerykańskich żołnierzy z Niemiec, ale nie mówił, gdzie i czy zostaną przeniesieni.

Ale czy to możliwe pani zdaniem, że część tego kontyngentu znajdzie miejsce w bazach w Polsce?

Wszystko jest możliwe, ale na razie nie słyszałam o takich ustaleniach.

Z jakich powodów w takim razie Andrzej Duda udaje się 24 czerwca do Waszyngtonu?

Chociaż wizyta została oficjalnie potwierdzona, to plan pracy prezydenta USA jest ustalany i kontrolowany ściśle przez Białą Dom. Nie mogę wchodzić w jego kompetencje. Rozmowy będą jednak dotyczyć energetyki, obronności i zagadnień telekomunikacyjnych.

Czy jednak wedle pani wiedzy oraz rozmów z Richardem Grenellem, który współodpowiada za lokalizację nowej bazy w Polsce, transfer większej liczby żołnierzy jest czymś realnym, co może być ogłoszone podczas tej wizyty?

Wiem, że do Polski przyleci więcej żołnierzy – to mogę potwierdzić. Mówi się o kontyngencie 1000-osobowym, ale kiedy – daty nie są jeszcze ustalone. Nie ustalono również – jak już podkreślałam – lokalizacji, z której zostaną przeniesieni. W tej chwili mówimy o piechocie, nie mogę ujawnić szczegółów odnośnie do ich afiliacji.

Na podobny temat pisała ostatnio również Agencja Reutera. Wbrew pani zapewnieniom donosiła jednak, że projekt tzw. Fortu Trumpa ma być zawieszony. Tę depeszę również dementowała pani na Twitterze. Czym tłumaczy pani ich genezę?

Nie wiem, czy te nieprawdziwe informacje były motywowane politycznie, nie umiem tego stwierdzić, ale jedno wiem na pewno – nie kłamie. Jeśli mówię, że to nie jest prawda, to nie jest to prawda. Gdybym nie mogła tych kwestii skomentować, powiedziałabym o tym otwarcie, a tutaj nie robię żadnych uników. W kwestii nowej bazy została już nawet wybrana lokalizacja. Wszystko, na co się zgodzono, jest realizowane co do joty. Już miesiące temu mieliśmy tę wiedzę.

Kto w takim razie pani zdaniem może odnieść korzyść z informacji, które tak otwarcie nazywa pani nieprawdziwymi?

Jest kilka oczywistych odpowiedzi. Mogą na tym skorzystać: Rosja, Chiny, Iran. Każdy, kto chce osłabić NATO i wschodnią flankę oraz relacje polsko-amerykańskie. A pewnie takich graczy jest więcej.

Dopytam jeszcze raz, żeby mieć całkowitą pewność. Pomijając, kto do kogo dzwonił albo nie dzwonił, czy słowa prezydenta Dudy porównującego

► ideologię LGBT do komunizmu w trakcie kampanii wyborczej zaniepokoiły w ogóle Biały Dom?

Mogę powiedzieć, a raczej powtórzyć: polityka amerykańska w tym temacie jest oczywista i od początku antydyskryminacyjna. Osobiście uważam dyskryminację za odrażającą. Nie możemy wam jednak dyktować, co robić i co mówić, i dlatego tego nie robiłam.

Ale jakie jest pani prywatne zdanie na temat tych słów?

Osobiście jestem nimi zniesmaczona. Nikomu jednak nie przekazywałam tego stanowiska, od tego mamy wolność słowa. Sama natomiast wspieram ruchy LGBT. Kończąc ten temat – na nikogo nie naciskałam, nie interweniowałam w pałacu prezydenckim, Biały Dom nie kontaktował się ze mną w sprawie słów Andrzeja Dudy, natomiast to, jak postrzegamy prawa mniejszości, jest oczywiste. Tyle.

Zmienimy w takim razie temat. Niedawno zakończyły się przeprowadzane na bardzo dużą skalę ćwiczenia US Army w Europie i Polsce. Obserwowała pani manewry „Defender” od kulis. Na czym polega ich znaczenie w czasach koronawirusa? Czy przeprowadzono je zgodnie z założeniami?

Oczywiście, na wielu poziomach. To były najbardziej skomplikowane ćwiczenia, jakie kiedykolwiek widziałam, w istotny sposób zwiększające skalę współpracy między naszymi siłami zbrojnymi. To również wyraźne przesłanie, że nawet podczas pandemii nasi wrogowie nie są bezczynni. Udowodniliśmy im, że nasze państwa potrafią w takich warunkach ze sobą współpracować i będą bronić swojej wolności. Bez względu na warunki. Każdy, kto mówi dzisiaj, że USA nie są zaangażowane w NATO i we wsparcie swoich sojuszników, powinien zobaczyć skalę ćwiczeń „Defender” oraz ilość sprzętu, który został przetransportowany na drugi koniec świata. Amerykański podatnik zapłacił za manewry właśnie po to, aby pokazać nasz profesjonalizm i naszą gotowość do działania.

Niedawno napisała pani w mediach społecznościowych, że jeśli Niemcy nie chcą utrzymywać amerykańskiego arsenału jądrowego w formule „nuclear sharing”, to może on być przekazany innemu państwu NATO. Jak rozumieć tę deklarację?

Napisałam, że mogą istnieć inne państwa sojuszu północnoatlantyckiego, które mogą być tym faktem zainteresowane, ale to zwykłe założenie, które najprawdopodobniej nie zostanie zrealizowane.

Podpisaliśmy z Warszawą memorandum w sprawie współpracy przy budowie elektrowni jądrowej. Niedługo ujawnimy nową politykę

Po prostu chciałam dać do zrozumienia, że jeśli Niemcy nie są tymi głowicami zainteresowane, to kto inny może być. To nie jest skoordynowana akcja, ale wyraz wsparcia dla ambasadora USA w Berlinie. Polska nie jest w ten program włączona.

Jak wygląda w takim razie ogłaszana otwarcie współpraca na linii cywilnej energetyki jądrowej? Ameryka obiecała poważne zaangażowanie na tym polu w Polsce.

W tej sprawie będziemy mogli niedługo ogłosić ważne ustalenia, podpisaliśmy z Warszawą memorandum w sprawie współpracy bilateralnej przy budowie elektrowni jądrowej – niedługo ujawnimy również naszą nową politykę w tym obszarze. To będą dobre wiadomości. To znacznie więcej niż tylko rozmowy.

Rozwój technologii 5G, o której bezpieczeństwie pani rząd często się wypowiada, to również coś więcej niż tylko rozmowy pomiędzy naszymi państwami?

Z całą pewnością. Dostrzegamy, że Polska staje się liderem rozwoju 5G w Europie. To, co natomiast unaocznili nam koronawirus, to fakt, że Chiny nie są państwem transparentnym i nie można im zaufać. Jeśli zatem ktoś chce sieci 5G opartej na chińskich rozwiązaniach, to tak, jakby się godził na zainstalowanie kamery przemysłowej w swoim mieszkaniu. Polska rozumie to od samego początku i pracujemy razem na rzecz osiągnięcia tego celu, czyli zachowania bezpieczeństwa.

Tylko jak można współpracować, skoro Ameryka nie produkuje tego typu technologii?

My mówimy tylko, że Polska potrzebuje zaufanych dostawców, ale nie mówimy, kto ma nimi być – jest wiele firm na rynku, choćby Eriksson. Współpracujemy razem jako sojusznicy i dlatego potrzebujemy pewnych i odpornych na szpiegostwo sieci telekomunikacyjnych.

Czy z pani perspektywy mówimy o szerszych ramach współpracy? Pandemia koronawirusa zmieniła coś w relacjach polsko-amerykańskich?

Moim zdaniem nie. Jeśli już, to je wzmocniła. Byłam świadkiem – bo sama ją aranżowałam – półgodzinnej rozmowy dwóch prezydentów przez telefon, w czasie której wyraźnie wymieniali się doświadczeniami i deklarowali wsparcie w walce z tym wirusem.

Tyle że geopolityka bywa brutalna. Czy np. projekt Trójmorza, oparty mocno na energetyce i dostawach LNG z USA, nie straci na znaczeniu? Jak możemy być tego pewni?

Powiem tak: Trójmorze to inicjatywa, która wskutek pandemii może mieć uszczuplone fundusze. Chodzi zwłaszcza o fundusz wspólnotowy, dla wszystkich członków sojuszu, którzy muszą zainwestować we wspólny budżet przeznaczony na wspólne projekty. On może się skurczyć, ale USA nie wycofują się z obietnicy wpompowania do tej kasy miliarda dolarów, jednak tylko jeśli inne państwa dołożą swój wkład. Osobiście jestem jednak przekonana, że Trójmorze zyska na znaczeniu. Dlaczego? Ponieważ musimy ponownie połączyć i zresetować nasze gospodarki, tworzyć nowe miejsca pracy, dostarczać energię. To się nie zmienia, poza tym tak rozumianymi projektami będzie również zainteresowany prywatny kapitał. To będzie nasz sposób na pobudzenie ekonomii.

Czy w przestrzeni współpracy państwowo-prywatnej poczyniono jakieś postępy w negocjacjach w sprawie podatku cyfrowego?

Nie, czekamy, co w tej sprawie proponuje Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD). Państwa europejskie są w tej kwestii spójne, dlatego sprawę podatków musi rozstrzygnąć zewnętrzna instytucja.

I na koniec pytanie o wybory. W tym roku zarówno Polska, jak i Ameryka mogą zmienić nie tylko głowy państwa, lecz także obrany kierunek geopolityczny. Czy nawet jeśli to nastąpi, to relacje transatlantyckie pozostaną na tym samym poziomie wzajemnego powiązania i współpracy dyplomatycznej?

Nie wpływamy na wasze wybory i nie chcemy, aby inni wpływali na nasze. Jako dyplomata nie mogę komentować bieżącej polityki, ale jestem przekonana, że nasze państwa pozostaną sojusznikami bez względu na to, kto będzie nimi rządził. Zawsze radziłam sobie i będziemy sobie radzić z nowymi wyzwaniem. W tych czasach to szczególnie istotne.



PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020



Ostatnie sondaże dawały Robertowi Biedroniowi nie więcej niż 5 proc. poparcia, a jeszcze częściej kształtowało się ono na poziomie 3–4 proc. głosów ankietowanych. Tymczasem sondaże partyjne szacują elektorat Lewicy nawet na ok. 13 proc.

Gdy 4 czerwca Robert Biedroń na antenie TVN24 wzywał lewicę do tego, by się policzyła, czyli głosowała na niego, głos ten brzmiał nieprzekonująco. Trudno się temu dziwić, Biedroń był chyba najmniej aktywnym spośród wszystkich głównych uczestników wyścigu prezydenckiego. Można było odnieść wrażenie, że ani on, ani Lewica nie są startem w tych wyborach zainteresowani. Mogło być to o tyle zaskakujące, że słabe zaangażowanie w wybory – każde wybory – bardzo łatwo może być interpretowane przez wyborców jako akt słabości i wycofania. Niezależnie od szans nikt poważny nie może sobie pozwolić na nieobecność. Jednak Robert Biedroń był przez większość kampanii jak gdyby nieobecny.

ZWLEKANIE Z KANDYDATEM

Już w pierwszej połowie grudnia 2019 r. pojawiły się komentarze wskazujące, że Lewica zwleka z wyborem swojego kandydata, tak jakby nie mogła dojść do porozumienia w tej sprawie lub jak gdyby jej nie zależało. A przecież wcześniej to właśnie Robert Biedroń wydawał się kandydatem najbardziej prawdopodobnym. Ostatecznie stał się nim na początku stycznia, ale już 5 stycznia Michał Sutowski, komentator „Krytyki Politycznej”, rozważając sensowność tego wyboru, po pierwsze pytał, po co w ogóle Lewicy Robert Biedroń, a po drugie sugerował wyraźnie, że założyciel jednosezonowej partii Wiosna, a dziś europarlamentarzysta wcale na start w wyborach prezydenckich nie miał ochoty. Publicysta zauważył, że Biedroniowi trudno będzie znaleźć jakieś odrębne miejsce w wyścigu wyborczym. Nie jest już debiutantem jak Hołownia, pozycję rozjemców w wojnie polsko-polskiej zajęli tenże właśnie i Władysław Kosiniak-Kamysz, trudno też, by stał się nowym lepszym anty-PiS, bo w tym obszarze dwoi się i troi Platforma Obywatelska. Sutowski konstatował, że Biedroniowi pozostaje być „przypożyczonym kandydatem lewicy” i iść szlakiem „exposé” Zandberga z hasłami uznania aborcji za prawo, „świeckiego państwa” i przywilejów – zwanych prawami – dla politycznego ruchu homoseksualnego.



Tomasz Rowiński

Nie wiemy jeszcze, kto zostanie prezydentem Polski. Możemy jednak z dużym prawdopodobieństwem powiedzieć, kto będzie największym przegranym wyborów – Robert Biedroń



FOT. WOJCIECH BARCZYŃSKI / FORUM

Skutki klęski Biedronia

Chodziło zatem o powtarzanie rdzenia skrajnie lewicowej tożsamości.

Problem Biedronia polega jednak na tym, że zarówno nowy kandydat Koalicji Obywatelskiej Rafał Trzaskowski, jak i liberalny katolik Szymon Hołownia te postulaty wielkomiejskiego mieszczaństwa także głoszą. Może mniej bojowo, ale – jak widać – w formie zadowalającej dla elektoratu sytuującego się raczej po stronie lewicy obyczajowej. Jeśli rozpoznanie sytuacji, które przedstawił Sutowski, jest w jakimś stopniu zbieżne z tym, co myślał np. liderzy partii Razem czy sam Robert Biedroń, to zawiera ono zasadniczy błąd. Polega na całkowitym pominięciu socjalnego – solidarnościowego, prospołecznego – charakteru lewicowych odruchów polskiego społeczeństwa. Zresztą, gdy Robert Biedroń zaczynał swoją przygodę z partią Wiosna, także zaprezentował program będący zlepkiem aktualnie modnych haseł, które nie pomogłyby „klasie ludowej” wykarcić dzieci, opłacić rachunków ani wyjechać na wczasy. W libertyńskie modele społeczne, które ukształtowały społeczeństwa Europy Zachodniej, bezkrytycznie wpatrzona jest dość ograniczona część obywateli. Jeśli szukalibyśmy modelu lewicy, który przystaje do upodobań polskiego społeczeństwa, to znaleźlibyśmy go w suwerenistycznym okresie PPS, dziś – zachowując wszelkie proporcje – w partii Jarosława Kaczyńskiego. Nie jest prawdą, że Kaczyńskiego nie interesuje emancypacja, owszem, ale nie taka, którą przeprowadza się w imię importowanych idei. Kaczyński emancypuje poprzez redystrybucję, ale także poprzez dowartościowanie zepchniętych na margines po roku 1989 przekonani patriotycznych wielu Polaków. Także marsz PiS przez instytucje ma w sobie ducha rewolucji, może bonapartyzmu, na pewno nie jest to konserwatyzm.

DOBRO KLASY ŚREDNIEJ DOBREM OGÓŁU

Jeśli coś mogło dać Biedroniowi niezależność i osobny głos w debacie, to wybranie tych elementów „exposé” Zandberga, które wskazywały na niedostatki działań PiS na rzecz zniesienia nierówności mas ludowych. Pisał o tym w swojej książce „Nowy populizm” socjolog Maciej Gdula, który był nawet doradcą Biedronia. Jak widać, nie posłuchano go bądź co innego pisał, a co innego doradzał. Realizacja takiego planu wymagałaby jakiegoś „autobusu Biedronia” i objazdówki po

symbolicznym Podkarpaciu czy Podlasiu. Może gdyby Biedroń traktował te wybory poważnie, to pomimo swojego obyczajowego emploi wzięłby taką opcję pod uwagę. Byłaby to misja bardzo trudna, już partia Razem próbowała tego po poprzednich wyborach. Plan „ruszenia w Polskę” jednak się nie powiódł. Nie takiej lewicy szuka polski lud. Niezdolność do zbudowania ludowego zaplecza pociągnęła za sobą klęskę w wyborach do Parlamentu Europejskiego (1 czerwca 2019 r.) koalicji idącej pod szyldem Lewica Razem. Partia Adriana Zandberga z przybudówkami osiągnęła zaledwie 1,24 proc. poparcia. Już 19 lipca 2019 r. ugrupowanie to dało jednoznaczny sygnał, że inna polityka pod szyldem lewicowym niż we współpracy z postkomunistami z Sojuszu Lewicy Demokratycznej nie jest możliwa.

Lewica ma jeszcze jeden problem – nawet w głoszeniu programu solidarystycznego czy socjalnego niezbędne jest zachowanie ostrożności. Jednym z sukcesów polskiego liberalizmu, poczynając od Mirosława Dzielskiego jeszcze w latach 80., było ukształtowanie się szerokiego w polskim społeczeństwie przekonania, że polityka ekonomiczna dobra dla klasy średniej czy dla przedsiębiorców jest dobra dla wszystkich. A zatem, że np. podatek powinien być liniowy, nie progresywny, i w ogóle niski, a redystrybucja ze strony państwa to niemal komunizm. W pewnej mierze na podstawie takich przekonań wielu Polaków udało się kolejnym rządom przejść przez najtrudniejsze lata III Rzeczypospolitej bez większych społecznych niepokojów. Wielu ludzi z „klasy ludowej” uważało, że trzeba znosić nawet niesprawiedliwość dla przyszłego dobrobytu powszechnego. Sytuacja ta powodowała, że pod wytrwałością rosła frustracja coraz szerszych grup społecznych. Frustracje te zakończyły się wyborami protestu wobec rządów transformacyjnych w 2015 r.

Mimo postulatów solidarystycznych rząd PiS, choć zaordynował redystrybucję i emancypację Polski prowincjonalnej, nie zdecydował się na reformę podatkową przenoszącą ciężary na bogatsze warstwy społeczeństwa. Jak w tej sytuacji miała się odnaleźć Partia Razem (potem Lewica Razem), znaleźć punkty styczne ze społeczeństwem, które w sprawach moralności publicznej przeważnie jako punkt odniesienia traktuje tradycję chrześcijańską, a w gospodarce ma liberalne odruchy, nawet

jeśli nie zawsze idą one w zgodzie z jego interesem?

Wynika to z tego, że start Biedronia był właściwie gestem bez sensu, skierowanym do elitarnych środowisk lewicowego mieszczaństwa, ludzi uniwersytetów, aktywistów, osób zaangażowanych w działania politycznego ruchu homoseksualnego, feministycznego czy proaborcyjnego. W sam raz wystarczy na te 3 proc., które dają Biedroniowi sondaże. Gdyby jednak Lewica serio potraktowała te wybory, powinna wystawić Zandberga, który ma dużo lepszy, mniej kawiorowy wizerunek od Biedronia. Można się jednak spodziewać, że on sam nie chciał startować, a możliwe, że nie chciał tego także Włodzimierz Czarzasty, szef SLD. Zandberg mógł nie chcieć startować, bo choć Razem weszło do Sejmu, to stało się to tylko dzięki listom SLD, a partia wciąż jest osłabiona wewnętrznymi konfliktami ostatnich lat. W takiej sytuacji start nie był Zandbergowi na rękę z powodów wewnętrznych partii, ale nie był też na rękę Czarzastemu, który od początku pokazuje swoim koalicjantom miejsce w szeregu.

Na starcie Roberta Biedronia mogło zależeć właśnie Czarzastemu. Słaby wynik Biedronia jest kolejnym zwycięstwem SLD. Wniosek? Żaden z koalicjantów nie poradził sobie samodzielnie w polityce. Lewica, jak widać, wciąż nie może nic osiągnąć poza strukturami partii sentymentu za PRL, partii, która nigdy nie była ugrupowaniem uboższych warstw, ale jeszcze jedną partią władzy zręcznie zarządzającą kapitałem materialnym oraz społecznym, a także sentymentami antyklerykalnymi. To wszystko jednak tworzy masowe, a nie tylko elitarne oddziaływanie na ludzi w różny sposób usytuowanych na drabinie społecznej i tworzących dość liczny elektorat.

Ostatnim gwoździem do trumny kandydatury Biedronia była, jak się zdaje, wypowiedź Włodzimierza Cimoszewicza, byłego premiera, a dziś europarlamentarzysty SLD. 15 czerwca w rozmowie z Tomaszem Sekielskim poparł w wyborach nie Biedronia, ale Trzaskowskiego, jednocześnie mówiąc, że kandydatura ta „nie ma większego politycznego sensu”. Jednak w wewnętrznych rozgrywkach Lewicy nie jest to oczywiste. Kompromitujący wynik Biedronia osłabi jego pozycję. Można zaryzykować przypuszczenie, że po wyborach z całej Lewicy zostanie w praktyce już tylko jeden SLD.

MACIEJ PIECZYŃSKI: „LGBT to nie są ludzie, to ideologia!” – za te słowa Katarzyna Kolenda-Zaleska wyrzuciła pana z programu na antenie telewizji TVN24. Nie wydaje się panu, że dał się pan podpuścić? Było raczej do przewidzenia, że tak sformułowana wypowiedź zostanie wykorzystana przeciwko panu i pańskiemu środowisku politycznemu.

JACEK ŻALEK: Rolą dziennikarza nie jest podpuszczanie swoich rozmówców. Kolenda-Zaleska dopuściła się manipulacji graniczącej z oczywistym oszustwem. Wykazała się intelektualną nieuczciwością. Czym innym jest powiedzieć, że ktoś nie jest człowiekiem, czym innym zaś stwierdzenie, że konkretne pojęcie opisuje ideologię, a nie ludzi.

A jednak w świecie politycznej poprawności nie trzeba zbyt wiele złej woli, by zarzucić panu dehumanizację przeciwnika.

Ale to oczywista manipulacja. Kolenda-Zaleska poprosiła mnie, bym odniósł się do stwierdzenia Joachima Brudzińskiego o tym, że „Polska bez LGBT jest najpiękniejsza”. Tłumaczyłem, że chodziło o ideologię. Na moje pytanie, czym jest LGBT, dowodziła, że są to ludzie. Ja pozwoliłem sobie nie zgodzić się z tą definicją. Próbowałem wytłumaczyć, że to pojęcie odnosi się do ideologii, ale prowadząca nie pozwoliła mi nawet dokończyć zdania. Ideologia LGBT została wprowadzona do obiegu całkiem niedawno. To wcale nie jest tak, że nagle środowiska lewicowe odkryły biednych, uciśnionych gejów i lesbijki. Przecież homoseksualizm jest zjawiskiem starym jak świat. Przez tysiące lat funkcjonował obok nas i nic złego się nie działo. Nic nam nie wiadomo o tym, by homoseksualiści w starożytnym Rzymie domagali się prawa do adopcji dzieci, obrażali myślących inaczej czy dokonywali zamachu na instytucję rodziny. Nikt ich nie dyskryminował ani też oni nikomu nie przeszkadzali. W normalnym społeczeństwie bowiem typ skłonności seksualnych jest prywatną sprawą każdego człowieka, a nie hasłem na sztandarze agresywnej ideologii.

Jednak rozwinięcie skrótu LGBT oznacza „lesbijki, geje, biseksualiści, transseksualiści”. Czyli ludzie.

TVN wbrew faktom przedstawił moją wypowiedź jako deklarację, w myśl której odmawiam godności osobistej konkretnym osobom. Tymczasem moje słowa w ogóle nie miały nawet takiego kontekstu. Dla mnie LGBT to ideologia, a nie ludzie. Kropka.



Z Jackiem Żalkiem, sekretarzem stanu w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej, posłem Porozumienia rozmawia Maciej Pieczyński

LGBT to ideologia, a nie ludzie. Kropka

Posel Przemysław Czarnek najwyraźniej zrozumiał pańską wypowiedź inaczej. „Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym” – stwierdził na antenie TVP Info właśnie o LGBT. Przesadził?

Wszystko zależy od kontekstu. Zakładam, że był to skrót myślowy, nawiązujący raczej do kwestii uprzywilejowania par homoseksualnych niż do konkretnych osób o takich skłonnościach. Należy wskazać, że zgodnie z Kodeksem rodzinnym i opiekuńczym małżeństwo to związek mężczyzny i kobiety. Sąd Najwyższy w opinii do poselskiego projektu ustawy o umowie związku partnerskiego wskazał, że preferowane konstytucyjnie jest tworzenie rodziny przez małżeństwo traktowane jako trwały związek mężczyzny i kobiety, nakierowany na macierzyństwo i odpowiedzialne rodzicielstwo. I nie może to być kwestionowane z powołaniem na inne zasady określone w konstytucji, tzn. zasadę równości i zasadę dyskryminacji.

Może krytyka poszczególnych osób szkodzi samej, skądinąd słusznej, kwestii walki z ideologią? Może w obronie przed LGBT należałoby bardziej akcentować godność osoby ludzkiej, żeby nie wystawiać się na ciosy przeciwników?

Oczywiście, nie powinniśmy czynić przykrości komukolwiek. Tak samo jak nie należy obrażać np. ludzi z nadwagą, co nie zmienia faktu, że są otyli. Nie można się poddawać dyktatowi politycznej poprawności. Trzeba reagować na zło konkretnej ideologii. Fałszywa troskliwość wobec drugiego człowieka może się przerodzić w szkodliwą obojętność i w konsekwencji lęk przed błędami, które rodzą się z lekceważenia problemów. Poza tym debata publiczna to swego rodzaju ring. Wiadomo, że padają na nim ciosy w postaci mocnych słów. Trzeba się z tym liczyć. Przede wszystkim za wszelką cenę nie możemy dopuścić do zrównania w prawach rodzin i paramażeństw homoseksualnych – to zwyczajnie nieuczciwe. Rodzina to nie tylko radość pięknych chwil opartych na relacji miłości, lecz także trud wychowania, odpowiedzialności, wytrwałości w budowaniu więzów małżeńskich i rodzicielskich. Jeśli ktoś jest nałogowym leniem, to nie powinniśmy go obrażać.

Tym bardziej jednak nie powinniśmy dawać mu takich samych świadczeń, jakie otrzymuje ciężko pracujący od świtu do zmierzchu pracownik.

Tak czy inaczej, właśnie obrona rodziny przed LGBT stała się jednym z najważniejszych tematów kampanii wyborczej. Z jednej strony to zrozumiałe, bo znany



FOT. JAN BIELECH/VEST NEWS

z lewicowo-liberalnych poglądów Rafał Trzaskowski jest dla Andrzeja Dudy wygodnym przeciwnikiem do atakowania na polu światopoglądu. Jednak z drugiej strony, czy LGBT to dziś naprawdę najważniejszy problem Polaków?

To nie my zaczęliśmy ofensywę ideologiczną. W TVN nie ma miejsca dla osób, potępiających ideologię LGBT. Ta sama telewizja chętnie gościła na swojej antenie oprawców stanu wojennego, Jerzego Urbana, wojujących antyklerykałów...

Zostawmy już w spokoju prywatną stację telewizyjną...

TVN to nie tylko telewizja. To jest największa partia opozycyjna w Polsce. TVN postawił sobie za punkt honoru tak ustawić debatę publiczną, aby Polacy zamiast o wielkich osiągnięciach gospodarczych rządu Zjednoczonej Prawicy dyskutowali o tęczącej ideologii.

Przecież to PiS i Andrzej Duda pierwsi w tej kampanii zaczęli mówić o obronie rodziny, jak tylko Trzaskowski zastąpił Kidawę-Błońską. Z mediów publicznych mogliśmy się dowiedzieć, że triumf kandydata PO będzie oznaczał realizację postulatów LGBT. Nawet tęczy happening pod pałacem prezydenckim, urządzony w Boże Ciało, miał być rzekomo odpowiedzią na ogłoszenie przez Andrzeja Dudę Karty rodziny.

Karta rodziny nie jest wymierzona przeciwko komukolwiek. Zakłada obronę polskich rodzin przed ideologizacją. To reakcja na realne zagrożenie cywilizacyjne ze strony Rafała Trzaskowskiego i jego zaplecza. Wzmoczona aktywność lewicy światopoglądowej to nie jest żadna odpowiedź na rzekomą homofobię władzy, tylko zapowiedź ofensywy ideologicznej, która niechybnie rozwinęłaby swoje szczyty, gdyby tylko Trzaskowski wygrał wybory.

PiS ma narzędzia, by skierować debatę na inne tory: walka z koronawirusem, wielkie projekty infrastrukturalne... A jednak temat walki ideologicznej nie schodzi z tapety. Czy Andrzej Duda zyska na zaangażowaniu w debatę wokół LGBT?

Ja bym tak pytania nie postawił. Dla mnie najważniejsze, czy Polacy zyskają na tym, że będziemy rozmawiać na poważne tematy. Oczywiście, stojące przed nami wyzwania gospodarcze są niezmiernie istotne. Niemniej jednak nie można lekceważyć zagrożeń cywilizacyjnych. Uczymy się tego doświadczeniem Zachodu. Tam problem LGBT nie został w porę dostrzeżony. Paramażeństwa homoseksualne pod płaszczykiem równouprawnienia zdobyły prawa, które powinny przysługiwać

wyłącznie rodzinie. Nie możemy dopuścić do powtórzenia tego scenariusza w Polsce. Musimy ten marsz zatrzymać. Stawką jest dobro naszych dzieci, którym grozi seksualizacja. Jeśli zaś oceniać ten spór z czysto kampanijnego punktu widzenia, to uważam, że Andrzej Duda wcale nie straci na podjęciu tematu LGBT. To jest wojna światopoglądowa. Każda wojna rozpala emocje. Emocje z kolei mocno wpływają na preferencje wyborcze, szczególnie w wyborach prezydenckich, które w największym stopniu mają charakter plebiscytowy.

Pięć lat temu Andrzej Duda wygrał jako, w największym skrócie rzecz ujmując, wyważony centrysta. Raczej nie epatował jednoznacznie prawniczymi poglądami. W jednym z wywiadów stwierdził nawet: „Nie zgadzam się na małżeństwa jednopłciowe ani nie widzę powodu, by legalizować związki partnerskie. Ale myślę, że byłoby możliwe uznanie statusu osoby najbliższej”.

Wtedy jednak jego rywalem był zupełnie inny kandydat. Bronisław Komorowski, mimo wszystko, cieszył się wizerunkiem konserwatysty o poglądach prorodzinnych. Nie przypominam sobie, by otwarcie popierał ideologię LGBT. To było zupełnie inne pokolenie polityków Platformy – pokolenie, które liczyło się jeszcze z dziedzictwem Jana Pawła II, a programowo popierało społeczną naukę Kościoła. Do tego samego pokolenia należy Małgorzata Kidawa-Błońska, którą światopoglądowo od Andrzeja Dudy różnił chyba tylko bardziej pozytywny stosunek do Unii Europejskiej. Trzaskowski to już nowa generacja działaczy PO. Wychowanek Tuska, „światowiec”, „Europejczyk”. Dla niego punktem odniesienia jest nie tyle Zachód, ile panująca tam ideologia lewicowo-liberalna. Trzaskowski jest oderwany od problemów swoich wyborców. Znajomość języka francuskiego jest dla niego wartością ważniejszą niż znajomość spraw zwykłych Polaków. To chyba jedyny polski polityk, który stwierdził, że nie potrzebujemy Centralnego Portu Komunikacyjnego, skoro mamy lotnisko w Berlinie. Niżej politycznie już chyba upaść nie można.

Trzaskowski próbuje jednak odkłamać ten swój „tęczy” wizerunek. W odpowiedzi na zarzuty o sprzyjanie atakom na rodzinę zaczął publikować zdjęcia z własną rodziną.

To zrozumiałe. Dba o pozory. Prawda jest taka, że dzięki postulatowi LGBT Trzaskowski odbierze po kilka procent Biedroniowi i Hołowni, dzięki czemu może być niemal pewien wejścia do drugiej tury.

Tym, kim Biedroń jest dla Trzaskowskiego, dla Dudy jest Bosak. Radykalna retoryka zapewne sprawi, że dwaj główni kandydaci wyeliminują swoich skrajnych konkurentów po prawej i lewej stronie sceny. Jednak w ostatecznej rozgrywce wygra nie ten, kto będzie głosił bardziej radykalne hasła, lecz ten, kto zdobędzie głosy również umiarkowanych wyborców.

Silna polaryzacja zawsze służyja silniejszemu. Gdyby Duda i Trzaskowski mówili umiarkowanym językiem, na ich tle wybijałby się słabsi w sondażach radykałowie. Teraz jednak spór o wartości powoduje, że uwaga opinii publicznej koncentruje się wokół dwóch kandydatów. Moim zdaniem taki, a nie inny wybór kandydata Platformy po rezygnacji Kidawy-Błońskiej był nieprzypadkowy. Trzaskowski jako przedstawiciel skrzydła lewicowo-liberalnego miał za zadanie wyeliminować z gry o prezydenturę Hołownię i Kosiniaka-Kamysza. Dlatego liczytuje się z nimi na radykalizm. TVN mu w tym pomaga, „grzejąc” tematy ideologiczne. W drugiej turze zapewne zmieni narrację, będzie mówił językiem o wiele bardziej umiarkowanym i koncyliacyjnym. To jednak nie oznacza, że przestanie być lewicowym radykałem.

Andrzej Duda też zapewne będzie musiał złagodzić retorykę. Zresztą Zjednoczona Prawica nie zawsze była tak jednoznaczna wobec ideologii LGBT jak obecnie. „Położę się Rejtanem, jeżeli ktoś będzie próbował na uczelniach ograniczyć wolność słowa zwolennikom ideologii gender” – deklarował jakiś czas temu szef pańskiej partii.

Jarosław Gowin mówił to jeszcze jako minister nauki i szkolnictwa wyższego. Rozumiem, że chciał w ten sposób opowiedzieć się jasno po stronie wolności słowa.

Ale przecież studia genderowe to rozsądni ideolodzy, którą pan tak bardzo potępia.

Każdy ma prawo do głoszenia nawet największych głupot. Zamykanie ust jest nieskuteczne. Trzeba liczyć na zdrowy rozsądek i poczucie wstydu. Pozostaje mieć nadzieję, że intelektualna moda na walkę płci minie, tak jak minęły mody na walkę ras czy walkę klas. To ta sama tradycja lewicowej myśli, której prekursorem był Marks. Oby nasza obojętność nie doprowadziła do tak samo opłakanych skutków, jak w przypadku chorej ideologii nazizmu i komunizmu. Gender to kontynuacja lewicowej ideologii nienawiści. Jej podwaliny budowane są na walce o bezwzględne prawo do zabijania dzieci nienarodzonych.



Piotr Semka

Z najnowszego raportu „Barometr Polska-Niemcy”, badającego relacje polsko-niemieckie, można wysnuć tezę o pewnej pragmatycznej oschłości we wzajemnych stosunkach

Badania porównawcze opinii Polaków i Niemców „Barometr” prowadzone są od 20 lat. Dominującą rolę w tych programach badawczych odgrywał i odgrywa Deutsches Polen-Institut w Darmstadt – placówka naukowa finansowana przez niemieckie kraje związkowe Hesja i Nadrenia-Palatynat, wspólnotę niemieckich krajów związkowych, niemieckie MSZ oraz miasto Darmstadt. W ciągu ostatnich lat partnerami badań były różne instytucje – w tym roku jest to Instytut Spraw Publicznych. Placówka badawcza, której szefami były dotąd osoby utożsamiane najpierw z Unią Wolności, a potem Platformą Obywatelską. Dodatkowymi partnerami w tym roku byli Konrad Adenauer Stiftung oraz Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej – jedyny podmiot, na który wpływ ma polski rząd. To wyliczenie partnerów „Barometru” jest dość długie, ale istotne, aby pamiętać, że jest to projekt, który nie jest zbudowany na zespole naukowców o różnej wrażliwości politycznej. Niemniej nie zmienia to faktu, że raport opracowany przez Jacka Kucharczuka i Agnieszkę Ładę mimo pewnych śladów sympatii politycznych, jest ciekawą socjologiczną fotografią poglądów i emocji po obu stronach Odry. Zaletą „Barometru” jest też możliwość porównywania obecnych wyników z tymi z poprzednich lat.

DŁUGI CIEŃ WOJNY

Tegoroczny raport nosi tytuł: „Sąsiedztwo z historią w tle: spojrzenie przez granice”. I to podkreślenie znaczenia przeszłości daje się odczytać z badań. Jacek Kucharczyk i Agnieszka Łada piszą: „Prawie jedna trzecia (30 proc.) skojarzeń badanych Polaków z Niemcami jest związanych z tematyką wojenną – od 2016 r. odsetek tych skojarzeń wzrasta (z 21 proc.). Hasła opisujące Niemcy



Uśmiechnięty

jako kraj silnej gospodarki i dobrobytu stanowią 14 proc. asocjacji respondentów z Polski, a 7 proc. wiąże się z kulturą, turystyką i językiem. Tymczasem po niemieckiej stronie właśnie ta grupa skojarzeń z Polską jest najliczniejsza (29 proc.). Spora różnica występuje też, gdy pada pytanie, czy polskie ofiary drugiej wojny światowej zostały dostatecznie uczczone. I znów oddajmy głos autorom: „Ponad połowa Niemców uważa, że ofiary, których Polacy doświadczyli w swojej historii, zostały wystarczająco uznane przez międzynarodową opinię publiczną (56 proc.). Połowa badanych Polaków ma odmienne zdanie (50 proc.), a o uznaniu polskich ofiar jest przekonanych 29 proc. polskich respondentów”. Widać więc w badaniach kontrast między odczuwanym przez ponad połowę Niemców „poczuciem spłacenia długów moralnych” a frustracją Polaków, którą

można z grubsza nazwać tak: „Nie jesteśmy jeszcze kwita”. Na tym tle nie dziwi wynik badania „Barometru” wskazujący, że problem reparacji zajmuje ważne miejsce we wzajemnych emocjach. Zaznaczmy to bardzo mocną kreską, gdyż jeszcze w 2000 r. ten postulat zajmował pozycję wręcz marginalną. Badacze piszą: „Problemem w stosunkach polsko-niemieckich i najczęściej wskazywanym przez obie grupy badanych jest kwestia wypłaty Polsce reparacji przez Niemcy (58 proc. Polaków i 52 proc. Niemców). Polacy wymieniają następnie różnice w podejściu do gazociągu Nord Stream 2 (55 proc.) oraz kwestie odszkodowań lub zwrotu majątku poruszane przez niektórych niemieckich wypędzonych. Niemcy zaś na drugim i trzecim miejscu wskazują różnice w podejściu do polityki wobec uchodźców (51 proc.) i odszkodowania (46 proc.). Jednocześnie



chłodek

w obu krajach zmniejszył się odsetek badanych uważających daną kwestię za »problem« lub »poważny problem«.

SCHMIDT PATRZY NA KOWALSKIEGO

O wiele bardziej optymistycznie od kwestii przeszłości jest wyrażnie już zarysowana zmiana wizerunku Polaków jako kraju „normalnego”. Choć i tu w ostatnich latach doszło do pewnego regresu. Według tegorocznego „Barometru” stosunki Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Federalną Niemiec uznaje za dobre 72 proc. Polaków oraz 55 proc. Niemców, a za złe – 14 proc. Polaków i 25 proc. Niemców. Fakt, że to więcej Niemców niż Polaków uznaje relacje za złe, to sygnał, że demonizowanie polskiej polityki uprawiane raczej w jednostronny sposób przez większość niemieckich mediów niestety przebija się do świadomości naszych

sąsiadów. W badaniach można też jednak znaleźć dowody na to, że nie przekłada się to na poziom ogólnej sympatii do Polaków. Nie jest to żadnym paradoksem, jeśli przyłożymy tę współzależność do potocznego przekonania, to się okazuje, że Polacy są fajni, tylko mają niepokojący rząd. W ten sposób można zrozumieć inne zdanie z raportu autorów: „Po raz pierwszy od badań w 2000 r. większy odsetek Niemców deklaruje sympatię do Polaków (55 proc.) niż odsetek Polaków do Niemców (42 proc.)”. Jednak i tu trzeba uważnie czytać sondaże, aby zrozumieć złożoność tej postawy.

„Spadek sympatii do Niemców nie przekłada się wprost na wzrost deklarowanej niechęci. Polscy badani, częściej niż do tej pory, wybierają odpowiedź ze środka skali, neutralną. W 2020 r. Polacy deklarowali mniejszą sympatię w stosunku do wszystkich objętych

badaniem narodów (np.: Amerykanie – 56 proc., Brytyjczycy – 50 proc., Francuzi – 46 proc., Ukraińcy – 35 proc., Rosjanie – 27 proc.). Po stronie niemieckiej sympatia do Polaków jest obecnie na tym samym poziomie co do Brytyjczyków (55 proc.) i wyprzedza sympatię do Amerykanów (50 proc.), Rosjan (35 proc.) i Turków (34 proc.), ustępując jedynie niemieckiej sympatii do Francuzów (68 proc.)”. Ta ogólna sympatia Niemców do nas przekłada się na akceptację Polaka jako uczestnika tego samego życia społecznego. Raport wskazuje: „Zarówno Niemcy, jak i Polacy deklarują w ogromnej większości (średnio ok. 80 proc.) aprobatę dla udziału obywateli drugiego państwa w różnych wymiarach życia społecznego: jako sąsiadów, pracowników czy przełożonych. Jedynie niewielki odsetek badanych nie aprobuje obecności przedstawicieli drugiego narodu we wszystkich wymiarach objętych badaniem lub w większości tych wymiarów”. Każdy, kto pamięta stopień uprzedzeń zachodnich Niemców wobec przybyszów z Polski w latach 80., musi przyjąć te wyniki z optymizmem. Nowe pokolenia najwyraźniej nie widzą już w Polakach kogoś, kto kojarzy się z kłopotami lub ze znacznie niższym poziomem zamożności. Znika wizerunek kraju konnych furmanek, upadającej gospodarki i wiecznego niedoboru żywności tak żywy u Niemców zachodnich w latach 70. i 80. Przebija się wizerunek Polski jako jednego z wielu normalnie funkcjonujących państw unijnych.

Nie znaczy to jednak, że źródła dystansu wobec naszego kraju znikają. Zamiast starych niekorzystnych klisz pojawiają się nowe. Choćby „kraj spowalniający integrację europejską”, państwa pod rządami populistów czy kraj, gdzie niemalże urządziła się na ulicach polowania na homoseksualistów. Charakterystyczny jest podział na tych Niemców, którzy uznają relacje polsko-niemieckie za Odrę za dobre, i tych, którzy są z nich niezadowoleni.

Badani uznający stan relacji polsko-niemieckich za dobry jako przyczynę wskazują przede wszystkim wspólne interesy gospodarcze (40 proc. Polaków i 51 proc. Niemców), a na drugim miejscu przywołują działania własnego rządu (29 proc. Polaków – polskiego, 23 proc. Niemców – niemieckiego). Inaczej jest wśród tych, którzy stosunki na linii Berlin-Warszawa uznają za złe. Ci wi-

nią za to polski rząd, czyli inaczej mówiąc, ekipę PiS. I tu występuje paradoks, choć oczywiście pozorny. W podobny sposób polski rząd jako winowajcę widzi część respondentów zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. W Polsce, jak można się domyśleć, wyborcy Platformy, którzy są święcie przekonani, że wszelkie kłopoty to wyłącznie wina „PiS-owców”. W Niemczech zaś przekonanie, że to Polacy od Kaczyńskiego coś zepsuli, jest powiązane z ogólnym przekonaniem, że rząd RFN robi wszystko, co może, by było jak najlepiej, a tylko druga strona wszystko psuje. W opracowaniu czytamy: „Największa grupa respondentów, która uznaje stosunki polsko-niemieckie za złe, obarcza winą za ten stan rzeczy polski rząd (40 proc. Polaków, 36 proc. Niemców) lub widzi przyczynę w różnych interesach gospodarczych (30 proc. Polaków i 31 proc. Niemców)”.

BLISCY, ALE NIEZNANI

Bardzo ciekawy, ale i dający do myślenia jest fragment raportu pokazujący, jak systematycznie zmniejsza się poziom wiedzy na temat sąsiada. I to po obu stronach Odry. W Niemczech skończyła się już epoka z lat 70. czy 80., kiedy wiedzę o Polsce zdobywano na podstawie ambitnego filmu czy wysokiej kultury. Młode pokolenie prawie już nie czyta i znacznie rzadziej chodzi do kina, by oglądać ambitne filmy. Ci Niemcy, którzy znali nazwiska Andrzeja Wajdy czy Krzysztofa Pendereckiego, to już odchodząca generacja. To samo dzieje się po polskiej stronie. Ludzie czytani w Tomaszu Mannie, w Günterze Grassie czy Heinrichu Böllu to dziś osoby przynajmniej po 50. roku życia. Wśród młodych respondentów tylko nazwisko Goethego coś czasem mówilo.

Skoro tak, to skąd dzisiejsi respondenci czerpią wiedzę o krajach sąsiadów? Jak wykazuje „Barometr”, najwięcej Niemców, bo aż 48 proc. – z programów telewizyjnych. Czyli jak można się domyślać, dzienników informacyjnych. Po polskiej stronie – to może niektórych zaskoczyć – w największym stopniu czerpiemy wiedzę z niemieckich i polskich seriali (31 proc.). Potem są gazety i czasopisma – odpowiednio: u Niemców (24 proc.), u Polaków (35 proc.). Z książkami o kraju sąsiada zetknęło się tylko 13 proc. Niemców i 6 proc. Polaków. Co ciekawe, w rankingu nisko stoi odpowiedź „śledzenie informacji z portali internetowych”. W ten sposób zdobywa

Niemcy z ulgą stwierdzili, że Polska jest krajem ustabilizowanym gospodarczo i bardzo korzystnym dla kooperacji biznesowej

informacje o sąsiadach tylko 18 proc. Niemców i 9 proc. Polaków.

Wbrew przekonaniu o masowej fali wyjazdów z Polski za Odrę od 15 lat poziom wzajemnych wizyt po obu stronach granicy niemal się nie zmienia. W badaniu z 2005 r. tylko 30 proc. Polaków deklarowało, że odwiedziło po upadku komunizmu Niemcy. Wśród Niemców ten sam wskaźnik wynosił 29 proc. W tym roku podobną deklarację złożyło 36 proc. Polaków i 31 proc. Niemców. Na dodatek większość z tej sumy to mieszkańcy terenów przygranicznych. Mieszkańcy landu Meklemburgia-Pomorze Przednie, Brandenburczy i Saksończycy z niemieckiej strony, a z Polski mieszkańcy Pomorza Zachodniego, ziemi lubuskiej i Dolnego Śląska.

Jacek Kucharczyk i Agnieszka Łada komentują to tak: „Polacy i Niemcy żyją od wieków obok siebie, ale – jak pokazuje badania – ich bezpośrednie, a nawet pośrednie kontakty nie są jednak bardzo intensywne. [...] odsetek badanych, którzy odwiedzili kraj sąsiada, oscyluje wokół jednej trzeciej. Obecnie mniej niż połowa respondentów po obu stronach granicy ma kontakty z przedstawicielami drugiego narodu: krewnymi, znajomymi czy współpracownikami. Coraz mniej osób czerpie także wiedzę o drugim państwie i społeczeństwie z literatury, filmów, książek czy mediów”.

Każdemu, kto pamięta lata 80. i 90., musi się rzucać w oczy ta zmiana. W tamtych dekadach do Niemiec wyjeżdżali albo tzw. późni przesiedleńcy, czyli mieszkańcy Śląska, Mazur, Pomorza, deklarujący się jako Niemcy, albo ludzie, którzy prosili o azyl polityczny i byli gotowi do życia na stosunkowo niskim poziomie, za to ze świadomością, że ten poziom i tak jest wyższy od standardów PRL. Od końca lat 90. zakładano, że Niemcy jako kierunek wyjazdów zarobkowych utrzymają się na podobnym poziomie co w latach 80. Tak się jednak nie stało. Wyjazdy do Wielkiej Brytanii i Irlandii okazały się łatwiejsze z powo-

du znacznie słabszej bariery językowej. Teraz także nie widać jakiegoś dużego boomu na pracę w Niemczech. Ma to swoje konsekwencje, gdyż wszystkie tamte „stare” wyjazdy zwiększały wiedzę o Niemczech choćby na podstawowym poziomie. Teraz wprowadzenie „500+” spowodowało wyschnięcie strumyka kandydatów do pracy w Niemczech, choćby do typowego zbierania szparagów. W jakimś sensie Niemcy spowszedniały jako kraj niekojarzący się z zagrożeniem. W tym sensie stosunek Polaków do sąsiadów znad Odry zaczyna przypominać ten, jaki mieliśmy do Czechów czy Słowaków.

PO PROSTU SĄSIAD

Z badania „Barometru” można wysnuć tezę o pewnej pragmatycznej oschłości. Oba kraje mają świadomość, że gospodarczo żyją w jakiegoś rodzaju symbiozie. Niemcy z ulgą stwierdzili, że Polska jest krajem ustabilizowanym gospodarczo i bardzo korzystnym dla kooperacji biznesowej. W Polsce bogactwo Niemiec, ich ekonomii budzi z kolei uznanie i poczucie bliskości europejskiego czempiona. Doszły do tego jednak polskie obserwacje na temat kłopotów Niemców z imigrantami i ich zbyt szybkiego, zdaniem wielu naszych rodaków, uznania, że pojednanie po najstraszliwszej z wojen jest już zakończonym procesem. Strona niemiecka nie zauważyła tej zmiany i przykładem takiej ślepoty jest tragi-komedia rozgrywająca się od wielu lat wokół pomnika polskich ofiar w Berlinie.

Nowym i dosyć zastanawiającym trendem jest spadek zainteresowania Niemcami w najmłodszym pokoleniu, o czym można także przeczytać w „Barometrze”. Niejako ilustracją do tego, „Barometru” była niedawna wizyta szefa niemieckiej dyplomacji Heiko Maasa w Warszawie. Były kolejne deklaracje o poparciu rządu dla idei stworzenia miejsca pamięci polskich ofiar wojny w Berlinie. Były słowa zadowolenia ze współpracy gospodarczej i był sprzeciw niemieckiego gościa wobec idei wypłacania Polsce reparacji i obrona idei Nord Stream 2. Jakoś ten potencjał wzajemnych uśmiechów i rozbieżności obu stronem odpowiada i nie powoduje większych spięć. Można odnieść wrażenie, że ten pragmatyczny realizm odpowiada większości Polaków i – jak się zdaje – także Niemców. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Dobro i „wizerunek” Kościoła

Biskup Edward Janiak ma prawo i powinien zwracać się zarówno do braci w biskupstwie, jak i do wiernych, zarówno w sprawach wiary, jak i sprawach życia publicznego, szczególnie gdy dotyczą jego osobistej odpowiedzialności.



Marek Jurek

Milczenie w sprawach nadużyć seksualnych to demonstracja pewnego podejścia, które jest niezwykle groźne dla Kościoła

da możliwość obiektywnej niewinności biskupa) – wprowadzanie wszystkiego do skargi na „nagonkę” i prośby o duchową solidarność, to zdecydowanie za mało. Należy po prostu wyjaśnić okoliczności ewentualnego opóźnienia w zawiadomieniu Rzymu.

FAŁSZYWA KONCEPCJA AUTORYTETU

Jednak milczenie w tych sprawach to demonstracja pewnego podejścia, które jest niezwykle groźne dla Kościoła i (w istocie) przeciwne Kościołowi. Odpowiedzialność za walkę z nadużyciami seksualnymi jest publiczną powinnością biskupa katolickiego w ogóle, a w szczególności jeśli chodzi o pracujące pod jego zwierzchnictwem duchowieństwo. Jest kwestią dbania o czystość szaty Kościoła, który jest święty i nie może być bezczeszczony, i biskup stale powinien być gotów przedstawić swoje działania, przynajmniej w zakresie publicznie możliwym (choćby przez podanie faktów dotyczących interwencji czy dat pism).

Założenie, że „nie należy się tłumaczyć”, sugerowałoby, niestety, że władze Kościoła nie mają żadnych obowiązków wynikających z prawa naturalnego (obrona sprawiedliwości, obrona skrzywdzonych, dociekanie prawdy), że w żadnej konkretnej sprawie „nic nie muszę”. To zaprzeczenie naturalnych fundamentów etyki katolickiej, która właśnie zakłada samarytańską świadomość, że okoliczności (w tym wiedza o nich) mają charakter zobowiązujący. Zobowiązujący tym bardziej (a nie tym mniej), im wyższą władzę dana osoba wykonuje w Kościele.

Jedno i drugie obrazuje fałszywą koncepcję autorytetu, która legła u źródeł wielu zaniechań i uchybień wobec sprawiedliwości. A także groźną eklezjologię, zaprzeczającą nauce św. Piusa X, że dobro Kościoła ważniejsze jest od dóbr Kościoła (więc również od „wizerunku”).

Przyjmowanie, że należy traktować zarzuty nadużyć seksualnych jako niewiarygodne (i podtrzymywanie w tej sprawie naiwnego fideizmu wiernych), jest podważeniem zasadności formalnych regulacji

prawnych, będących reakcją na takie wypadki, podejmowanych przez św. Jana Pawła II i Benedykta XVI. Jest podtrzymywaniem naturalistycznej (i jednocześnie magicznej) koncepcji autorytetu, kosztem rzeczywistego autorytetu Kościoła (wynikającego z Prawdy, zawartego w jego aktach i Magisterium).

SZANSA NA PRZEŁOM

Stoimy w tym właśnie punkcie kryzysu. Jak każdy kryzys jest on szansą na przełom. Cześć dla nadprzyrodzonej władzy Kościoła (nauczania, odpuszczania grzechów, kierowania ewangelizacją) wręcz domaga się od ludzi Kościoła zwykłej, naturalnej odpowiedzialności, wypełniania obowiązku reagowania na rzeczywistość, a także wyjaśniania swych działań i stanowiska, gdy wymaga tego szacunek dla ludzi (w tym wypadku dla opinii publicznej).

Ludzie Kościoła dający dowody dobrej woli i oddani dobru wspólnemu, spragnieni sprawiedliwości (por. Mt 5, 6), dążący do prawdy mimo ludzkich błędów w rozeznaniu sytuacji, zawsze będą mieć za sobą cześć i oddanie wiernych. Bóg stworzył Kościół jako społeczność widzialną, społeczność właśnie, złożoną z ludzi, podlegającą regułom sprawiedliwości. Ludzie mają ludzkie obowiązki, a Łaska jest dana naturze, która swe powinności wypełnia. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest współzałożycielem magazynu „Christianitas”

Fakty są takie. Po pierwsze, po sześciu latach Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo (PGNiG) pod koniec marca wygrało przed sztokholmskim sądem arbitrażowym spór z Gazpromem o zawyżanie cen gazu importowanego przez Polskę Gazociągiem Jamalskim.

Po drugie, Gazprom postanowił się podporządkować wyrokowi (co nie było wcale oczywiste) i PGNiG otrzyma od rosyjskiej firmy odszkodowanie w wysokości 1,5 mld dol.

Po trzecie, niemiecka Federalna Agencja ds. Sieci w połowie maja odrzuciła wniosek Gazpromu o wyłączenie NS2 z reżimu dyrektywy gazowej Unii Europejskiej. To oznacza, że operator rurociągu nie będzie mógł być powiązany z dostarczycielem surowca. Dla Gazpromu to problem, gdy przyszłoby już do uruchomienia instalacji.

Po czwarte, ze współpracy przy budowie NS2 wycofują się międzynarodowe firmy, przestraszone amerykańskimi sankcjami nałożonymi pod koniec 2019 r.

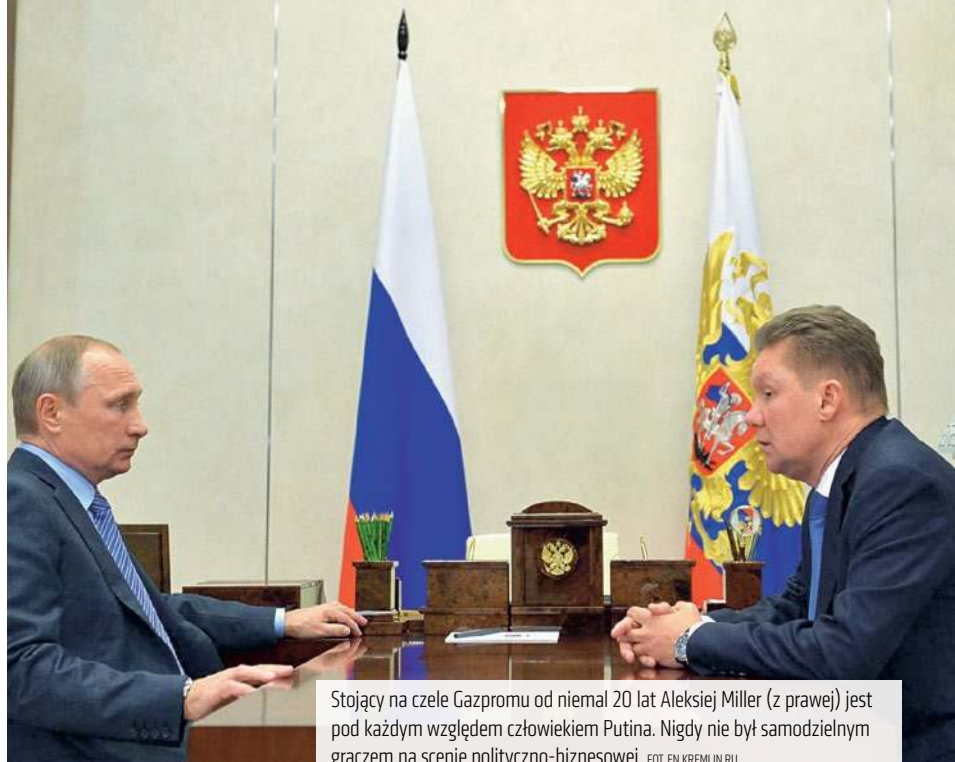
Po piąte, desperacko walcząc o zminimalizowanie już rocznego opóźnienia w budowie rury, Gazprom wystąpił do Danii o pozwolenie na użycie na duńskich wodach mniej zaawansowanych technicznie statków, czyli jednostek niewyposażonych w system dynamicznego pozycjonowania. Taki system pozwalał statkowi utrzymywać się w miejscu bez potrzeby rzucania kotwicy – komputer kontroluje pędniki jednostki, korygując jej położenie na bieżąco. To znacznie bezpieczniejsze dla instalacji biegnących dnem morza niż rzucanie kotwicy. Problem polega na tym, że Rosja posiada tylko jeden statek wyposażony w system dynamicznego pozycjonowania i mogący pracować przy budowie NS2. To wyspecjalizowany w kładzeniu rurociągów „Akademik Czernski”, który od maja – także w momencie pisania tego tekstu – stoi w porcie w Sassnitz, na wyspie Rugia w Niemczech. Sam „Akademik Czernski” to jednak za mało, aby sprawnie kontynuować prace, a firmy spoza Rosji, mające odpowiednie jednostki, nie chcą się w budowę angażować ze względu na presję ze strony Waszyngtonu.

GAZ WAŻNIEJSZY NIŻ ROPA

Co to wszystko oznacza?

W sieci krąży wypowiedź Rafała Trzaskowskiego z 2015 r., gdy obecny kandydat Koalicji Obywatelskiej na prezydenta

W co gra Gazprom?



Stojący na czele Gazpromu od niemal 20 lat Aleksiej Miller (z prawej) jest pod każdym względem człowiekiem Putina. Nigdy nie był samodzielnym graczem na scenie polityczno-biznesowej. FOT. ENKREMLIN.RU



Łukasz Warzecha

Sześć miliardów złotych dla Polski po wyroku sądu arbitrażowego w Sztokholmie oraz poważne problemy z ukończeniem Nord Stream 2 – czyżby rosyjska broń energetyczna straciła skuteczność? A może to jedynie wstęp do nowej ofensywy? Nie cieszymy się za wcześnie, bo gra Rosji może być bardziej złożona, niż to widać na pierwszy rzut oka

był wiceministrem spraw zagranicznych. W programie „Młodzież kontra” powiedział wówczas, że NS2 budują prywatne firmy, za którymi nie stoją rządy. Nawet wzięwszy pod uwagę zrozumiałą wstrzeźliwość, jaką powinien zachować polityk pełniący wysoką funkcję państwową, ta wypowiedź Trzaskowskiego zadziwia. Nie tylko bowiem eksperci czy analitycy w obu zaangażowanych krajach

nie ukrywają, że projekt jest co najmniej w takim samym stopniu polityczny jak ekonomiczny, lecz także Gazprom jest po prostu spółką z większościowym udziałem rosyjskiego państwa, całkowicie przez nie kontrolowaną. Jedynie Angela Merkel starała się wielokrotnie argumentować, że mamy do czynienia z przedsięwzięciem czysto komercyjnym, ale trudno było te wypowiedzi traktować

inaczej niż jako podyktowane polityczną potrzebą chwili i niemające nic wspólnego z prawdą.

Na czele Gazpromu od niemal już 20 lat stoi Aleksiej Miller. Wojciech Konończuk z Ośrodka Studiów Wschodnich tak mówił o nim w wywiadzie, który znalazł się w mojej książce „Między Berlinem a Pekinem” (Wydawnictwo Fronda, 2016):

„Miller nie jest i nigdy nie był samodzielnym graczem na scenie polityczno-biznesowej. Jest pod każdym względem człowiekiem Putina, a według dość powszechnej opinii Putin od dawna ma ambicję, aby część decyzji w Gazpromie podejmować samodzielnie. Zakładam więc, że obaj panowie mają regularny kontakt i we wszystkich ważniejszych sprawach ściśle się ze sobą konsultują. Ma to związek i z tym, że gaz ziemny jest dla Rosji znacznie łatwiejszym w użyciu instrumentem polityki zagranicznej niż ropa, którą łatwiej jest sprowadzić z innych źródeł niż rosyjskie”.

DRUGIE DNO?

Jeszcze stosunkowo niedawno wydawało się, że NS2 jest o krok od ukończenia, ale ofensywne wejście Waszyngtonu do gry zaczęło przynosić efekty. Pod wpływem groźby objęcia sankcjami USA z prac przy gazociągu wycofała się szwajcarska firma Allseas – stąd konieczność uzyskania teraz przez Rosjan zgody Duńczyków na użycie statków stojących na kotwicy. Taka zgoda może zostać w końcu udzielona – Kopenhaga nie będzie się tu raczej kierować względami politycznymi – ale Gazprom może na nią poczekać. Tymczasem czas płynie, a nawet opóźnienie uruchomienia rurociągu jest dla Polski korzystne.

To zaś może się okazać związane nie tylko z samą budową, lecz także z późniejszą certyfikacją rury. Jak w rozmowie z „Do Rzeczy” tłumaczy Wojciech Jakóbiak, redaktor naczelny portalu BiznesAlert, sankcje USA mogą działać odstraszaająco nie tylko na firmy budujące NS2, lecz także na takie, które miałyby go następnie certyfikować do działania. A bez tego rura pozostanie pusta.

Zostawmy teraz NS2 i spójrzmy na zachowanie Gazpromu w związku z wyrokiem sądu arbitrażowego. Gdy zapadł wyrok, z początku wydawało się, że rosyjska firma podejdzie do niego tak, jak zdarzało jej się już wielokrotnie wcześniej w podobnych spornych sytuacjach – będzie próbowała go lekce-

ważyć. Wskazywać na to mógł fakt, że pierwsze faktury za gaz, już po zapadnięciu orzeczenia, jeszcze w maju, Gazprom wystawiał bez jego uwzględnienia. Wśród polskich ekspertów pojawiły się wówczas sugestie, że jeśli rosyjska firma nadal będzie się tak zachowywać, to Polska mogłaby zadziałać tak jak wcześniej ukraiński Naftogaz, który w podobnych okolicznościach skutecznie zaczął zajmować europejski majątek Gazpromu. Gazprom posiada w Polsce udziały w firmie EuroPolGaz i one mogłyby zostać zajęte na poczet długu. Można by także próbować przeprowadzić egzekucję z majątku położonego na terytorium UE poza Polską. Ostatecznie jednak okazało się, że nie ma takiej potrzeby. Zgodnie z najnowszymi informacjami do końca czerwca Gazprom powinien zwrócić polskiemu partnerowi ok. 6 mld zł nadpłaty.

Zatem – niekwestionowany sukces? Sukces z pewnością, ale mogący mieć drugie dno. Po pierwsze, Gazprom może się od wyroku odwołać i jeżeli rozstrzygnięcie będzie dla niego korzystne, jakkolwiek może ono nastąpić znów po wielu latach, to być może Polska będzie musiała zwracać część z tego, co teraz dostaje. Oczywiście tak być wcale nie musi.

Po drugie, zastanawiająca jest nagła zgodność Rosjan w podejściu do sprawy. Zdaniem Wojciecha Jakóbiaka Polska została w końcu potraktowana jak normalny, pełnoprawny klient z kilku powodów. I dlatego, że zdywersyfikowaliśmy kierunki dostaw gazu, więc nie jesteśmy już bez reszty na łasce Gazpromu. I dlatego, że rosyjski przemysł surowcowy – przede wszystkim gdy chodzi o ropę – jest w bardzo trudnej sytuacji, a to oznacza, że musi zmienić nieco sposób działania. Musi się ucywilizować, bo Rosja w coraz mniejszym stopniu może dyktować warunki, a coraz bardziej musi działać na zasadach konkurencji.

Całkiem jednak możliwe, że Rosja prowadzi tu sprytną grę. Jej koncyliacyjna postawa w sporze z PGNiG może być sposobem na przekonanie zachodnich polityków oraz opinii publicznej, że nie mają do czynienia ze zbirami trzymającymi przy czyjejs skroni „gazowy pistolet”, ale z normalną, obliczalną firmą w zachodnim typie, która po prostu podporządkowuje się wyrokom międzynarodowego arbitrażu.

– Rosjanie mogą chcieć swoim postępowaniem przekonać Europę Zachodnią – tłumaczy Marek Menkiszak, szef

zespołu rosyjskiego w OSW – że oni są cywilizowani, natomiast prawdziwym problemem są Amerykanie, którzy z czegoś politycznych powodów chcą poprzez sankcje nakładane na budowę NS2 rzekomo zmusić Europę do kupowania od siebie drogiego gazu.

TECHNOLOGIA PRZYSZŁOŚCI

Jeśli Menkiszak ma rację, to nasza radość z wyroku sądu arbitrażowego w Sztokholmie – jakkolwiek oznacza on dla Polski konkretne pieniądze – może być nieco przesadna. Rosjanie są dobrzy w piarowo-psychologicznych grach, a to jest właśnie punkt, w którym kwestie kontraktu jamalskiego na gaz dla Polski i NS2 mogą się łączyć. Wszak to Polska jest uznawana za najbardziej nieufny wobec Rosji kraj w UE, więc jeżeli uda się przekonać zachodnią opinię publiczną, że to ocena całkowicie nieuprawniona, a Gazprom jest zwykłą firmą jak każda inna, to paradoksalnie w dłuższej perspektywie może to dla nas oznaczać problemy. Nawet jeśli doraźnie skorzystamy na tym finansowo.

W takiej rosyjskiej grze może chodzić o czystą technologię przyszłości – wodór. Niemcy bardzo poważnie traktują swoją strategię wodorową. Wodór jest tam już teraz nazywany „ropą XXI w.”. Ten gaz można oczywiście produkować na miejscu – to dość energochłonny proces – ale można go również sprowadzać. I do tego właśnie może posłużyć NS2. Już w październiku 2019 r. James Watson, sekretarz generalny Eurogas – organizacji reprezentującej dystrybutorów gazu wobec unijnych instytucji – po rozmowach z reprezentantami Gazpromu oznajmił, że NS2 mógłby dostarczać Europie właśnie produkowany w Rosji wodór, wykorzystując do tego aż 80 proc. swojej zdolności przesyłowej.

Nasze arbitrażowe zwycięstwo nad Gazpromem wygląda dobrze przed wyborami i jest oczywiście relatywnym sukcesem – zwieńczeniem sześciu lat konsekwentnej walki. Warto jednak patrzeć szerzej. Kwestia wykorzystania wodoru, miejsca jego wytwarzania oraz użycia do jego transportu niemiecko-rosyjskiego rurociągu powinna nas zajmować już teraz. Szczególnie że wodorowale wariant dla NS2 wpisuje się doskonale w ekologiczną agendę UE, wobec której Polska jest z konieczności najbardziej sceptyczna. A to nie zjednuje nam przyjaciół.



Łukasz Zboralski

Z wyrzuconych przez innych przedmiotów w Polsce można już sobie urządzić mieszkanie. Setki tysięcy osób informują w sieci o rzeczach pozostawionych przy śmietnikach lub oddawanych w ramach porządków. Są też „wystawki”, które jeszcze 20 lat temu były dla nas dziwem zza Odry

W latach 90. polskie komisje pełne były mebli przywożonych z Holandii czy rozmaitych używanych rzeczy zwożonych z ulic niemieckich miast. Dla Polaków było to wciąż czymś niezwykłym, że ludzie oddają rzeczy nadające się do użytku, za które nie chcą nawet symbolicznych pieniędzy. Dzisiaj wystawianie przed dom przedmiotów, których już nie potrzebujemy, także w Polsce zaczęło być czymś powszechnym. – W naszej miejscowości w wieczór przed odbiorem śmieci gabarytowych widuję nawet regularnie kursujące samochody dostawcze, które kręcą się po okolicy w poszukiwaniu łupów – opowiada pan Andrzej ze wsi sąsiadującej ze stolicą. – I naprawdę można znaleźć tam wiele. Widziałem komputery stacjonarne; zestawy opon samochodowych, których bieżnik spokojnie nadawał się do dalszej jazdy; carvingowe narty z wiązaniami, których krawędzie spokojnie dawało się jeszcze naostrzyć na kilka sezonów, czy ramy łóżek z popularnego wielkiego sklepu, z których np. elementy podnoszenia czy żebrowania od czasu do czasu trzeba wymienić, więc można było je z nich wymontować – wylicza.

GRATY W SIECI

Internet umożliwił coś lepszego niż polowanie na niewiadomą na ulicach miast. Dzięki sieci można polować na rzeczy wirtualnie. W Polsce nastąpił rozkwit grup na Facebooku, których użytkownicy wymieniają się takimi informacjami. Wiele osób, przechodząc koło śmietników i widząc w nich rzeczy nadające się do dalszego wykorzystania, wrzuca do sieci zdjęcie z opisem

Łowcy „śmieci”

lokalizacji. Ci, którym taki przedmiot jest potrzebny, ścigają się, by dotrzeć po niego pierwsi. Czasem informujący o znalezisku gotowi są dla chętnych taki przedmiot zabrać i przechować.

Wielu ludzi oddaje też zbędne im w domu przedmioty bezpośrednio. Zasada w tych grupach społecznych zatytułowanych „Uwaga! Śmieciarka jedzie” jest tylko jedna – nie można brać pieniędzy za coś, co przecież i tak miało wylądować na śmietniku.

– To ułatwia wiele spraw z pozbywaniem się zbędnych rzeczy – mówi pani Monika z Warszawy, która korzystała ze stron „Uwaga! Śmieciarka jedzie”.

– Na przykład kiedyś robiliśmy remont mieszkania i zdemontowaliśmy starą szafę z zabudowy oraz stare meble kuchenne. Trzymanie tego wszystkiego przed domem i czekanie na rzadki termin odbioru śmieci gabarytowych byłoby kłopotliwe. Z kolei

samodzielne dowieszenie tego na wysypisko to potrzeba wynajęcia samochodu dostawczego, to koszt. Razem z mężem opublikowaliśmy więc informację, że te rzeczy są do wzięcia za darmo. Następnego dnia najpierw przyjechał młody pan, który przerabiał mieszkanie swojej babci i potrzebował właśnie szafy, którą sobie zamierzał dopasować. Dzień później zjawili się samochodem dostawczym młodzi ludzie spod Warszawy. Urządzali sobie kuchnię, dzięki temu meble do niej mieli już z głowy.

Internetowej akcji nie byłoby, gdyby nie pewien przypadek. Projektantka wzornictwa przemysłowego Dominika Szaciłło założyła pierwszy taki profil na polskim Facebooku w kwietniu 2013 r., bo nie mogła znieść widoku wspaniałych krzeseł, które miały skończyć na wysypisku.

– Mieszkałam na Saskiej Kępie z widokiem na śmietnik – opowiadała podczas





FOT. ADAM STOLC

pokoju. – Nie zdawałam sobie sprawy, że gdy coś od kogoś bierzemy, to jest takie niesamowite uczucie, że dostaje się coś za darmo – relacjonowała w podcaście.

Jej akcja tak bardzo się rozkręciła, że interesuje się tym w Internecie już ponad 200 tys. osób w Polsce. Profile „Uwaga! Śmieciarka jedzie!” powstają też co chwila lokalnie w innej miejscowości. Liczba grup przekroczyła już setkę.

Dominika Szaciłło za swój „śmieciowy” pomysł została niedawno doceniona w ekologicznym plebiscycie zorganizowanym przez Lirene „Kobieta. Innowacja. Natura”. W kategorii Lifestyle zdobyła zarówno nagrodę jury, jak i przyznawaną przez internautów.

CZEGO TU NIE ZNAJDZIECIE

Projektantce z Warszawy udało się trafić w lepszy trend społeczny niż lansowany przez zamożnych młodych ludzi z wielkich miast. Wcześniej bowiem zaczęła się np. moda na wyszukiwanie ciekawych mebli używanych. Te, często z okresu PRL, po renowacji wystawiane są w sieci za olbrzymie pieniądze – i znajdują nabywców.

Tymczasem „śmieciarka” sieciowa pozwala ludziom po prostu skorzystać z używanych mebli, oddawanych przez innych. Często też są stylowe. Oczywiście istnieją przy tym pewne niebezpieczeństwa – starzy bywalcy takich grup ostrzegają, że razem ze starym meblem do domu można sobie zawlec np. pluskwy.

Czasem za darmo można wziąć i drogie rzeczy. Tylko w warszawskich ogłoszeniach z ostatniego miesiąca były np. iPod czy huśtawka dla dzieci warta ok. 500 zł. A zdarzają się bardziej nietypowe ogłoszenia.

Wśród ogłoszeń o oddaniu przedmiotów za darmo zdarzają się też naprawdę niewiarygodne oferty i co może jeszcze bardziej niewiarygodne – wszystkie znajdują ludzi, którzy proszą, by to dla nich odłożyć czy że po to przyjadą. Przykłady? Tylko z ostatnich dni:

Pani Marta z Bemowa kilka dni temu zamieściła zdjęcie potartej marchwi w misce. „Czy ktoś ma ochotę na wyłoki z marchewki po wyciśnięciu marchewki przez wyciskarkę?” – napisała. W wątku mnóstwo ludzi wymieniło się przepisami na dodanie takiej marchewki do burgerów czy ciasta. Pani Beata chciała marchew dodać do mydła własnego wyrobu, ale nie mogła marchewki odebrać od razu. Pani Agata zapytała: „Można odebrać dzisiaj”?

Pani Olga zaoferowała nietypowe mydło w kształcie mężczyzny: „Imielin. Hawajska. Mydlany facet. Sama nie wiem, skąd wziął się w mojej łazience”. Na jej post odpowiedziały 33 zainteresowane osoby.

Wśród używanych mebli, sprzętów AGD, ubrań, ubranek dziecięcych, zabawek, starych komputerów (nawet rarytasów kolekcjonerskich takich jak Atari czy Commodore), sportowych sprzętów (np. kilka rowerów naraz) trafiają się ogłoszenia naprawdę dziwaczne. O dziwo też są na nie chętni. Są więc ludzie zapisujący się m.in. na rzesę do akwarium, kartonowy model bazy z animacji dla dzieci pt. „Psi patrol”, specjalne smoczki dla dzieci do jedzenia owoców, opakowania po słodyczach, tampony menstruacyjne, prezerwatywy (z ważnym terminem przydatności) czy używane gadzety erotyczne.

Czy oddawanie rzeczy za darmo to znak, że Polacy są coraz bogatsi? – Jest to oczywiście oznaka zamożności – odpowiada Maciej Bitner, ekonomista. – Zamożność ma bowiem pewną drugą stronę i to obserwujemy wszędzie na świecie w gospodarce rynkowej. Gdy zarabiamy więcej, za rezygnację z czasu wolnego trzeba też nam więcej zapłacić. Nasz wolny czas staje się dla nas coraz cenniejszy. Więc poświęcanie go, żeby zaplanować i doprowadzić do sprzedaży rzeczy za 20 zł, staje się dla nas nieopłacalne – tłumaczy.

Ekonomista wskazuje, że w tej sprawie znaczenie ma też wzrost świadomości zrównoważonego wzrostu wśród konsumentów, o którym mówią i eksperci ekonomii, i działacze społeczni. Ludzie coraz częściej rozumieją, że wytwarzanie przedmiotów to też koszt m.in. dla środowiska. Dlatego wymieniają się używanymi rzeczami, tworząc ich bardziej zamknięty obieg. Ekspert zauważa też wpływ – wśród ludzi, którzy nie mają już negatywnych osobistych skojarzeń z PRL – mody na niektóre meble z okresu Polski Ludowej, które prostym designem przypominają poszukiwane i ładne wzornictwo skandynawskie.

Sam jednak uważa, że rzeczy nie powinno się oddawać zupełnie za darmo. – Jako ekonomista mam poczucie, że gdy człowiek zapłaci nawet niewielką kwotę za przedmiot, to jest większa szansa, że naprawdę będzie go używał – mówi Bitner. – Dlatego namawiałbym jednak, by niepotrzebne rzeczy odsprzedawać choćby za niewielką kwotę.

wywiadu w podcaście „Tak słucham”. – Przy śmietniku wylądowały superkrzesła, stare, z lat 50. Ja już nie miałam miejsca, mieszkalam w 40-metrowym mieszkaniu, w którym było bardzo dużo rzeczy po dziadku mojego męża, miałam też masę rzeczy po babci i dopchnąć tam jeszcze tych krzeseł się nie dało. Pomyślałam, że zmarnować się nie mogą, a jutro przyjeżdża śmieciarka. Założyłam więc fanpage na FB i posta z niego udostępniłam na swoim wallu. Po 15 minutach znajomi z Saskiej Kępy zgarnęli te krzesła, bardzo zadowoleni.

Przyznaje, że sama – w związku z brakiem miejsca – przez długi czas rozwoju tej akcji sama niczego sobie nie wzięła. Pierwszy raz przyniosła „śmieci” do domu po trzech-czterech latach funkcjonowania internetowej społeczności. To była szyna do podwieszanych drzwi, której potrzebowała do dziecięcego

Polska Aleja Tornad



Radosław Wojtas

Polska niczym Stany Zjednoczone ma swoją aleję tornad? Są takie miejsca w kraju, gdzie prawdopodobieństwo wystąpienia trąb powietrznych jest większe. Choć ich siła rzadko zbliża się do najpotężniejszych kataklizmów z USA czy Argentyny, to i u nas zdarzały się tornada, które zabijały ludzi, łamały drzewa jak zapałki, rzucały samochodami i wykolejały pociągi

Pierwsze co to chce się płakać... Później walczyliśmy do nocy, żeby uchronić to, co zostało – opowiada w telewizyjnym reportażu, stojąc przed pozbawionym dachu domem, Bartosz Januszyk. Jego posesja była na pierwszej linii trąby powietrznej, która 7 czerwca uderzyła w Kaniów, niewielką miejscowość pod Bielskiem-Białą. Nawalnica nie tylko zerwała dach i uszkodziła ściany – zniszczeniu uległa nawet bateria prysznicowa, więc dom trzeba było ratować przed zalaniem. Załamanie pogody przyszło nagle i było krótkotrwałe; pan Bartosz ocenia, że trąba powietrzna nad jego posesją mogła utrzymywać się góra kilkanaście sekund. – Słyszałem, jak żona krzyczy, że garaż nam porwało. Wyleciałem na korytarz, tylko córkę wziąłem pod pachę i uciekliśmy na dół. Widziałem już, jak dach się nad nami zwija – mówi reporterom TVN24. Na szczęście skończyło się na stratach materialnych. Nikt nie ucierpiał.

Trąba powietrzna uszkodziła tego dnia w Kaniowie ponad 20 budynków. Zrywała dachy i linie energetyczne, łęjsze elementy przenosząc na kilkaset metrów. I nie był to pierwszy taki przypadek

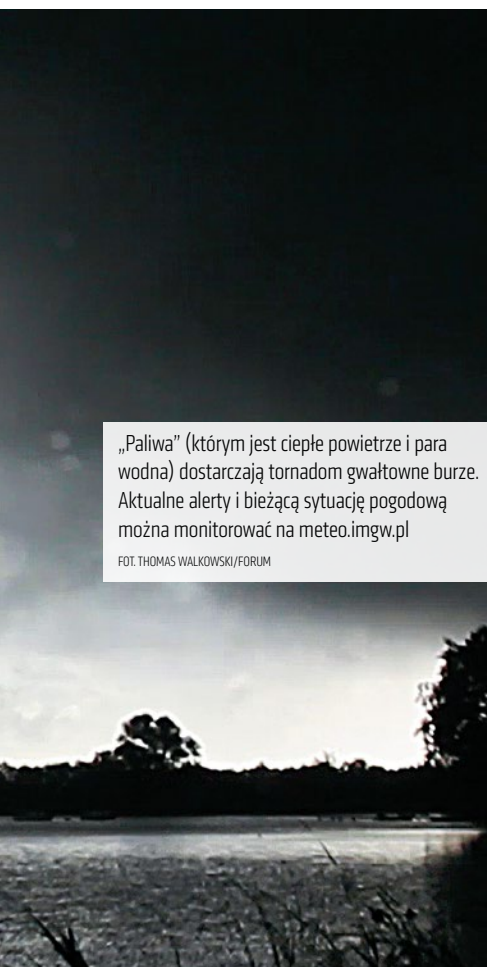
w tej miejscowości. „Tornado przeszło przez wieś w 2006 r. Wtedy szwagrowi orzech zmioło, zahaczyło o chałupę, ale poszło na szczęście dalej. Kilka domów wtedy ucierpiało, ale myśmy ocalili – relacjonował dziennikowi „Fakt” 72-letni Stanisław Pudło. – Po 14 latach znów się pojawiła. Tym razem to ja straciłem dach nad głową. Wszystko fruwało w powietrzu, dachówki okna, kawałki drzew, garaże. Kaniów to wieś przeklęta, co chwila jakiś kataklizm nas nawiedza”.

BRAMA MORAWSKA

Mówienie, że Kaniów to miejsce przeklęte, jest oczywiście przesadą, ale fakt, że miejscowość ta dwukrotnie została dotknięta przez nie tak przecież częste w Polsce zjawisko pogodowe, to też nie przypadek. Są takie rejony kraju, gdzie prawdopodobieństwo wystąpienia trąb powietrznych jest większe. Nawiązując do Alei Tornad, nieoficjalnej nazwy obszaru Stanów Zjednoczonych, na którym ze zwiększoną intensywnością występują trąby powietrzne, mówi się nawet o „polskiej alei tornad”. I tak trąby powietrzne występujące w Polsce można nazywać

tornadami, choć przyjęło się, by to określenie rezerwować wyłącznie dla zjawisk zachodzących w Stanach Zjednoczonych, gdzie są one najczęstsze i najbardziej intensywne. – Trąby powietrzne występujące nad Polską zasadniczo nie różnią się od amerykańskich trąb powietrznych czy tornad, więc używanie tych słów jest kwestią pewnego zwyczaju – mówi „Do Rzeczy” Mateusz Barczyk, synoptyk Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej. – W Polsce nazwy „tornado” używamy zazwyczaj, gdy mamy do czynienia z silnym, niszczycielskim zjawiskiem – dodaje.

Skoro kwestię nazewnictwa mamy już rozstrzygniętą, to wróćmy do zasadniczego pytania: „Czy w Polsce mamy Aleję Tornad?”. Po wydarzeniach w Kaniowie odpowiedzi na nie podjął się IMGW, wskazując te miejsca naszego kraju, w których trąby powietrzne występują najczęściej. Miejscem numer jeden na polskiej mapie tornad jest Wybrzeże. To dobra wiadomość, bo większość wirów powietrznych obserwowanych w Polsce to tak naprawdę wiry wodne, tworzące się nad powierzchnią Bałtyku. – To zja-



„Paliwa” (którym jest ciepłe powietrze i para wodna) dostarczają tornadom gwałtowne burze. Aktualne alerty i bieżącą sytuację pogodową można monitorować na meteo.imgw.pl

FOT. THOMAS WALKOWSKI/FORUM

w zderzeniu z tą barierą górską mogą zostać rozbite i jest mniejsza szansa na to, że znów się rozkręca do takich rozmiarów, że wyprodukują prądy powietrzne – mówi Mateusz Barczyk.

Jednak w tym murze na południu kraju jest wyłom. To Brama Morawska, czyli obniżenie terenu między Karpatami i Sudetami. Burzom łatwiej tamtędy się przedostać do Polski bez utraty na sile. „Zjawisko »polskiej alei tornad« na Śląsku jest więc następstwem zwiększającej się aktywności burzowej w regionie Bramy Morawskiej, a częstsze i silniejsze burze podnoszą ryzyko pojawiania się w tym rejonie gwałtowniejszych trąb powietrznych” – wyjaśnia IMGW.

TORNADA NAD WISŁĄ

W Polsce odnotowuje się rocznie kilkanaście trąb powietrznych. Od początku XXI w. (dokładnie między 1 stycznia 2001 r. a 9 czerwca 2020 r.) w bazie eswd.eu zanotowano 352 takie zjawiska, z czego 61 miało postać trąb wodnych (ponad jedną szóstą wszystkich raportów). Średnia to zatem ok. 18 zdarzeń rocznie. Ich siłę mierzy się w skali Fujity-Pearsona. Określa ona poziom intensywności tornad (od F0 do F5) na podstawie poczynionych zniszczeń. Większość trąb powietrznych w Polsce to te najsłabsze: F0 i F1. Takie o intensywności F2 zdarzają się średnio raz, dwa razy w roku. Prędkość wiatru dochodzi wtedy do 180–250 km/h, a tornado jest w stanie wyrwać drzewa z korzeniami, zrywać dachy i unosić niewielkie samochody. Każdy następny poziom to większa niszczycielska siła. Silniejsze niż F2 tornado występują w naszym kraju raz na kilka, kilkanaście lat. Stopień trzeci ma już zdolność do wykołowania pociągów, czwarty rzuca pojazdami jak zabawkami, jest w stanie przewrócić nawet lokomotywę.

Do takiego przypadku doszło 20 lipca 1931 r., gdy tornado uderzyło w okolice Lublina, wywracało załadowane wagony i niszczyło solidne budynki. Zabiło sześć osób, a ponad sto raniło. Lublińskie tornado uważa się za najsilniejsze, jakie wystąpiło na ziemiach polskich odkąd zjawiska te są rejestrowane, ale najprawdopodobniej nie osiągnęło ono skali F5. Najwięcej potwierdzonych ofiar w ludziach było podczas tornada z 14 maja 1886 r., kiedy w Krośnie Odrzańskim i okolicach zginęło 13 osób. Jak piszą Mateusz Taszarek i Jakub Gromadzki w publikacji „Deadly Tornadoes in Poland from 1820 to 2015”, w ostatnich dwóch wiekach było w Pol-

sce łącznie niemal 40 tornad, w których ginęli ludzie. W XXI w. zdarzyły się dwa dni z tornadami, w których były ofiary. 15 sierpnia 2008 r., kiedy wiele trąb powietrznych przeszło przez Śląsk i ziemię łódzką, życie straciły dwie osoby. Jedna osoba zginęła na skutek tornada 14 lipca 2012 r.

ŁOWCY BURZ

– Tornado są dokładnie badane dopiero od kilkunastu lat, wcześniej brakowało danych i dlatego nie możemy mówić o trendach: czy jest ich więcej, czy są bardziej intensywne niż dawniej itp. – mówi Mateusz Barczyk. Dzisiaj, gdy niemal każdy ma telefon komórkowy zawsze przy sobie, może nagrać film czy zrobić zdjęcie i udokumentować trąbę powietrzną, danych tych jest więcej. Prężnie działają też stowarzyszenia pasjonatów, np. Polscy Łowcy Burz, którzy raportują bardzo dokładnie takie zjawiska. To sprawia, że o tornadach słyszymy coraz częściej, jednak w Polsce więcej ofiar i poważniejsze zniszczenia niż tornado niosą ze sobą występujące najczęściej latem intensywne burze i towarzyszący im porywisty wiatr. Wiele zniszczeń powodują też lokalne podtopienia spowodowane silnymi opadami deszczu. Zimą i wczesną wiosną występują natomiast niższe baryczne, nieco błędnie nazywane orkanami, które również bywają powodem poważnych szkód na dużych, często obejmujących kilka województw obszarach.

I każde z tych zjawisk – łącznie z tornadami – może się zdarzyć na terenie całego kraju.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



wiska dość spektakularne, ale oczywiście niezagrożające ludziom i ich dobytкови na lądzie – mówi Mateusz Barczyk. – Wiry wodne powstają najczęściej na przełomie sierpnia i września, czasami utrzymują się do początku października, kiedy przy nadal ciepłym morzu i chłodnym powietrzu potencjał ruchów pionowych jest znaczny – tłumaczy.

Bardziej niebezpieczne są te tornado, które tworzą się na lądzie. Gdzie najczęściej? Tam, gdzie obserwujemy zwiększoną częstotliwość burz, bo trąby powietrzne to często zjawiska towarzyszące burzom. W Polsce to głównie województwa: śląskie, opolskie, małopolskie, świętokrzyskie, łódzkie i mazowieckie. Gwałtowna forma burzy, tzw. superkomórka, zapewnia trąbie powietrznej niezbędne paliwo – ciepłe powietrze i parę wodną. Najbardziej energetyczne masy powietrza napływają do Polski z południa. To burze, które wykształcają się jeszcze nad Alpami. Pewnym zabezpieczeniem przed nimi są góry. – Bardzo dobrze wykształcona burza raczej nie robi sobie wiele z naszych gór, ale często burze, które powstaną gdzieś w rejonie Austrii, Czech czy Słowacji,

Przejeżdżając przez podlaskie Michałowo, nie sposób się nie zatrzymać obok drewnianej cerkwi z 1908 r. pod wezwaniem św. Mikołaja, której błyszczące kopuły widać z daleka. Ci, którzy mają czas na chwilę relaksu, mogą skorzystać z miejskiej plaży nad michałowskim zalewem lub zanurzyć stopy w wodach rzeki Supraśl. Jednak już za kilka lat do tego trzytysięcznego miasteczka gości może przyciągać zupełnie inna atrakcja – Centrum Disco Polo. Władze gminy Michałowo złożyły już wniosek o dofinansowanie jego budowy.

– Górale mają swoją muzykę, w Stanach Zjednoczonych mają country, a na Podlasiu od 30 lat z dużym sukcesem rozwija się disco polo. Centrum poświęcone temu gatunkowi muzyki to nie tylko krok naprzód, jeśli chodzi o promocję Michałowa, lecz także całego regionu, szansa na nowe miejsca pracy – mówi Marek Nazarko, burmistrz Michałowa.

LIDER BOYS NAUCZYCIELEM

Na Centrum Disco Polo będzie się składać hala widowiskowo-sportowa, pomieszczenia do nauki tańca, śpiewu, gry na instrumentach. Burmistrz planuje koncerty, gale, konkursy młodych talentów. – Wygospodarujemy także pomieszczenia na pierwsze w kraju muzeum muzyki disco polo. Myślę, że z eksponatami nie będzie problemu i gwiazdy disco polo chętnie nam je przekażą. Lepiej przecieć, by pierwsze gitary czy marynarki twórców tej muzyki były wyeksponowane na wystawie, niż by miały butwieć gdzieś na strychu – mówi Marek Nazarko, ale zaznacza, że planowane muzeum będzie placówką interaktywną. – Nie chodzi nam jedynie o zgromadzenie eksponatów związanych z gwiazdami discopolowej sceny muzycznej, ale o to, by pokazać epokę, w której rozwijała się ta muzyka, jej wpływ na społeczeństwo, politykę, ekonomię. Chcemy pokazać disco polo jako zjawisko popkulturowe – tłumaczy burmistrz Michałowa.

Kompleks ma zostać ulokowany przy Zespole Szkół w Michałowie. Nieprzypadkowo. Należące do tego zespołu Liceum Ogólnokształcące prowadzi już rekrutację do klasy o profilu estradowym. Uczniowie, którzy zdecydują się na naukę w tej klasie, obok przedmiotów przewidzianych dla uczniów liceów mogą liczyć na zajęcia z gwiazdami disco polo. W lutym na konferencji prasowej w michałowskim



Country w Nashville, disco polo w Michałowie



Agnieszka Niewińska

Liceum w podlaskim Michałowie prowadzi nabór do klasy disco polo. Władze miasta chcą, by przy szkole powstało Centrum Disco Polo i discopolowe muzeum. Złożyły wniosek o fundusze na budowę

liceum pojawił się lider zespołu Boys Marcin Miller, który ma zapoznawać uczniów z techniką estradową, prowadzeniem imprez. Doradzi, jak założyć zespół i stworzyć prawdziwy przebój. Uczniowie klasy estradowej będą poznawać tajniki zawodu DJ-a czy prezentera muzycznego,

ćwiczyć głos, przygotowywać własny repertuar. Do dyspozycji będą mieć gminne studio nagrań oraz możliwość współpracy z Pracownią Filmu Dźwięku i Fotografii w Michałowie.

– Do szkoły już wpłynęły pierwsze podania o przyjęcie do klasy estradowej

– mówi burmistrz Michałowa i dodaje, że klasa o interesującym młodzież profilu ma ją zainspirować do nauki, pomóc spełnić marzenia i sprawić, by zostali w Michałowie i okolicach, zamiast wyjeżdżać do szkół np. w Białymstoku. – Zamiast narzekać na to, że mniejsze miasta się wyludniają, a młodzież ucieka do większych ośrodków, szukamy pomysłów, by ją zatrzymać, wyjść naprzeciw jej oczekiwaniom. Kiedy przejmowaliśmy szkołę w Michałowie, było w niej nieco ponad 20 uczniów. Nie chcemy czekać z założonymi rękami, aż szkoła upadnie, stąd nowe propozycje, takie jak klasa o profilu estradowym – tłumaczy burmistrz Nazarko. Jego największym hobby jest co prawda gra w brydża, a nie disco polo, ale od słuchania tego typu muzyki się nie odżegnuje. – Prawda jest taka, że każdy od czasu do czasu słucha disco polo czy bawi się przy tej muzyce. To jest tak jak z miłośnikami psów: każdy z nich śpi ze swoim pupilem, tylko nie każdy się do tego przyznaje – kwituje burmistrz.

Psycholog społeczny prof. Zbigniew Nęcki tłumaczy, że nieprzyznawanie się do disco polo to element budowy własnego wizerunku. – Chodzi o kreowanie siebie na kogoś, kto obcuje z kulturą wyższą. Nie chcemy przyznawać się do sympatii do disco polo, bo w dobrym tonie jest raczej narzekanie na tę muzykę. A że po cichu robimy sobie przyjemność, puszczając kawałki disco polo, to inna sprawa. Taka obłuda to rodzaj gry społecznej, w ramach której ukrywamy to, co może zostać uznane za nasz minus, i eksponujemy to, co może zyskać uznanie w oczach innych.

TONA SKANERA, DWIE TONY SHAZZY

Judyta Sierakowska, autorka wydanej w ubiegłym roku książki „Nikt nie słucha. Reportaż o disco polo”, zwraca uwagę, że już w latach 90. inteligencja i krytycy muzyczni pogardzali disco polo: – Mimo to kasety z tą muzyką rozchodziły się w wielomilionowych nakładach, a i tak nikt nie bawił się w liczenie – zamawiano np. tonę Skanera czy dwie tony Shazzy. Kiedy w 2002 r. z telewizji zniknęły programy „Disco Relax” i „Disco Polo Live”, disco polo znalazło się w kryzysie. Trwało to kilka lat, ale pojawienie się w wielu domach Internetu i choćby serwisu YouTube pokazało prawdziwe gusta muzyczne Polaków i pozwoliło gatunkowi się odrodzić. To utwór Weekendu „Ona

tańczy dla mnie” był pierwszym z Polski, który osiągnął na YouTube 100 mln wyświetleń i znalazł się w światowym zestawieniu 100 hitów tego serwisu. Teraz utworów disco polo „milionerów” jest mnóstwo. W ubiegłym roku piosenka „Ona by tak chciała” Ronniego Ferrari zdobyła 100 mln odsłon na YouTube zaledwie w pięć miesięcy! Badania CBOS sprzed dwóch lat pokazały, że disco polo lubi 63 proc. Polaków, w tym 23 proc. bardzo. Czy te liczby mogą kłamać? – pyta Judyta Sierakowska.

Skąd ta sympatia, skoro w przestrzeni publicznej upadek tego nurtu muzyki wieszczy się od lat 90., a o twórcach disco polo mówi się jeśli nie z lekką pogardą, to przynajmniej z przekąsem? – Ta muzyka ma bawić i wspaniale wywiązuje się z tego zadania. Jest rytmiczna, wprost do tańca, a teksty piosenek są łatwe do zapamiętania. Disco polo – co istotne – jest wesołe, optymistyczne, a ludzie właśnie tego potrzebują. Marcin Miller tłumaczył mi, że oni nie będą śpiewać o śmierci, chorobach, problemach, bo nie tego od nich oczekuje publiczność. Disco polo wprowadza słuchaczy w dobry nastrój i dlatego świetnie sprawdza się na festynach czy weselach – wyjaśnia autorka książki „Nikt nie słucha. Reportaż o disco polo”.

STEREOTYP „WIOSKOWYCH CZEŚKÓW”

– Są sytuacje, do których pasują lekkie rytmiczne kawałki wpadające w ucho, takie przy których nogi same rwą się do tańca. Podczas biesiady nikt nie będzie przecież słuchał kompozycji Krzysztofa Pendereckiego – zwraca uwagę prof. Nęcki i zaraz dodaje, że muzyki Pendereckiego dotyka odwrotnie niż disco polo zjawisko. – Zdarza mi się pytać ludzi o muzykę tego kompozytora. Słyszę w odpowiedzi same pochwały, bo większość z nas wie, że to wybitna postać. Jednak kiedy dopytuję rozmówców, czy słuchają muzyki Pendereckiego, to okazuje się, że aż tak daleko ich zainteresowanie nie sięga i tych kompozycji po prostu nie znają.

Judyta Sierakowska też zwraca uwagę na to, że chcielibyśmy kojarzyć się jako kraj ze słuchaczami muzyki Chopina czy Moniuszki. – Ale mamy genealogię chłopską i lubimy muzykę biesiadną. Prawda jest taka, że to nie jest tylko nasza specyfika, tzw. ambitna muzyka nie uniesie imprezy plenerowej. Wystarczy trafić na

festyn w Niemczech, we Francji czy w Czechach i porównać. A latino disco? To nawet miliardy wyświetleń. Choćby „Despacito” Luisa Fonsiego ma na YouTube 6,8 mld odsłon, a on sam śpiewa: „Powolutku, chcę rozbierać cię w pocałunkach, powolutku...”. Często teksty hitów twórców tego nurtu stoją na niższym poziomie niż te znane nam z utworów disco polo – zaznacza Judyta Sierakowska.

Podkreśla, że choć disco polo to społeczny fenomen, to wciąż nie jest traktowane poważnie. – Musiałam walczyć o to, by napisać książkę o fenomenie disco polo. Trzydzieści lat historii, ogromny wpływ na politykę czy gospodarkę, a temat jest traktowany jak gorący kartofel. Byłam zdumiona tym, że nie powstały żadne poważne publikacje o tej branży, a sami muzycy byli zdziwieni tym, że kogoś w ogóle interesuje poważna rozmowa z nimi. To są ludzie, którzy doskonale pamiętają lata 90., zmiany, które zachodziły w Polsce i w ich regionie. Często pochodzą z małych miejscowości, nie mieli znajomości ani dostępu choćby do profesjonalnego sprzętu czy studia nagrań. Część zespołów, takich jak Boysi – co wielu może zdziwić – na początku kariery grała kawałki Depeche Mode. Jednak życie szybko zweryfikowało ich wybory i zobaczyli, jakie są potrzeby słuchaczy. To disco polo zapewniło im rozpoznawalność, tłum na koncertach i oczywiście pieniądze. Inteligencja uważają muzyków disco polo za takich „wioskowych Cześków”, trzy takty na krzyż. Tymczasem część z nich ma ukończone studia, wykształcenie muzyczne, niektórzy dobrze odnaleźli się w biznesie i mądrze inwestują zarobione pieniądze. Warto było oddać im głos – podkreśla Judyta Sierakowska.

Na głos i poważne traktowanie twórcy disco polo mogliby liczyć w planowanym w Michałowie Centrum Disco Polo. Czy to podlaskie miasteczko stanie się tym dla disco polo, czym dla muzyki country jest Nashville w stanie Tennessee?

Michałowo planuje budowę Centrum Disco Polo na lata 2024–2026. Koszt inwestycji to 11 mln zł. O przyznaniu funduszy zdecyduje marszałek województwa podlaskiego. – Mam nadzieję, że nie będzie miał wątpliwości – mówi burmistrz Marek Nazarko. – To doskonała promocja dla naszego regionu. Budowa Centrum Disco Polo jeszcze nie ruszyła, a już mówi o nim cała Polska. Czy to nie jest najlepsza rekomendacja?



Krzysztof Masłoń

Zarzucać Sienkiewiczowi rasizm mogą jedynie idioci, których skądinąd mamy wysyp

Katarzyna Fiołek, nauczycielka z Sochaczewa, po trzech dniach zbierania podpisów pod petycją do ministra edukacji narodowej z żądaniem usunięcia z listy lektur rasiistowskiej, jej zdaniem, powieści Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy” zakończyła akcję. „Otworzyłam rano skrzynkę – opowiadała – i zobaczyłam stos wiadomości z wyzwiskami. Mam dość. Nie będę umierać za Sienkiewicza”. Udało się jej zebrać 1903 podpisy; nie dowiedzieliśmy się, jak duży był ów „stos” z rzekomymi inwektywami sprowadzającymi się – jak można sądzić – do zdumienia, że to polonistka ujawnia podobne cenzorskie zapędy i udzielania pani Fiołek rady, by dała spokój z nauczaniem.

Pomysł sochaczewskiej nauczycielki to obok pomazania pomnika Tadeusza Kościuszki w Warszawie najbardziej znany polski odzew na zabójstwo w Minneapolis 46-letniego czarnoskórego George’a Floyda. Można rzec, że to nasz rodzimy wkład w modernistyczną rewizję tzw. białego przywileju, będącą efektem brutalnej interwencji amerykańskiej policji. Ale w jakim celu używa się do tego popularnej i lubianej – zdawałoby się – powieści naszego pierwszego laureata Nagrody Nobla?

„Nie boję się stwierdzić, że »Pustyni i w puszczy« to książka, mimo wszystko, rasistowska – orzekła Katarzyna Fiołek. – W świecie śmierci z powodu koloru skóry nie pozostaje nic innego, jak stwierdzić, że Kali ma twarz George’a Floyda”. Następnie dowiadujemy się, że powieść „przedstawia Afrykanów i Arabów w sposób właściwy dla XIX w., utrwalając szkodliwe stereotypy i krzywdząco przerysowując kulturowe różnice. To książka, która pomimo wielu swoich wspaniałych cech [jakich? – przyp. K.M.] uczy pogardy, braku szacunku i poczucia wyższości nad każdym, kto nie jest białym chrześcijaninem. Jaki jest cel indoktrynowania uczniów myśleniem o świecie sprzed stu sześćdziesięciu lat?”



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Fiołkowe brednie

„Dzieci – czytamy dalej – z powieści Sienkiewicza nie dowiedzą się, że powstanie Mahdiego spełniło ważną funkcję w ruchu wyzwoleniczym, nie dowiedzą się, że czarnoskórzy mieszkańcy kontynentu nie są głupi i bojaźliwi. Na początku XXI w. »W pustyni i w puszczy« nadal legitymizuje właśnie kolonialną wizję świata. Nie ma na to mojej zgody jako polonistki, matki dzieci w wieku szkolnym, ale także humanistki, która, widząc i słysząc hasła »Black Lives Matter« i ostatnie, niezwykle wstrząsające »I can't breathe« wie, że dla Kalego i Mei miejsce we współczesnym świecie jest już zupełnie inne niż to, które wymyślił im Sienkiewicz”.

„Nie próbuję odbierać Sienkiewiczowi, naszemu pierwszorzędnemu pisarzowi drugorzędnemu [ależ łaskawa jest ta pilna czytelniczka Gombrowicza – przyp. K.M.], talentu i warsztatu, ale sen Martina Luthera Kinga nie ziści się także między innymi dlatego, że polskie szkoły podstawowe karmią uczniów i wychowanków literaturą, która zatwierdza porządek świata, jakiego albo już nie ma, albo jaki rozpaczliwie czarne społeczności w różnych miejscach na świecie próbują rozbić”.

OJCZYŻNA – NAUKA – CNOTA

Jak powstało „W pustyni i w puszczy”, ostatnia z wielkich powieści noblisty? W Boże Narodzenie 1909 r. w liście do Wandzi Ulanowskiej, adoptowanej córki swego krakowskiego przyjaciela, prof. Bolesława Ulanowskiego, Sienkiewicz zapowiadał: „Ponieważ każdy powieściopisarz powinien, podług mego zdania, choć raz w życiu coś i dla dzieci napisać, więc postanowiłem zacząć i dostarczyć do przyszłego Nowego Roku (to jest do 1911) powieść pod tytułem »Przygody dwojga dzieci w Afryce Środkowej«. Będzie tam występował chłopiec Polak, dziewczynka Angielka, a prócz tego Beduini, Arabowie, Murzyni-ludożercy, nie licząc słoni, krokodyli, lwów, hipopotamów etc.

Chcę to tak napisać, by książkę mogły czytać z ciekawością nie tylko dzieci, ale i panienki trzynastoletnie, a nawet i dorośli. Ponieważ takie utwory bardzo się rozchodzą, więc będzie to nadzwyczaj łakoma rzecz dla księgarzy i dlatego trzymam to jeszcze w sekrecie, żeby przed czasem do mnie nie szturmowali”.

Jesienią 1910 r. „Kurier Warszawski” drukować zaczął „W pustyni i w puszczy”,

bo taki tytuł ostatecznie nadał pisarz nowej powieści. W wydaniu książkowym ukazała się w grudniu i cały nakład rozszedł się od razu. Żadna książka Sienkiewicza nie rozeszła się tak błyskawicznie i nie zyskała tak jednoznacznie przychylnych, ba – entuzjastycznych – ocen. I nie dziwota, prozaik „skończył bowiem – jak stwierdził po latach Józef Szczublewski – arcydzieło. Od siedmiu lat w kraju uznano go za wygasłego pisarza”.

**„Wpierw, aniołku,
napisz choć jedno zdanie
tak dobrze, jak pisze
Sienkiewicz, a potem
wygłaszaj o nim sądy”**

Szczęśliwie minął już wtedy szczyt antysienkiewiczowskiego nurtu, który ujawnił się na ziemiach polskich po otrzymaniu przez powieściopisarza Nagrody Nobla. „Później – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz – lekceważący stosunek do największego nie tylko naszego, lecz światowego prozaika tych czasów nabrał charakteru prawdziwego snobizmu. Jak jeszcze teraz czytam jakiegoś literacina z lekceważeniem piszącego o Sienkiewiczu, to chce mi się zawsze powiedzieć: »Wpierw, aniołku, napisz choć jedno zdanie tak dobrze, jak pisze Sienkiewicz, a potem wygłaszaj o nim sądy«. Literat pracuje w słowie, tak jak inni pracują w glinie, marmurze czy brązie, w barwie czy dźwięku. Zarzuty, że Sienkiewicz nie jest głęboki, mogą być wygłaszane tylko przez durni. Postacie z »Pana Tadeusza« także nie są tak pogłębione psychologicznie jak bohaterowie Dostojewskiego, nie znaczy to jednak, że »Pan Tadeusz« nie jest arcydziełem literatury. Pod względem piękna literackiego języka wśród prozaików drugiej połowy XIX wieku tylko Tołstoj równa się Sienkiewiczowi i obaj nie posiadają żadnego konkurenta w literaturze narodów zachodnioeuropejskich”.

No dobrze, ale dlaczego mamy utrzymywać przez lata „W pustyni i w puszczy” wśród lektur obowiązkowych, skoro – jak widzimy i słyszymy – świat się zmienił, i to diametralnie? Odpowiem tak: bo nic lepszego od tamtej pory dla dzieci nie napisano. „Murzynek Bambo” Tuwima też nie jest dziś politycznie

poprawny, ale na razie poety nie wykłina się, niewykluczone, że ze względu na jego żydowskie pochodzenie.

Sienkiewicz, niestety, sympatyzował z endecją, co czyni go wrogiem całej postępowej ludzkości, i taki na przykład Jacek Żakowski pozwala sobie na nim jeździć jak na łysej kobyle. Także nieżyjący już Ludwik Stomma dworował z „W pustyni i w puszczy” co niemiara, tak że Fiołek z Sochaczewa bynajmniej nie jest pierwszy. Całkiem źle jest jednak dlatego, że to nie kolejny felietonista czy facecjonista robi z siebie głupa na użytek gawiedzi, ale bredzi pedagog, nauczycielka udająca, że nie dostrzega pokładów patriotyzmu tkwiących w tej niezwykłej powieści, tego, że Staś Tarkowski z „W pustyni i w puszczy” jawi się jako wzór młodego Polaka. Wzór, z którym na dobrą sprawę nie jest w stanie konkurować żaden inny bohater literacki.

W przygodach Stasia i Nel możemy wprawdzie widzieć wyłącznie polską odmianę Robinsonów, byłoby to jednak znacznym uproszczeniem. Nie docenia się także związków książki Sienkiewicza z dopiero co powstałym w Anglii i przenoszonym na grunt polski skautingiem. Ruch ten zainicjowany przez gen. Roberta Baden-Powella, którego pomniki są obecnie obalane (nasz rodzimy Fiołek to cwana gapa i dobrze wie, co jest trendy), stworzył system wychowania dzieci i młodzieży w duchu patriotycznym i – uwaga! uwaga! – religijnym. Polski noblista najprawdopodobniej nie znał przełożonej na polski książki twórcy tego systemu, a „Harce młodzieży polskiej” miały się dopiero ukazać, niemniej jednak na pewno czytał Kiplinga, ewidentnego ojca duchowego skautingu.

Kiedy proponował „Kurierowi Warszawskiemu” publikację „W pustyni i w puszczy” w odcinkach, niejako usprawiedliwiając się, że jest to utwór dla młodzieży, odwoływał się właśnie do twórcy „Księgi dżungli” i „Kima”: „Jakkolwiek rzecz jest dostosowana do młodych umysłów, traktuję ją jednak zupełnie artystycznie i tak, jak to czyni w swoich książkach Rudyard Kipling, którego utwory czytają z jednakim zajęciem dorośli i niedorośli”.

Warto pamiętać, że czas powstania „W pustyni i w puszczy” to również czas tworzenia Polskich Drużyn Strzeleckich, bez których nie byłoby Legionów Piłsudskiego; to także czas rodzenia się innych organizacji o charakterze

nie tylko paramilitarnym, lecz także niepodległościowym. A niezależnie od różnic dzielących je od skautingu korzenie były te same, a wykreowany przez Sienkiewicza Staś Tarkowski ze swoim idealizmem, energią, sprawnością fizyczną i czystością moralną w sam raz pasował do mającego dopiero powstać polskiego harcerstwa, polskiej wersji ruchu skautowskiego.

POD TWOJĄ OBRONĘ

Bodaj najważniejszą sceną powieści jest spotkanie Stasia z Mahdim, kiedy to chłopiec nie zgadza się na przyjęcie nauki proroka. Ten – jak pisał Sienkiewicz – „nieodrodny potomek obrońców chrześcijaństwa, prawa ręka zwycięzców spod Chocimia i Wiednia” wykazuje tym samym wielką odwagę, bo ryzykuje życie i swoje, i Nel. Nie waha się jednak, gdyż – rzekłbym – ma swoje zobowiązania jako Polak i jako chrześcijanin. Sądzę, że każdy czytelnik „W pustyni i w puszczy” zapamiętał także tę powieściową scenę, w której Staś po porwaniu dzieci przez Beduinów modli się na pustyni: „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko”.

W tym miejscu wtrącę, że „W pustyni i w puszczy” dwukrotnie w Polsce ekranizowano, i to wcale nie w pionierskich latach naszej kinematografii – jak mogłoby się zdawać – ale w roku 1973 (reż. Władysław Ślesicki) i 2001 (reż. Gavin Hood). W obu filmach Sienkiewicza oceniano. Otóż mędrcy w rodzaju Fiołka z Sochaczewa spowodowali, że nie znalazły się tam kluczowe dla „W pustyni i w puszczy” słowa Stasia, który namawiany przez Mahdiego do przyjęcia jego wiary, odmawia, mówiąc: „Jestem chrześcijaninem jak mój ojciec”. Podobnie w oczach filmowców nie znalazło uznania ojcowskie rozgrzeszenie zabicia przez Stasia „lwa i innych”. Na wszelki wypadek przypomnę je: „Słuchaj, Stasiu! Śmiercią nie wolno nikomu szafować, ale jeżeli ktoś zagrozi twej ojczyźnie, życiu twej matki, siostry lub życiu kobiety, którą ci oddano w opiekę, to pal mu w łeb, ani pyta i nie czyn sobie z tego żadnych wyrzutów”.

Z pewnością wszyscy pamiętają trudności, które napotkał Staś, ucząc Kalego podstaw wiary chrześcijańskiej. Niezależnie od tego chrzci jednak swoich czarnych przyjaciół, podobnie jak wcześniej pogan z karawany umierającego Lindego. Zapewne można wątpić



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Bodaj najważniejszą sceną powieści jest spotkanie Stasia z Mahdim, kiedy to chłopiec nie zgadza się na przyjęcie nauki proroka

w trwałość misjonarskich nauk Stasia, ale jeśli mamy dociec, co złego spotkało następcę tronu Wa-Himów, czyli Kalego właśnie, z rąk białych chrześcijan, to może chodzić wyłącznie o ten chrzest. Kali dostał się bowiem do niewoli, ale sukańskich muzułmanów, i jeśli był bity, to przez Gebhra, a nie jakiegoś strasznego białego sadystę.

Jeśli Sienkiewicz przedstawił kogoś w swojej powieści negatywnie, to z całą pewnością mahdyistów i ich przywódcę, „gorszego – powiadał – niż całe stado krokodyli”. W powstaniu skierowanym przeciw angielskim kolonizatorom widział polski pisarz jedynie dojście do głosu najgorszych instynktów drzemających w arabskiej tuszycy. Nie mam zamiaru rozwijać tego mało twórczego wątku, ale powiem tylko tyle, że w wyznawcach Koranu postrzegał on wrogów chrześcijańskiego świata, do którego należał. I coś mi się wydaje, że pod tym względem niewiele się od tamtej pory zmieniło, a jeśli już, to niekoniecznie na korzyść.

NARÓD STRESZCZA SIĘ W LITERATURZE

Zarzucać Sienkiewiczowi rasizm mogą jedynie idioci, których skądinąd

mamy wysyp. „W pustyni i w puszczy” to, owszem, powieść, którą można nazwać kolonialną, wpisuje się bowiem w ten nurt, ale niby jaka miałyby być? I znów odwołam się do Stanisława Cata-Mackiewicza, z którym przynajmniej odnośnie do Sienkiewicza zgadzam się co do joty.

W „Europie in flagranti” pisał on: „Krytyka polega na właściwym zaszeregowaniu omawianej twórczości, na wskazaniu, że dane dzieło w całości literatury zajmuje takie a takie miejsce [...] do porównywania Sofoklesa i Tołstoja nie wystarczy przeczytać obu tych pisarzy, trzeba znać społeczeństwa, wśród których działali, trzeba znać epoki ich obydwoh oraz epoki, które ich od siebie dzieliły. Ciekawe są zdania syntetyczne, ale tylko wtedy, jeśli się wie, że ten, kto syntezę wypowiada, zna materię, w której się wypowiada. Niektórzy niedokształceni krytycy zarzucali Sienkiewiczowi brak tego, czego Sienkiewicz istotnie nie miał i mieć nie chciał. Sienkiewicz to przede wszystkim styl, polszczyzna dotychczas niezrównana, to przede wszystkim budowa arcydoskonałego zdania. Takiego mistrza swej mowy nie posiadają inne narody”.

I Polacy są tego świadomi nadal, chociaż ci tylko, których polskość nie ogranicza się do posiadania polskiego paszportu i, ewentualnie, płacenia nad Wisłą podatków. Czas zrobić swoje, ale nie zmienił tego, co w naszej literaturze najważniejsze, a co Henryk Sienkiewicz ujął w końcu swego twórczego życia w przedmowie do w końcu niepowstałej zbiorowej książki o historii literatury i sztuki polskiej: „Naród streszcza się w swej literaturze i żyje przez nią, gdyż inaczej żyć nie może. Politycznie może ona często błędzić, narodowo nie błędzi nigdy”.

Nie pobił też autor „W pustyni i w puszczy”, książki bezbłędnie przystającej do tych tytułów, które Polak znać musi. Po prostu. Wolno nam dyskutować, czy powinna być to lektura w klasach IV–VI, być może należałoby omawiać ją rok czy nawet dwa lata później, z odpowiednim komentarzem antykolonialnym, proszę bardzo. Ale proszę nie obrażać ani wielkiego pisarza, jakim był Henryk Sienkiewicz, ani naszej czytelniczej inteligencji dyrdymałami o rasizmie sączonym z kart „W pustyni i w puszczy”. I ani nie doszukiwać się w Kalim twarzy George’a Floyda, ani temu ostatniemu nie przypisywać gęby Kalego bijącego pokłony przed dobrym Mzim.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Poland Daily

codziennie od
22:00



**Poland
Daily**

BUSINESS



**Poland
Daily**

CULTURE



**Poland
Daily**

HISTORY



**Poland
Daily**

TRAVEL

ZBIGNIEW ZAPERT: Teatr przetrwa pandemię? Jak aktor z półwiecznym doświadczeniem scenicznym wyobraża sobie jego przyszłość?

HENRYK TALAR: Nadchodzący czas w teatrze również będzie wyzwaniem, sprawdzianem odwagi każdego z nas. Z doświadczenia wiem, że ból należy zaakceptować, trzeba będzie odnaleźć nową siłę, nowe patrzenie zrodzone także ze społecznego bólu, w indywidualnej samotności. Sytuacja, która wydaje się nie do uniesienia, powinna stać się dla nas drogowskazem, nie przeznaczeniem. Przyjdzie czas budowy nowego.

Melpomenę poznał pan, będąc maszynistą?

Mój szacunek dla teatralnego personelu technicznego ma źródło w pracy w bielskim teatrze jako maszynista sceny w roku 1965, po nieudanym pierwszym podejściu do wydziału aktorskiego krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Ukochałem tamtą scenę, tamtych ludzi i drzemie mi to w duszy do dzisiaj.

PWST za drugim podejściem. Dlaczego Kraków, a nie Łódź czy Warszawa? Było najbliżej? Studia są niezbędne do uprawiania tego rzemiosła?

Kiedyś wiatry ustaną i człowiek znowu będzie przebywać w swojej ciszy z potrzebą odkrywania tego, co niemożliwe. Tu nie idzie o spokojną podróż, tu idzie o bezpieczne przybycie. Satysfakcja, że zrealizowało się własny plan – przy spełnieniu samego siebie. W każdym przypadku dopiero czas pokaże, czy obrana droga wiedzie nas do sukcesu i zadowolenia, czy może wylądowaliśmy na manowcach.

Pośród „natuszczików” wciąż pojawia się wielu utalentowanych ludzi. Czasem do aktorskich progów nadaremno dobijają się ci, którzy mają poukrywane talenty. Znam też absolwentów szkół aktorskich realizujących się poza teatrem. Nie wyrokowałbym, że skoro zrezygnowali z teatru, niepotrzebnie zajęli miejsce tym z „ukrytym talentem”. Werdykt: „Pani/pan się nie nadaje” powinien być rozłożony na lata. No i nie zapominajmy o szczęściu. Także w tym zawodzie potrzebny jest uśmiech losu.

Ponowny wybór krakowskiej PWST wynikał z chęci udowodnienia, nie tylko sobie, że można się pomylić, pisząc: „Nie ten wzrost, nie ten głos i... niestety nie zauważyliśmy predyspozycji”. A poza tym Kraków oddalony jest zaledwie o 90 km od mojej rodzinnej wsi – Kozy.

Z Henrykiem Talem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

169 centymetrów talentu

Per aspera ad astra – można by rzec o pańskiej drodze zawodowej, zerkając na recenzję z adaptacji „Niemców” Leona Kruczkowskiego w Szczecinie...

„Spektakl mógłby być wybitny, gdyby nie postać Willego Sonnenbrucha grana przez Henryka Talara, który absolutnie nie przystaje do naszego wyobrażenia o niemieckim oficerze” – napisano w szczecińskiej prasie. Młodego aktora zabolowała ta lekko rzucona w słowach opinia. Lecz był to zarazem sygnał, że sam powinien mieć pewność, kiedy jest dobrze, a kiedy się nie udało. Reżyser spektaklu, wybitny Józef Witold Gruda, uspokoił mnie, że czas pokaże, kto miał słuszość, sugerując delikatnie, że recenzent to nie wyrocznia. Głos decydujący należy do publiczności. A ta była za.

Trampolinę do sukcesu stanowiła praca z Maciejem Prusem i Izabelą Cywińską w teatrze kaliskim?

Teatr Izy Cywińskiej w Kaliszu pozostał wzorcem nie tylko dla mnie. Ma to zapewne związek z naszą młodością. Ale nie wyłącznie: do dzisiaj szukam tych nieuchwytnych więzi łączących scenę z widownią.

Wypowiadaliśmy się w teatrze Cywińskiej odważnie, każdy miał prawo głosu i każdy był osobiście odpowiedzialny za swoje słowa. Nie ukrywaliśmy się za postaciami, za rolami. Byliśmy w tamtym czasie – pierwsza połowa lat 70. – anonimowymi, odsłoniętymi twarzami. Prozorow, Konrad, Eryk XIV, Czeladnik czy Ariel stanowili pierwsze sygnały potrzeby wypowiedzenia się we własnym imieniu. Cywińska dała nam możliwość lotu. Skorzystało wielu.

„Niski, wysokiego talentu” pisał po pana występie na deskach Ateneum Krzysztof Mętrak. Stefan Jaracz i Jacek Woszczerowicz używali niekiedy obuwia na koturnach...

Również miałem momenty, żeby poddać się torturze rozciągnięcia, by dodać sobie choć kilka centymetrów do 169-centymetrowego wzrostu. Przypominam też sobie skrzyneczkę z napisem Talar po filmie Ewy i Czesława Petelskich „Kim jest ten człowiek”, żeby główny bohater, którego grałem, był jednak słuszniejszego wzrostu.

A niedawno z wywiadu Marka Piestraka dowiedziałem się, dlaczego nie pojechałem na zdjęcia do jego filmu „Kłątwa Doliny Węży”, chociaż wszystko wydawało się ustalone. Podobno produ-



W Teatrze Ateneum za – mówiąc kolokwialnie – „komuny” graliśmy „Poloneza” Jerzego Stanisława Sity w reż. Janusza Warmińskiego ponad 300 razy. Takiego zetknięcia z Klio, takiego odbioru przez widownię naszego czasu przeszłego, takiego aktorskiego oddania i zaangażowania życzyłbym sobie i dziś. Figury, które pan wymienił – dodałbym jeszcze Mołotowa, Rommla, Traugutta, Pileckiego – to moje kapliczki. Nie modłę się przy nich, przystaję w zadumie i niepewności, na ile udało mi się ożywić te persony. Jestem przeciwnikiem obśkiwania pomników.

Teatr Polskiego Radia, ważne miejsce w pańskiej pracy, funkcjonuje w dobie epidemii eksperymentalnie?

Przy zachowaniu maksymalnej ostrożności nagraliśmy tam słuchowisko Tomasza Lerskiego w reż. Janusza Kukuły o trzeciomajowej konstytucji. Raduję duszę fakt, że zostało się miejsce, w którym wartość literacka dodaje aktorowi skrzydeł. To właśnie obecność w Teatrze Polskiego Radia kolejny raz udowadnia mi, że warto być aktorem.

„Leśniczówka” otworzyła kolejny sezon. W maseczkach?

Na planie filmowym Piotra Mikołajczaka, naszego producenta, panuje perfekcja. Nie tylko higiena, żele i płyny odkażające oraz maseczki – także obowiązkowe testy! To dbałość Mikięgo o swoją ekipę – nie tylko nakaz chwili.

„Archiwista” grywa w szachy. A jakie pasje ma jego odtwórca? Obróbkę metali skrawaniem, której uczył się pan w technikum?

Grywa na pewno lepiej ode mnie. Chciałbym, aby nastał ciąg dalszy odkrywania sekretów archiwisty Henryka Mikołajczaka, tym bardziej że z podobną nadzieją kierują do mnie pytania o kontynuację serialu telewizyjnego. Jeżeli chodzi o pasję... Kiedyś powiedziałem w wywiadzie, że jest nią życie. Zauważywszy zdziwienie na twarzy dziennikarza, szybko dodałem: „A tak w ogóle to kolekcjonuję czepki kąpielowe”. „O, to bardzo ciekawe” – usłyszałem...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

cent uznał, iż Talar to jednak kurdupeł, za mały do głównej roli, którą w efekcie zagrał Romek Wilhelm. Przynajmniej po kilkudziesięciu latach dowiedziałem się prawdy. No i jak tu nie ratować się obcasami, stołeczkami albo wkładkami...

Popularność przyniosły panu „Polskie drogi”, serial świetny, choć nafaszerowany propagandowo...

Łatwo mówić o ideologii z dzisiejszej perspektywy – dla mnie było i jest ważne, że partnerowałem najwybitniejszym polskim aktorom. Że postać obca i nie lubiana z mojej aktorskiej młodości, do dziś jest postrzegana jako jedna z wyraźniejszych. I, co najistotniejsze, że przy tym serialu zaczęła się moja przyjaźń z Ryszardą Hanin.

Ten szwarczarakter tak zapadł w pamięć, iż jego kreator, Jerzy Janicki, po latach doń powrócił. W trylogii telewizyjnej reżyserowanej przez Stanisława Jędrękę – dyskontującej okupacyjne losy grafika i konspiracyjatora AK Stanisława Miedzy-To-maszewskiego („Umarłem, aby żyć”), „Po własnym pogrzebie”, „Urodzony po raz trzeci”) – od kuli Heymanna (Jacek Borkowski) padł inny esesman – Knothe (Henryk Talar).

To nie aktorzy sami siebie obsadzają, my możemy jedynie przyjąć rolę albo

odrzuć. Mundur niemieckiego oficera nosiłem w aktorskiej walizce przez dziesięciolecie. Lubię te tzw. czarne charaktery również z tego powodu, że scenarzyści w większości utożsamiają się z bohaterem pozytywnym, oddając więcej pola aktorowi grającemu typa spod ciemnej gwiazdy. „Heymann patrzy z nienawiścią” – widniało w scenopisie, cała reszta należała do mnie.

Te produkcje są często „odkurzane” na szklanym ekranie. W przeciwieństwie do „Selekcji”, moim zdaniem opus magnum pańskiego aktorstwa.

Powtórzenie tego tryptyku pióra Waldemara Łysiaka w reżyserii Tadeusza Kijańskiego jest nie tylko moim pragnieniem. W Internecie ktoś się nawet dopomina: „Królestwo za »Selekcję!“. Ufam, że społeczne wołanie o przypomnienie tego przedstawienia usłyszy decydent i litościwie usatysfakcjonuje coraz większe grono oczekujących. Tym bardziej że w jednym z odcinków wystąpił sam autor sztuki.

Begin, Hlond, Sławoj-Składkowski, Bierut, Stalin, Fryderyk Wielki – nie obawia się pan brnąć za bary z historią?

Henryk Talar – wybitny aktor teatralny, filmowy, telewizyjny i radiowy. Laureat Złotego Ekranu, Złotego Mikrofonu, Wielkiego Splendoru, odznaczony medalem Gloria Artis. 25 czerwca obchodzi 75. urodziny.

Złoto Wietnamu



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

„Pięciu braci” Spike’a Lee to najbardziej rewizjonistyczny film o wojnie w Wietnamie, jaki nakręcono. Szlachetny w intencjach, prostując jedne nieprawdy, serwuje widzom inne

Było ich pięciu, lecz wróciło czterech. Teraz, po wielu latach, raz jeszcze wybierają się do Wietnamu. Czarnoskórzy towarzysze broni oficjalnie ruszają w misję honoru – by odnaleźć ciało druha, którego pochowali w dżungli. Naprawdę przyświeca im inny cel. Nieopodal miejsca, gdzie spoczywa ich dowódca, zakopali fortunę w złotych sztabkach, część amerykańskiej wypłaty dla lokalnych sojuszników, która nigdy nie trafiła do adresatów.

Kino drogi, kino obyczajowe, kino kryminalne (bo wkrótce pojawiają się inni chętni na złoto), wreszcie kino wojenne (bo są tu znakomite retrospekcje) –

Spike Lee łączy w „Pięciu braciach” („Da 5 Bloods”) rozmaite gatunki, podporządkowując je swoim celom – nie bójmy się tego słowa – politycznym. Nakręcił film podwójnie rewizjonistyczny, bo na cel wziął zarówno amerykańską interwencję w Wietnamie, jak i sposób, w jaki Hollywood o tej wojnie opowiada. Wszystko to, by raz jeszcze, z wielką mocą, potępić amerykański rasizm.

WSAD HISTORYCZNY

Bohaterowie filmu wykpiwają więc kino typu „Rambo” czy „Zaginiony w akcji”, w którym niezniszczalni herosi rozprawiają się z wietnamskimi komunistami,

wygrывая dla Ameryki wojnę w sferze symbolicznej, na celuloidzie. Satyra sięga jednak dalej: kiedy weterani trafią do nocnego klubu na pierwszego drinka w nowym, kapitalistycznym Wietnamie, za plecami DJ-a zabawiającego publiczność ujrzą logo „Czasu apokalipsy” Francisa Forda Coppoli. „Cwał Walkirii” Wagnera znany ze słynnej sceny ataku helikopterów na nadmorską wioskę tym razem usłyszymy w chwili, gdy gromada staruszków ładuje się na turystyczną łódkę. Zamiast rejsu w górę groźnej rzeki Nùng dostajemy ujęcia wakacyjnego rejsu między lichymi zaroślami. Nawet dżungla, do której trafiają ostatecznie bohaterowie, jest bardziej przestronna, pusta i mniej przerażająca od tej, którą pamiętamy z „Plutonu”.

Przed wszystkim jednak, gdy zamiast do prostowania popkultury Spike Lee zabiera się do prostowania historii, przypomina nam o roli czarnoskórych Amerykanów w historii. Fikcyjna fabuła przeplatana jest jak najbardziej prawdziwymi zdjęciami, rysunkami i klipami. Rozpoczyna się słynną wypowiedzią

Muhammada Alego, który pytał publicznie, dlaczego ma walczyć z ludźmi, którzy nic mu nigdy złego nie zrobili, podczas gdy w Stanach ludzi, którzy coś złego zrobili jemu i jego pobratymcom, jest aż nadto. Potem w ramach „wsadu historycznego” dostajemy m.in. rycinę z wizerunkiem Crispusa Attucka, pierwszej ofiary amerykańskiej rewolucji przeciw Brytyjczykom. Attuck został zastrzelony w Bostonie w 1770 r. Dostajemy zdjęcie Milтона L. Olive’a, 18-letniego Afroamerykanina, który podczas służby w Wietnamie zginął, ratując życie kolegów – przykrył własnym ciałem wrogi granat. W finale filmu widzimy Martina Luthera Kinga recytującego gorzki wiersz Langstona Hughesa „Let America Be America Again”. Nade wszystko zaś Spike Lee podkreśla, że jedną trzecią amerykańskich żołnierzy walczących w Wietnamie stanowili żołnierze czarnoskórzy.

„Pięciu braci” wpisuje się więc w linię produkcji filmowych przywracających miejsce w historii pomijanym dotąd żołnierzom licznych wojen Ameryki. „Chwała” („Glory”, 1989) Edwarda Zwicka mówiła o oddziale czarnoskórych walczących w wojnie secesyjnej nie tylko z niewolnictwem, lecz także z uprzedzeniami po obu stronach. „Czarna kawaleria” („Buffalo Soldiers”, 1997) Charlesa Haida przypominała o Afroamerykanach biorących udział w wojnach z Indianami. „Eskadra »Czerwone Ogony«” („Red Tails”, 2012) Anthony’ego Hemingwaya to już rzecz o czarnoskórych lotnikach podczas drugiej wojny światowej. O ich kolegów z piechoty upomniał się Spike Lee w mało znanym u nas filmie „Cud w wiosce Sant Anna” („Miracle at St. Anna”, 2008) o czwórce afroamerykańskich żołnierzy odciętych od swoich w Toskanii podczas wyzwania Włoch (film zresztą był kręcony w dużym stopniu za włoskie pieniądze). W tym ostatnim filmie jest świetna scena, kiedy jeden z czarnoskórych bohaterów patrzy na plakat z Johnem Wayne’em i mruczy: „My też walczyliśmy w tej wojnie”, po czym oddała się, utykając lekko, tak jak utykał Wayne.

Spike Lee nie zadowala się jednak próbą opowiedzenia nieznanego fragmentu historii, przywrócenia właściwej roli zapomnianym czarnoskórym bohaterom. W „Pięciu braciach” stawia tezę, że Wietnamczycy i czarnoskórzy Amerykanie jednak byli ofiarami białego amerykańskiego rasizmu. Nie było jeszcze chyba amerykańskiego filmu o Wietnamie,

w którym wprost autor przyznawałby rację propagandzie wietnamskich komunistów, zasypujących ulotkami i audycjami radiowymi służących w armii USA czarnych, przekonującymi, że dotyka ich jednak niesprawiedliwość. Propaganda wtedy skuteczna nie była, bo historia milczy o jakichś masowych dezercjach z powodów rasowych. Dzisiaj przybiera nader przekonującą formę dzięki talentowi Spike’a Lee.

ODWET NA BIAŁYCH

Na tym nie koniec. Bardzo ważną figurą w „Pięciu braciach” okazuje się ów pochowany w dżungli dowódca, którego gra Chadwick Boseman. „Był naszym Malcolmem X” – słyszymy. On odpowiada za polityczne przebudzenie swych towarzyszy broni, on ich edukuje, wraz z nim rozpamiętują przemówienia Martina Luthera Kinga, on wreszcie wygłasza nad złotem przemowę, której także jeszcze nigdy w amerykańskim kinie wojennym nie słyszeliśmy. Wzywa bowiem „braci krwi”, by zagarnęli rządowe złoto w imię wymierzania sprawiedliwości dziejowej, jako rekompensatę za krzywdy wszystkich czarnych prześladowanych przez białych w Ameryce. Całkiem jakby jakiś uczeń Lenina podczas wyprawy po, ja wiem, na przykład syberyjskie złoto wzywał żołnierzy do przejęcia skarbu z rąk wyzyskiwaczy kapitalistów i przeznaczenia go na sprawę rewolucji światowego proletariatu.

Wiele rzeczy jest w „Pięciu braciach” znakomitych. Przede wszystkim zdjęcia, za które odpowiada Newton Thomas Sigel, najbardziej kompletnie dotowane za zdjęcia do „Drive” Nicolasa Windinga Refna. Panoramiczne kadry zmieniają format, gdy przenosimy się w czasie do lat 60. Kolorystyka scen wojennych przypomina już nawet nie głośne hollywoodzkie filmy o Wietnamie, lecz ówczesne kolorowe kroniki filmowe. Montaż jest świetny, całej opowieści doskonale nadają rytm (i doskonale ją komentują) m.in. piosenki Marvin’a Gaye’a. Aktorska robota też jest bardzo dobra, przy czym o ile Chadwick Boseman jako pochowany bohater jest nazbyt posagowany, o tyle wszystko na swoich barkach trzyma Delroy Lindo. Jego Paul, spiritus movens całego przedsięwzięcia, to najciekawsza i najbardziej skomplikowana

postać. Zzerany poczuciem winy (zobaczycie dlaczego) oraz obsesją na punkcie ukrytego złota, na naszych oczach stacza się w szaleństwo, pozostając przy tym całkowicie ludzki i zwyczajnie nieszczęśliwy. Inna sprawa, że skoro przedstawiono go na początku filmu jako wyborcę Donalda Trumpa, to wiadomo, że litości dla niego Spike Lee miał nie będzie.

Pierwsza połowa filmu jest imponująca, ale im dalej w dżunglę, tym więcej drzew i w chwili, kiedy rozpoczyna się prawdziwa gra o złoto, napięcie umyka. Rozpisują się amerykańscy krytycy w analizach, jaka to świetna wariacja na temat „Skarbu Sierra Madre”, słynnego filmu Johna Hustona z 1948 r. Tak, są tu podobne tropy, Spike Lee jest reżyserem świetnie wyedukowanym w historii filmu, inteligentnym i potrafi rozmaite nawiązania (także do własnych dzieł) wplatać w materię opowieści bezboleśnie. Nie zmienia to faktu, że jego film w drugiej połowie traci rozpęd i siłę przekazu, zamieniając się w niemal rutynowy thriller przypominający raz jeszcze, że czarni

białym ufać nie powinni, szczególnie gdy białych reprezentuje potomek francuskich plantatorów, szemrany osobnik grany przez Jeana Reno.

Nowy film Spike’a Lee trafia do Netflix’a w chwili, gdy Stany Zjednoczone wciąż rozdzielane są zamieszkami po śmierci czarnoskórego George’a Floyd’a, a amerykańskie HBO wycofało z serwisu „Przeminęło z wiatrem”, uznając je za film rasistowski. Na pewno więc „Pięciu braci” trafia w swój czas, ważniejsze pytanie brzmi jednak: „Z czym właściwie trafia?”. Niestety z kolejną próbą

okaleczenia historii. Wietnam nie był wojną rasową, los czarnych w Ameryce pod rządami komunistów nie byłby lepszy od losu podbijanych przez Sowietów Ukraińców, Czeczenów czy Polaków. Wietkong nie był oazą postępu, a okrucieństwa tak naprawdę były po obu stronach. Takie stwierdzenie pada w filmie i wskazywane jest przez niektórych amerykańskich recenzentów jako dowód moralnej degenerolady wypowiadającego je bohatera granego przez Delroya Lindo. Spike Lee, prostując jedne kłamstwa (jak najbardziej słusznie), pakuje widza w inne. Ma talent, więc jest w tym bardzo sugestywny.



REŻ.
SPIKE LEE
„PIĘCIU BRACI”
 („DA 5 BLOODS”)
NETFLIX 2020



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Nasi w lesie



★★★★★
„W GŁĘBI LASU”
POLSKA 2020,
NETFLIX

wyst. Grzegorz
Damięcki,
Agnieszka
Grochowska

Po sukcesie „Wiedźmina” i ostatnio serialu „Kie-runek: noc” można było mieć nadzieję, że serial „W głębi lasu” podtrzyma dobrą passę Polaków w Netflixie. Wyszło kiepsko, wyszło nudnie, wyszło niesmacznie. Kiepsko, bo scenariusz gorszy jest od powieści, nudnie, bo fabuła wlecze się jak osobowy do Tłuszcza po remontowanych torach, a niesmacznie dlatego, że przenosząc akcję z USA do Polski, scenarzyści postanowili ubogacić historię „tradycyjnym polskim antysemityzmem”.

Sześciuodcinkowa adaptacja thrilleru Harlana Cobena (pisarz był jednym z producentów) to historia rozgrywająca się na dwóch planach czasowych. Rok 1994 to czas, kiedy nastoletni bohaterowie na obozie w leśnej głuszy

przeżywają pierwsze miłości, ale lato kończy się tragedią, bo czworo młodych znika bez śladu. Ciała dwojga zostają odnalezio-ne. W roku 2019 prok. Kopiński (Grzegorz Damięcki), jeden z uczestników feralnego obo-zu, zostaje uwikłany w sprawę morderstwa mężczyzny, który może być jednym z niegdyś zaginionych. Może zatem siostra prokuratora – druga osoba, której ciała nigdy nie odnaleziono – także żyje?

Harlan Coben to spec od kry-minalnych fast foodów, ale jego li-terackie hamburgery są precyzyjnie skonstruowane i mają tempo. Chociaż z pozoru serial przenosi na mały ekran kluczowe punkty historii, to szybko okazuje się, że konkretów mamy mało, czasu do zagospodarowania zaś dużo. Dałoby się wszystko opowiedzieć

N

w trzy odcinki, szczególnie że zagadka kryminalna nie okaże się specjalnie skomplikowana, a widz będzie miał prawo dziwić się mocno, dlaczego wzorowy prokurator dopiero w piątym odcinku pomyśli o tym, co nam przyszło do głowy w pierwszym, albo dlaczego współczesna policja nie potrafi sama wpaść na pomysł obejrzenia taśmy z miejskiego monitoringu w miejscu przestępstwa.

W powieści akcja toczyła się głównie współcześnie (thriller sądowy wokół oskarżenia dwóch młodzińców o gwałt), a wiadomości o zagadce z przeszłości serwowano oszczędnie, bo był to element suspense. W polskim serialu wątek współczesny jest wąty, ale retrospekcje rozbu-dowane i męczące, zwłaszcza że niespecjalnie coś wnoszą. A dopisanie scen z hasłami „Jude raus”, „Polska dla Polaków” i tekstów w stylu „Jeszcze nigdy nie spadło na mnie takie anty-semickie szambo” to już śmiech na sali. Z przesłaniem ekranizo-wanej książki Cobena nie ma nic wspólnego. ©



NOWE SERIALE: „RICK I MORTY”

Serial stary, ale odcinki nowe. Do Netflixu trafiła druga część czwartego sezonu animowanej serii „Rick i Morty”, jednej z najzabawniejszych, inteligentnych i prowokacyjnych produkcji ostatniej dekady. Rick, aspołecznik, mizantrop i genialny naukowiec, oraz Morty, jego wnuk o złotym sercu, naiwny i optymistyczny, wykipują

wszelkie klisze popkultury. Co ważniejsze, jest to serial „meta”, kwestionujący kon-wencjonalny styl narracji, komentujący sam siebie. Tradycyjny postmodernizm jawi się przy nim jak zatwardziały konserwatyzm. ©

Piotr Gociek

• Sezon 4., odcinki 6–10, „Rick i Morty” („Rick and Morty”), USA 2020, Netflix

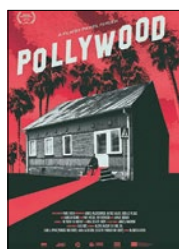
NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. David Cronenberg „Wschodnie obietnice” („Eastern Promises”), Wielka Brytania 2007, kryminalny, Netflix
- reż. Philippa Lowthorpe „Niepokorna miss” („Misbehaviour”), Wielka Brytania 2020, Cineman
- reż. Richard Linklater „Gdzie jesteś, Bernadette?”, USA 2019, HBO GO

Dorwać Spielberga



Film o tym, jak nie udało się zrobić wymarzonego filmu. Paweł Ferdek, zainspirowany książką Andrzeja Krakowskiego „Pollywood”, wyprawił się do Kalifornii. Sto lat wcześniej tę samą trasę pokonali bracia Warnerowie, Samuel Goldwyn i Louis B. Mayer. Teza, że amerykańską fabrykę snów stworzyli „nasi”, jest, delikatnie mówiąc, naciągana. Sekret ich sukcesu można zaś rozwikłać, nie podnosząc się z fotela. Mieszanka uporu, cwaniactwa i beczelności zawsze jest piorunująca. Wyrzucani drzwiami, wracali oknem, współpracowników i podwładnych traktowali z butą. I przede wszystkim mieli szczęście pojawić się we właściwym czasie we właściwym miejscu.



★★★★★

REŻ. PAWEŁ FERDEK
„POLLYWOOD”
POLSKA 2020,
HBO GO

Ferdek też zaczynał w zapyziałej mieścinie i rad by powtórzyć wyczyn Warnerów, lecz w dzisiejszym Hollywood bez znajomości ani rusz. Zdesperowany, zmagając się z angielszczyzną i automatyczną sekretarką, próbuje się wcisnąć na ceremonię rozdania Oscarów. Chce rozmawiać z rekinami show-biznesu, lecz w jego zasięgu są jedynie płotki, emeryci i historycy kina. Dostaje od nich garść anegdot, pouczeń i kurtuazyjnych banałów („Polacy są mądrzejsi, niż ludzie myślą”). Zdaje się, że epoka błyskawicznych karier i nieograniczonych możliwości faktycznie minęła. Ferdek oszczędziłby sobie trudu, zaglądając do Wikipedii. Pollywood istnieje, ale w Pakistanie. ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NIE ODWRACAJ WZROKU

Nawróceni wielbiciel Hitlera ochoczo budują komunizm. Wczorajsi heroldzi „sztuki narodowej” zapewniają, że wolność twórcza polega na schlebaniu masom pracującym. Studentom ASP wbija się do głów, że towarzyszy Picasso zdradził, popadł w formalizm i został utrzymankiem burżuazyjnych kolekcjonerów. Poczwiercie, który wstąpił do NSDAP, by ratować rodzinę, jest pariasem. Fanatyczny nazista mieszka w willi. Powojenne życie we wschodnich Niemczech obfitowało w paradoksy. Donnersmarck, zdobywca Oscara za „Życie na podsłuchu”, rzadko staje za kamerą i może dlatego poniosły go ambicje. Nakręcił trzygodzinny film, który chce być zarazem rodzinną sagą, historią miłosną, próbą rozliczenia III Rzeszy, NRD i NRF oraz traktatem o powinnościach artysty. Pierwowzorem bohatera „odkrywającego teorię świata” jest Gerhard Richter, gwiazdor malarstwa abstrakcyjnego. Niestety, jak to często bywa, film kradnie czarny charakter.



wyst. Tom Schilling,
Sebastian Koch,
Paula Beerz

★★★★★

REŻ. FLORIAN HENCKEL VON DONNERSMARCK
„OBRAZY BEZ AUTORA” („WERK OHNE AUTOR”)
NIEMCY/WŁOCHY
2018, AURORA FILMS

ZAKAZANA PLANETA



Vin Diesel i wszystko jasne. Naga czacha, tors gladiatora, ochrypły głos, szybkie pojazdy, złe towarzystwo. Richard B. Riddick, kosmiczny banita z oczami jak lampy rentgenowskie, to bodaj najbardziej udane wcielenie byłego ochroniarza. Nie mówi dużo i chwala mu za to. Czasem tylko w umyśle naszego zabijaki rodzą się głębsze refleksje typu: „Ucywilizowałem się, muszę znów obudzić w sobie zwierzę”. Riddick ma prawo być wkurzony: zamiast na rodzinnej Furii wylądował na jałowej planecie, która „chce mu się dobrać do tyłka”. Grasuja tu wielkie robale, powinowaci Obcego z „Nostramo” oraz uzbrojeni po zęby trzonowe łowcy głów. Malkontenci mogą sobie szydzić, że wyobraźnia scenarzystów jest równie uboga jak krajobraz niegościny planety, śmiem jednak twierdzić, że owa prostota ma sens. Na tle wagnerowskich superprodukcji o komiksowych superbohaterach „Riddick” jest jak łyk źródlanej wody na Pustyni Błędowskiej. ©©



★★★★★

REŻ. DAVID TWOHY
„RIDDICK”
USA 2013

wyst. Vin Diesel,
Jordi Mollà, Katee Sackhoff

recenzuje Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „DESPERADOS III”

Każdy, któremu bliska serca jest seria taktycznych strategii „Commandos”, z uznaniem spoglądał również na przeniesionych z drugiej wojny światowej w plenery Dzikiego Zachodu „Desperadosów”. Niemal ta sama mechanika zarządzania nielicznym, acz wyspecjalizowanym zespołem

awanturników i zbliżony (momentami kosmicznie wysoki) poziom trudności. „Komandos” wrócili do nas niedawno w zremasterowanej odsłonie, natomiast „Desperados III” to całkowicie nowa, dosyć ładna graficznie produkcja. Idea rozgrywki – działać w ukryciu, łącząc zdolności bohaterów



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

– pozostaje niezmienna. Dobre rzeczy nie powinny się zmieniać. ©©

Marcin Makowski

• **Gatunek:** RTS
• **Platforma:** PC
• **Producent, dystrybutor:** Petroglyph/EA
• **PEGI:** 12+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Mickiewicz wciąż pisze

Bardzo osobistą książeczkę o Adamie Mickiewiczu i jego poezji napisał Piotr Wierzbicki. Mnie wylał miód na serce, wzruszając swoją miłością do poety, któremu skłonny jest wybaczać wszystko włącznie z niedoróbkami. Ot, takimi choćby jak ta z pierwszej strofy przepięknej „Śmierci pułkownika”. Przypomnę ją:

*W głuchej puszczy, przed chatką
leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż pułkownika,
Tam w izdebce pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze.
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawie.*

Przeczytajcie, państwo, ten wiersz na głos. Zgrzyta w szóstym wersie? I to jak! Autor „Powrotu do Mickiewicza” powiada jednak tak: „Dla cudownej tonacji tego wiersza brakuje słów. Uderza tylko, jak sam opowiadacz jest tu blisko tych obrazów, niemal patrzy oczami tego ludu, czuje płaczem tych żołnierzy, kłęczy razem z księdzem, co się zjawiał z Panem Bogiem – a dystansu nie kasuje, stoi z bliska wprawdzie, ale przecież z boku, bacząc, by gadać ciekawie, by zdarzenie odmalować jak się patrzy. Również ów wers szósty, puszczone sobie luźno, niby prozą, na przekór przypisanej mierze (trzy akcenty), jakże jest na miejscu w towarzystwie, w którym się Homera nie czytuje!”

Podobnie w „Do M...”, w którym to wierszu Mickiewicz „każe wyrazowi (w pierwszej zwrotce) rymować się z samym sobą, powtórzonym drugi raz!”, Piotr Wierzbicki usprawiedliwia ten zabieg, to złamanie kanonu wierszowania.

Miłość do tej poezji nie przeszkadza jednak Wierzbickiemu zachowywać dystans, a nawet krytycyzm do części twórczego dorobku Mickiewicza. Z „Graży-



FOT. WOJCIECH LOSZANIAK/EST NEWS

ną” rozprawia się krótko: „... nie przechodzi próby czasu”. „Konrad Wallenrod» – pisze dalej – owszem, ale tylko we fragmentach”. A już całkiem źle dzieje się z IV częścią „Dziadów”: „Rozhisteryzowany wyrostek wtargnął na plebanię i zadreśla księdza historią swej męki. Straszy samobójstwem, wymachując nożem, mądrzy się przy tym niesłychanie. Gdybyż to była satyra na manierę romantyczną! Niestety”.

Na szczęście mamy „Redutę Ordona” i „Do Matki Polki”, „Rozmowę wieczorną” i „Snuć miłość” (znajdziemy te utwory w dodatku finalizującym książkę), mamy III część „Dziadów” i, oczywiście, „Pana Tadeusza”, bezwzględnie najważniejszą i najpiękniejszą polską książkę kiedykolwiek napisaną. Nawiasem mówiąc, ta arcsielanka jest przewrotnym dopełnieniem słów z III części „Dziadów”, w której poeta kazał Literatowi IV, za którym skrywał się Kazimierz Brodziński, mądrzyć się:

*Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi;
Śpiewać, na przykład, wiejskich chłopców zalecani,
Trzody, cienie – sławianie, my lubim sielanki.*

Piotr Wierzbicki przypomina Brodzińskiego: „Poglądy umiarkowane, nie pisywał światoburczych dramatów (wolał właśnie sielanki), za to walczył w kampanii moskiewskiej (1812) i pod Lipskiem, tam też został ranny. W Powstaniu czynny na cywilnym zapleczu, nieraz z karabinem na plecach, z czym pocieszenie kontrastuje kazus trzech wieszczów, co to pierwszy (Mickiewicz) nie dojechał, drugi (Słowacki) wyjechał, a trzeciemu (Krasińskiemu) tatuś despotyczny nie pozwolił”. By nie pograżać Mickiewicza, godzi się dodać, że w epilogu do „Pana Tadeusza” wspomniął on dobrym słowem poemat Brodzińskiego o Wiesławie. Zawsze to coś...

Akcentuje również Piotr Wierzbicki rangę publicystyki Mickiewicza i znaczenie jego korespondencji. Takiego, dajmy na to, listu do Konstancji Łubieńskiej-Wodpolowej z 1854 r.: „To, co piszemy o rzeczach Bożych lub ojczystych, powinno być zrozumiałe dla każdego, kto kocha Boga i Ojczyznę, a zatem dla pokojowej, dla ekonoma, dla stangreta (czy, jak mówią u was, dla fornała) nawet. Nie idzie tu o to, aby sposób mówienia zniżyć, zbłaźniać, skarczemniać. [...] wszakże katechizm jest prosty, ale razem poważny”.

I tu z autora „Powrotu do Mickiewicza” po grubo ponad 30 latach wychodzi twórca „Traktatu o gniadach” i z całą charakterystyczną dla siebie ironią i z całą mocą grzmi: „No, trzeba przyznać, wspólnymi siłami czynowniczych ukazów, politycznej nowomowy, tej minionej i tej współczesnej, uprawianej w sejmie przez wybrańców narodu, technicznego żargonu i bełkotu pseudointelektualnych mędrków, daleko udało nam się pobylić od tych słów”.

Oj, daleko i tym większą winniśmy wdzięczność panu Piotrowi za jego małą książeczkę o Mickiewiczu. Z którego przecież – „my wszyscy”. ©



★★★★★

PIOTR
WIERZBICKI
„POWRÓT DO
MICKIEWICZA”
PIW, WARSZAWA
2020



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Topiel wzywa

Dla badaczy twórczości i zaprzysięgłych fanów Virginii Woolf to książka bezcenna – tom „Nawiedzony dom” zbiera cały dorobek pisarki w dziedzinie krótkiej formy. Zwykły poszukiwacz ciekawych literackich wrażeń może natomiast odpuścić sobie całą pierwszą część zbioru, bo młodzieńcze opowiadania autorki „Fal” są po prostu niespecjalnie dobre.

Literatura na poważnie zaczyna się od utworu tytułowego, który znajduje się w połowie części drugiej (z czterech). W nim – i w kolejnych tekstach – widać wyraźnie, że Woolf to prawdziwa pisarka, a z każdym kolejnym – że pisarka wybitna. Co ciekawe, poruszająca się sprawnie w kilku obszarach. Są w tym zestawie opowiadania modernistyczne w formie, lecz tradycyjne w treści (to głównie obserwacje życia społecznego Anglii ze szczególnym uwzględnieniem losu kobiet), są i wycieczki w kierunkowo niesamowitej, są udane teksty żartobliwe („Wdowa i papuga: historia prawdziwa”). Są wreszcie krótkie impresje o niezwykłej sile, niemal jak opowiadania skondensowane lub kawałki prozy poetyckiej; te zresztą utwory moim zdaniem najlepiej przetrwały próbę czasu. Ci, którzy pamiętają twórczość powieściową Woolf,

spotkają znaną im doskonale panią Dalloway.

Jednocześnie tom „Nawiedzony dom” układa się w długą kronikę zapowiedzianej śmierci. Pisarka zmagająca się przez wiele lat z chorobą dwubiegunową popełniła w wieku lat 59 samobójstwo – utopiła się. Łatwo być mądrym po fakcie, ale w jej twórczości niepokojące motywy znaleźć można było dużo wcześniej. Obsesyjnie powracał obraz rozdwojenia, w opowiadaniach pojawiają się tajemnicze sobowtóry, lustrzane odbicia, bohaterki obserwują „inne siebie”, materia opowieści i psychika postaci rozpadają się na fragmenty. I równie obsesyjnie używane kolory – od cienia zieleni, niebieskiego, granatu; powracający motyw stojącej wody, stawu, topieli. Wieloznaczna i depresyjna to książka, ważna nie tylko dlatego, że zbiera to, co rozproszone. Daje nam przede wszystkim klucz do Virginii Woolf, świetnej pisarki i pionierki współczesnego feminizmu, którą dziś pod obcas

biorą współcześni janczarzy politycznej poprawności, oskarżając o konserwizm i antysemitizm. Opowiadanie, które ma być tego dowodem („Księżna i jubiler”), znajduje się zresztą w zbioru. Przeczytajcie. Odkryjecie, że politpoprawni terroryści mają z głową większe kłopoty od pisarzy, których atakują. ©



★★★★★
VIRGINIA WOOLF
„NAWIEDZONY DOM”
WYDAWNICTWO LITERACKIE 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Był w Sarajewie, był w Aleppo, w Sierra Leone, ratował ofiary ostrzału, ale także tych, którzy padli ofiarą trzęsienia ziemi (Nepal) czy huraganu (Haiti). Mocna opowieść o tym, jak wygląda świat poza granicami sytego Zachodu.



DAVID NOTT
„LEKARZ WOJENNY. CHIRURG NA LINII FRONTU”
INSIGNIS

Autor jest prawnikiem jednego z członków słynnego gangu z Birmingham, którego dzieje za sprawą serialu BBC od kilku lat rozpalają wyobraźnię telewizyjnej publiki. A jako że jest i historykiem, opowiada, jak było naprawdę.



CARL CHINN
„PEAKY BLINDERS”
ZYSK I S-KA

Rzecz inspirowana „Wyprawą Cyrusa” Ksenofonta. Dzieje małej armii Greków, którzy po klęsce w Persji przebijali się przez wroga Azję Mniejszą do domu. Udana powieść autora znanego z serii o Juliuszu Cezarze i Czynjis-chanie.



CONN IGGULDEN
„SOKÓŁ SPARTAŃSKI”
REBIS

Powieść historyczna z elementami thrillera i ze szczyptą fantazji. Trafiamy na Mount Everest wraz z wyprawą poszukującą zaginionych alpinistów. Powieść bardziej dla miłośników „Terroru” niż „Hyperiona” czy „Letniej nocy”. ©

poleca Piotr Gociek



DAN SIMMONS
„ABOMINACJA”
VESPER

KOMIKS TYGODNIA:
„SUPERMAN. ROK PIERWSZY”
Nowa wariacja na temat początków kariery Supermana, przybysza z planety Krypton. Wiele rzeczy nie pasuje tu do znanego z innych komiksów czy filmów kanonu, ale scenariusz legendy gatunku Franka Millera („Powrót Mrocznego Rycerza”, „Sin City”, „300”) jest intrygujący. Opowieść zresztą łączy także młodość Supermana z innymi okolicami uniwersum DC – w ostatniej części tomu np. z losami



FRANK MILLER, JOHN ROMITA JR
„SUPERMAN. ROK PIERWSZY”
EGMONT 2020

Batmana oraz jednego z jego zaciekle przeciwników. Jednocześnie całość napisana jest tak, by była ciekawa także dla tych, którzy nie są zagorzałymi fanami opowieści o superherosach. ©

poleca Piotr Gociek



Królowa lasu

FOT. MATERIAL PROSIVE

Jej głos słyszało ponad 20 mln graczy z całego świata, znają go także widzowie serialu „Korona królów”. Joanna Lacher, która przez dekadę śpiewała w zespole Percival (to z nim nagrała kompozycje, które stały się częścią ścieżki dźwiękowej gry „Wiedźmin 3: Dziki Gon”), wydała niedawno solowy album pt. „Królowa lasu”.

Trwającą dekadę współpracę Joanny z grupą Percival przerwał w 2016 r. wypadek samochodowy. Wracając wtedy razem z menedżerką zespołu z Festiwalu Muzyki Filmowej w Krakowie. Stan Joanny Lacher wymagał długotrwałej rehabilitacji i odpoczynku od sceny. Na początku 2018 r. poinformowała o zakończeniu

współpracy z Percival. „Niestety, ale moja obecna sytuacja nie pozwala mi na angażowanie się w twórczość zespołu w takim stopniu, jaki jest konieczny. Nie jestem w stanie jeździć na trasy ani nagrywać płyt. Nie mam prawa oczekiwać od innych, żeby na mnie czekali. Życie zespołu toczy się dalej i to całkiem nieźle” – napisała

na Facebooku, informując jednocześnie, że zamierza rozpocząć solową karierę. Premierowy solowy koncert dała w październiku 2018 r. Niedawno do sprzedaży trafiła „Królowa lasu”, która została wydana dzięki wsparciu finansowemu fanów. Album to 12 utworów, w których charakterystyczny wokół Joanny miesza się z folkem, elektroniką i odgłosami przyrody – śpiewem ptaków, dźwiękiem wiatru itp. Są na albumie piosenki melancholijne („Celtic”), są i ostrzejsze brzmienia („Chąśba”). Za album oprócz Joanny odpowiadają: Joanna Jachec (chórki), Michał Niecikowski (elektronika oraz produkcja muzyczna), Kamil Rogiński (instrumenty etniczne), Andrzej Mikityn (instrumenty perkusyjne). Patroni, wpłacający przedpremierowo pieniądze, raczej nie powinni zgłaszać pretensji. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

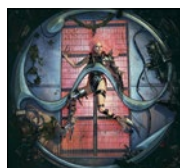
NA SŁUCH

Kobiety czują mocniej

Gwiazda powraca po sukcesie filmu „Narodziny gwiazdy” na taneczne parkiety. Jej disco stylizowane na electro-pop i house z lat 90. pulsuje wielką energią, tyle że jestem zdecydowanie za stary na takie przeżycia.

Mimo powalającej produkcji, w której uczestniczyło czterech najlepiej opłacanych specjalistów, te rozrywające membrany słuchawek piosenki są aranzacyjnie, słownie i melodycznie nieprawdopodobnie ubogie. Jednak magazyn „Rolling Stone”, wyrosły z hippisowskich ideałów, prawdopodobnie by utrzymać się na rynku, w entuzjastycznej recenzji napisał: „Lady Gaga uchwyciła tęsknotę za wspólnotą, którą odczuwają dzieciaki, kiedy założą słuchawki, zmrują oczy przed komputerowymi kamerami

i zatańczą w samotności”. W pierwszej piosence „Alice” Lady Gaga oznajmia: „Nie nazywam się Alicja, ale nie przestanę szukać Krainy Czarów”. Kolejne ukazują ją jako kruchą romantyczkę chroniącą się przed miłosnymi porażkami. Na płycie są goście z najwyższej komercyjnej półki. Z Arianną Grande, królową electronic dance music, Lady wykrzychała „Rain on Me”. Z koreańskim girlsbandem Blackpink wykonała przesłodzony popik „Kwaśny cukierek”. Natomiast z Eltonem Johnem mogłaby zaśpiewać balladę. Zamiast tego „Sine from Above”, mimo udziału nestora, też rozrywa uszy. Dzięki tej wychromowanej body-moving music Lady Gaga porwie miliony do tańca i stopniowo przejmie miejsce odchodzącej w zapomnienie Madonny. ©©



★★★★★
LADY GAGA
„CHROMATICA”
INTERSCOPE



★★★★★
STANISŁAWA CELIŃSKA
„JESIENNA...”
MUSICOM

Nostalgiczna, momentami retro, płyta idealna na jesienne rozważania o ludzkiej naturze. Stanisława Celińska napisała teksty o tęsknotach, przemijaniu i tolerancji. Maciej Muraszko ubrał słowa w dźwięki, sięgając po skrzypce, flet, akordeon czy mandolinę.



★★★★★
NORAH JONES
„PICK ME UP OFF THE FLOOR”
BLUE NOTE

Norah pięknie cierpi. Jej elegancka popowa wrażliwość doskonale współgra z jazzowym wykonaniem. Aranżacje są zakorzenione w tradycji południowego jazzu, folku i bluesa. Dominuje fortepian, który cudownie uzupełniają organy, skrzypce i czasem brutalna gitara. ©©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VEDYCJA NAGRODY



Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:

PARTNERZY

PARTNER WSPIERAJĄCY:



eprasa.pl 2b51fc0ad2

Spór o Odojewskiego

27 stycznia w „Do Rzeczy” 5/2020 ukazał się felieton Joanny Siedleckiej, w którym wspomniała ona o agenturalnej przeszłości Włodzimierza Odojewskiego. 30 marca opublikowaliśmy polemiczny list dr. hab. Wiesława Ratajczaka, w którym wspomniął on o studium dr hab. Elżbiety Wojcieszek. Poniżej publikujemy list dr hab. Wojcieszek oraz odpowiedź Joanny Siedleckiej. Na tym kończymy debatę na ten temat

Szanowni Państwo,
po tym, jak ustawodawca umożliwił dziennikarzom praktycznie nieograniczony dostęp do akt przechowywanych w archiwum IPN, wielu z nich podjęło tematy związane z niedawną przeszłością ludzi, którzy dostali się w sieć aparatu bezpieczeństwa. Powody, którymi kierowali się publicyści, były różne: ciekawość, chęć zaistnienia, próba dotarcia do istoty minionych zdarzeń i wiele innych. Z całą pewnością zaczęli podejmować tematy, którymi równolegle zajmowali się zawodowi historycy. Obie perspektywy poznawcze łączy konieczność posiadania i doskonalenia warsztatu badawczego. Publikacje pióra Joanny Siedleckiej składają do refleksji nad tą kwestią.

Analizę źródeł przechowywanych w Instytucie Pamięci Narodowej dotyczących Włodzimierza Odojewskiego przeprowadziłam kilka lat temu na prośbę poznańskiego środowiska literackiego. Praca została opublikowana w zbiorze „Zabezpieczanie śladów. Wokół życia i twórczości Włodzimierza Odojewskiego” (Wydawnictwo PSP, Poznań 2018). Funkcjonariusze SB wytwarzali różnego rodzaju dokumenty, m.in. ewidencyjne, administracyjne, śledcze i operacyjne. Główne dokumenty dotyczące Włodzimierza Odojewskiego należą do wyjątkowo specyficznych materiałów operacyjnych, wytwarzanych według odpowiedniej instrukcji resortu MSW PRL i wymagających przez to wnikliwej krytyki źródłowej.

Podstawowymi źródłami, które podałam analizie, były dokumenty wytworzone

przez funkcjonariuszy Komendy Stołecznej MO ds. SB w Warszawie z lat 1964–1968, przechowywane w Archiwum IPN w Warszawie pod sygnaturą AIPN BU 001121/544 – tytuł teczeki: „TW »WO«” oraz AIPN BU 0204/412 – Kwestionariusz ewidencyjny krypt. „Oda”. Ze źródeł tych korzystała także Joanna Siedlecka, pisząc poświęcony Włodzimierzowi Odojewskiemu rozdział książki „Kryptonim »Liryka«” z 2008 r.

Wymieniony w tytule pierwszej teczeki skrót TW oznacza tajnego współpracownika, kategorię, która została formalnie wprowadzona instrukcją z 1960 r. Píše o tym m.in. Filip Musiał w książce „Podręcznik bezpieki. Teoria pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa w świetle wydawnictw resortowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL (1970–1989)”. Sama instrukcja została opublikowana w zbiorze „Instrukcje pracy operacyjnej aparatu bezpieczeństwa” w opracowaniu Tadeusza Ruzikowskiego. Ujmując rzecz w skrócie, w praktyce operacyjnej TW to jedna z kategorii osobowych źródeł informacji SB. Była to osoba celowo zwerbowana do współpracy z SB, świadomy i tajny informator i wykonawca zleceń SB. Werbunek TW poprzedzało tzw. opracowanie kandydata na tajnego współpracownika (KTW). Dokumenty związane z osobą i działalnością TW gromadzono w teczce personalnej TW i teczce pracy TW. Teczka personalna zawierała informacje o sposobie werbowania kandydata na TW, a także

charakterystyki z okresu współpracy oraz materiały uzyskane przy weryfikacji dostarczanych przez niego materiałów. Teczka pracy zawierała przede wszystkim donosy składane przez TW. W teczce wytworzonej przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa SB PRL i przechowywanej w Archiwum IPN w Warszawie pod sygnaturą AIPN BU 001121/544 znajdują się jednak różne dokumenty. Z trudem można by ją zakwalifikować do kategorii teczek pracy współpracownika SB, ale wówczas trzeba zauważyć brak w niej ważnego dokumentu, tzw. opracowania KTW. Nie ma też zobowiązania na piśmie do współpracy. W tej teczce zachowały się tylko dwa dokumenty sporządzone i podpisane przez Włodzimierza Odojewskiego: Oświadczenie z 25 lutego 1964 r. o zachowaniu w tajemnicy treści rozmów prowadzonych z SB. Tego typu oświadczenia musieli podpisywać niemal wszyscy wzywani na rozmowy z funkcjonariuszami i na pewno nie było to zobowiązanie do współpracy. Drugi dokument, który niewątpliwie nie przysparza chwały Odojewskiemu, to pokwitowanie odbioru 1 tys. zł na pokrycie kosztów pobytu na Zjeździe ZLP w Lublinie datowane na 16 września 1964 r. Inne materiały to dokumenty wytworzone przez funkcjonariuszy. Nie zachowała się druga część teczeki pracy TW, która powinna zawierać m.in. donosy.

Te, według Joanny Siedleckiej, zachowały się w aktach innych osób inwigilowanych przez SB, gdzie są podpisywane pseudonimem „W.O.” i „W”. Autorka twierdzi, że oba pseudonimy dotyczą Włodzimierza Odojewskiego. Jest to nieprawda. Został zarejestrowany jako „W.O.” i nigdzie nie ma jakiegokolwiek adnotacji o innym pseudonimie.

Można jeszcze dodać, że z zapisów w dokumentach ewidencyjnych SB, w tym w Dzienniku Rejestracyjnym SUSW w Warszawie, wynika, że Włodzimierz Odojewski został zarejestrowany pod numerem 2103 27 lutego 1964 r. przez Wydział III, kategoria KTW, pod pseudonimem „W.O.”, zdjęty z ewidencji 20 grudnia 1969 r. Jegoteczka została przekazana do archiwum i otrzymała tam sygnaturę 8934/I.

Druga z wyżej wymienionych teczek to Kwestionariusz ewidencyjny krypt. „Oda”, będący efektem inwigilacji SB prowadzonej wobec Włodzimierza Odojewskiego jako osoby uznanej za wroga PRL. Zawarta jest tam m.in. informacja funkcjo-

nariusza, że podczas rozmów w sprawie uzyskania paszportu do Francji w połowie września 1969 r. Odojewski odmówił współpracy. W książce z 2008 r. pani Siedlecka twierdziła, że miał już wtedy ugruntowaną pozycję na Zachodzie i nie nie ryzykował, a jego książka „Zasypie wszystko, zawieje...” otworzyła mu drogę do kariery na Zachodzie.

Taka interpretacja źródła całkowicie lekceważy chronologię zdarzeń. Pomijając fakt, że Odojewski ryzykował i mógł nie dostać wówczas paszportu, to nie mógł przecież w roku 1969 przewidzieć, że w 1974 r. otrzyma nagrodę „Wiadomości” im. Mieczysława Grydzewskiego za książkę, która przyniosła mu wielką sławę, wydaną w końcu 1973 r. przez ośrodek paryskiej „Kultury” (patrz m.in. „Wiadomości”, Londyn, 10 listopada 1974 r.). W Kwestionariuszu ewidencyjnym krypt. „Oda” znajduje się informacja, którą warto przywołać. Inspektor Wydziału IV Departamentu III MSW kpt. Krzysztof Majchrowski w tajnej notatce sporządzonej w Warszawie 30 lipca 1969 r. pisał, że wniosek o zaniechanie współpracy złożono m.in. ze względu na jego niechętny stosunek do ścisłego związania się z SB, brakiem szczerości w rozmowach z funkcjonariuszami i negatywny stosunek

do PZPR. Funkcjonariusz informował, że przeprowadził rozmowę z Włodzimierzem Odojewskim, z którym „przez okres 1964–1968 Wydział III KSMO prowadził rozmowy operacyjne, uzyskując od niego pewne informacje dotyczące osób ze środowiska inteligencji w-skiej. Sądzone, że z biegiem czasu uda się pozyskać W. Odojewskiego w charakterze tw. Jednakże w kwietniu ubiegłego roku zrezygnowano ostatecznie z prowadzenia z nim dalszych rozmów ponieważ wspólnie z innymi literatami z zarządu ZLP Oddz. Warszawskiego inspirował on środowisko literackie do wrogich poczynań przeciwko władzom państwowym. Powodem obecnej rozmowy z W. Odojewskim była okoliczność złożenia przez niego dokumentów na prywatny wyjazd do Francji w połowie września 1969 r. [...] W rozmowie zapytałem W. Odojewskiego m.in. czy z uwagi na jego wyjazd i ewent. możliwości służba nasza mogłaby liczyć na uzyskanie od niego interesujących nas danych z terenu Francji. Na to W. Odojewski odpowiedział, że niestety nie chciałby się podejmować udzielania nam jakichkolwiek danych o osobach, z którymi by się kontaktował, gdyż psychicznie źle by się czuł podczas rozmów z tymi ludźmi. Wobec zdecydowanej postawy W. Odojewskiego zakoń-

czyłem z nim rozmowę informując go, że uzyskane od niego dane przedłożę swym przełożonym, którzy podejmą decyzję w kwestii wydania mu paszportu” [AIPB BU 204/412, scan 15-18].

Z tej informacji wynika, że SB w latach 1964–1968 prowadziła z Włodzimierzem Odojewskim rozmowy operacyjne, ale nie pozyskała go jako tajnego współpracownika. Natomiast podczas starań o paszport w 1969 r. odmówił współpracy.

Wszystkie źródła wymagają konfrontacji z innymi, w tym także z wyjaśnieniami osób zainteresowanych. Włodzimierz Odojewski prosił o to Joannę Siedlecką, a później także „Gazetę Wyborczą”. Niestety, nie opublikowano wtedy jego wyjaśnień.

W związku z wyżej wymienionymi argumentami uznałam, uzasadniając to szeroko i szczegółowo w artykule opublikowanym w 2018 r. w zbiorze „Zabezpieczanie śladów. Wokół życia i twórczości Włodzimierza Odojewskiego”, i nadal uznaję, że przypisywanie Włodzimierzowi Odojewskiemu współpracy w charakterze TW z aparatem bezpieczeństwa jest nieuprawnione.

**Z wyrazami szacunku
dr hab. Elżbieta Wojcieszek**

Rajd szlakiem TW Odojewskiego



Joanna Siedlecka

O Odojewskim nie można pisać, nie przypominając jego ofiar

Zdumiewa zaliczenie mnie do osób, które – korzystając z udostępnienia akt IPN nie tylko historykom – próbują dzięki temu „zaistnieć”. Zaistnienie jest potrzebne raczej pani, bo jak dotąd w dziedzinie „SB a literaci” nie ma pani najmniejszego nawet dorobku, a mimo to kategorycznie deprecjonuje moje ustalenia sprzed 12 lat o świadomej i dobrowolnej współpracy Odojewskiego z SB, ujawnione w mojej książce „Kryptonim »Liryka«” (2008). Jestem też autorką

dwóch innych pozycji, opartych głównie na aktach IPN: „Obława. Losy pisarzy represjonowanych” i „Biografie odtajnione”. Recenzentem mojej „Liryki” z rozdziałem o Odojewskim był dr Sebastian Ligar-ski, historyk IPN, jeden z najlepszych znawców tematu, który nie znalazł w niej żadnych błędów. Jego uwagi przyjąłabym z pokorą, te od pani uważam za skrajnie nieprofesjonalne i nieetyczne, zdumiewające u historyka IPN, który przyłącza się nimi do antyhistorycznego chóru, broni i wybiela agenta, robi mu lifting, pozwala odzyskać twarz, podważając dokumenty SB i wiele faktów potwierdzających jego współpracę:

1. Protokół z pozyskania, według którego w lutym 1968 r. zarejestrowano Odojewskiego pod numerem 2103 jako TW „WO”; nazwiska jego oficerów prowadzących, m.in. kpt. Krzysztofa

Majchrowskiego od agentury najcenniejszej; charakterystyki TW podkreślające, że przekazywał SB „ważne informacje o środowisku literackim”; raporty z lat 1964–1968 spisane ze słów TW przez jego oficerów; protokół z zakończenia współpracy ze stycznia 1969 r. (nie dlatego, że – jak chciałaby dr Wojcieszek – Odojewski przejrzał na oczy, ale – jak pisała SB – „wyrobił już sobie pozycję na Zachodzie, gdzie przełożono mu już wiele książek, co pozwoliło mu na znaczne dochody i SB nie było mu już potrzebne”, szykował się też do swego wielkiego skoku na Zachód); jest też protokół z złożonej mu wtedy sprawy „Oda” (nie dlatego, że – jak twierdzi naiwnie dr Wojcieszek – „uznano go za wroga PRL”, którym na pewno wtedy nie był, ale „nie chcąc tracić z nim kontaktu, licząc, że nawiąże go znów, gdy wróci z Zachodu”, gdzie

SB musiała go puścić, bo o szykanach wobec Odojewskiego huczała już nagłaśniana przez niego Wolna Europa i lada dzień miało wyjść przemyczone „Zasypie wszystko, zawieje”, reklamujące go jako „polskiego Sołżenicyna”, które jednak, wbrew temu, co pisze dr Wojcieszek, nie zrobiło światowej kariery).

2. Nazwisko Odojewskiego znalazło się na tzw. liście Wildsteina, o czym wiedział – jak przyznawał w wywiadzie z Krzysztofem Masłoniem („Siekiera nad moją głową”, „Rzeczpospolita” 1.12.2008), mimo to nie protestował, jak wielu innych, którzy poczuli się tym skrzywdzeni.

3. Po ukazaniu się mojej „Liryki” nie pokajał się, nie przeprosił ofiar swoich donosów, umniejszał szkodliwość tych donosów, ale jednak przyznał się do współpracy, w cytowanym już wywiadzie z Masłoniem mówiąc: „Czy zostałem wrobiony przez SB, czy dałem się zrobić, jest faktem, że się w to wrobiłem”. Usprawiedliwiał się żenująco strachem przed utratą kierowniczego stanowiska w radiu. „Trząsałem się o posadę, o to, że mnie wyleją. Wiedza o tym, jak z SB postępować, przyszła później” – mówił.

4. Sam z własnej woli zrezygnował wtedy ze swojego udziału w jury Nagrody im. J. Mackiewicza. Zawiesił również swoje członkostwo w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich „do czasu wyjaśnienia swojej sprawy”. Nigdy jej jednak nie wyjaśnił i – co bardzo wymowne – nic o niej nie napisał. Nie wytoczył sądowej sprawy ani mnie, ani mojemu wydawnictwu czy IPN, a stałoby się tak niewątpliwie, gdyby – jak insynuuje dr Wojcieszek – przypisano mu cudze donosy, co jest przestępstwem.

5. Mimo tylu twardych dowodów na przyznanie się Odojewskiego dr Wojcieszek wie lepiej od niego, że nie był TW, i próbuje to udowodnić, przeczesując jego teczkę pod lupą i badając jego wyroki choćby skrawek wątpliwości, znaleźć lukę, braki. Jednak jej „odkrycia” obnażają tylko jej ignorancję i lenistwo, bo materiałów Odojewskiego nawet dokładnie i ze zrozumieniem nie przeczytała. Wytropiła np. brak zobowiązania do współpracy, choć historyk IPN powinien wiedzieć, że za takie zobowiązanie uważano deklarację zachowania w tajemnicy rozmów z SB podpisaną przez Odojewskiego własnoręcznie, podobnie jak pokwitowanie odebrania tysiąca złotych (choć opłacany był paszportem i swobodą kontaktów

ze swoimi tłumaczami, wydawcami oraz pobieraniem dewizowych honorariów z pominięciem ZAiKS). Dopatrzyła się też braku KTW, protokołu z opracowania na TW jednak nie zauważyła, a raczej nie chciała zauważyć, bo burzyło to jej tezę, że w wypadku Odojewskiego nie było to potrzebne. Okazał się on łatwym łupem i ku miłemu zaskoczeniu SB mówił dużo już na pierwszym „rozpoznawczym” spotkaniu. Według dr Wojcieszek przypisano też Odojewskiemu donosy sygnowane kryptonimem W, mimo że zarejestrowano go jako „WO”. Z analizy jego raportów wyraźnie jednak wynika, że podpisywano je nie tylko „WO”, lecz także „W.od” i „W”. Jego pierwszy prowadzący, kpt. Majchrowski, podpisywał je „WO”. Drugi – kpt. Władysław Jędrzejewski: „W”. W mojej „Liryce”, którą Odojewski musiał widzieć, nie tylko cytowałam jego donosy sygnowane „W”, lecz także publikowałam ich skany. Dlaczego więc nie krzyczał, że to nie jego? Co więcej, dr Wojcieszek przeczy sama sobie. W książce „Zabezpieczanie śladów”, której częścią jest jej tekst, znajduje się

skim, Stampf’lu; tłumaczach jego książek: Gerdzie Hagenau, Heinrichu Kunstmanne, Celinie Wieniewskiej oraz o sprawach będących jego specjalnością – kto obecnie kogo tłumaczy, ile płaci: „Kunstmann np. płaci dużo, ale nie konsultuje z nikim swoich przekładów, na co skarżył się Herbert i Terlecki”.

6. Najistotniejszym dowodem współpracy są dostarczane przez TW informacje pozwalające SB niszczyć jej „figurantów”, łamać im nie tylko kariery, lecz także marnować im zdrowie i życie – a tę pracę wykonywał TW „WO” z nawiązką, o czym dr Wojcieszek, zajęta szukaniem braków w jego teczkach, nawet się nie zająknęła, nie wykażała cienia empatii dla jego ofiar. Czytelnicy jej tekstu nie dowiadują się w ogóle,



list Odojewskiego do „Gazety Wyborczej”, w którym usprawiedliwia się z wyjątkowo obrzydliwego donosu na swojego radiowego szefa Stanisława Stampf’la. Donos podpisany był właśnie „W”. Czyżby tłumaczył się z cudzych grzechów? Nawet na pierwszy rzut oka, na który dr Wojcieszek się nie zdobyła, widać, że donosy „W” to dzieło Odojewskiego – mówią wyłącznie o jego przyjaciółach, kolegach i szefach z radia: Herbercie, Iwaszkiewicz, Krzysztoniu, Terleckim, Sicie, Sokor-

że donosił, krzywdził, szkodził, głównie swoim konkurentom do zagranicznych tłumaczeń. W wyniku jego donosów rewidowano ich „na granicy, konfiskowano tłumaczenia, odbierano paszporty” – np. Herbertowi, którego upił, żeby przekazać SB wysokość jego zagranicznych honorariów; kalekiemu Krzysztoniowi, który podczas zsyłki do Kazachstanu stracił rękę, a w wyniku inwigilacji SB, licznych przesłuchań, prób werbunku – zachorował psychicznie i popełnił samobójstwo.

Donosił o interesach Iwaszkiewicza (najprawdopodobniej swojego kochanka – Iwaszkiewicz opisywał w „Dzienniku” pocałunki z Odojewskim, pomógł mu w przeniesieniu do Warszawy, otrzymaniu intratnej posady), o pisarzach tej miary co Stonimski, Dąbrowska, swoich tłumaczach („Kunstmann to sprytny geszefciarz”), radiowych szefach, np. Sokorskim i jego niekorzystnych finansowych decyzjach.

7. Skala współpracy Odojewskiego i wyrządzonych przez niego krzywd nie jest jeszcze do końca znana, co zupełnie dr Wojcieszek nie interesowało, i to ja odnalazłam niedawno w teczach innych pisarzy trzy nowe donosy TW „WO”, spisane przez jego oficerów prowadzących. Ten z 10

pociągany do odpowiedzialności. Swoje zachowanie stara się tłumaczyć przeżyciami okupacyjnymi – pobyt w getcie, ucieczka z niego, ukrywanie się przed Niemcami”. W donosie z 4 maja 1965 r. sygnowanym „W” charakteryzował poetę Mariana Grześczaka, rodaka z Poznania: „Rozsądny, b. inteligentny, erudyta. Wielkie zdolności współżycia z ludźmi. Ma szerokie kontakty zarówno w grupie młodych, jak i starszych literatów”. Między innymi w rezultacie jego donosu SB wytypowała Grześczaka na TW i zwerbowała. W donosie TW „WO” z 6 maja 1964 r. (z teczki na Jana Józefa Lipskiego) informował o pisarce Annie Kowalskiej, która w swoim dzienniku 8 maja 1964 r. odnotowała wizytę „pięknego Odojewskiego” i rozmowę z nim – przekazaną przez niego SB –

o reakcjach środowiska na List 34. Otrzymał też od Majchrowskiego zadanie „zebrania informacji o zaczyna-
jącej współpracę z radiem Marcie Miklaszewskiej, żonie Jana Olszewskiego”.

też np. prób szukania w jego twórczości ukrytych szyfrów jego współpracy, a w moralistycie tłumionego poczucia winy. Zamiast tego mamy stary, dęty polonistyczny bełkot typu „Odojewski – archont pamięci”. Brak też ciemnych kart jego życiorysu – 10 lat w partii, wymownej zmiany nazwiska (syn Genowefy Zawodnej i Stanisława Jasińskiego przybrał sobie księżę – Odojewski).

9. Ofcym chrzestnym hagiografii jest Archiwum W. Odojewskiego na wydziale polonistyki Uniwersytetu Poznańskiego, instytucja niezwykle szkodliwa, zwłaszcza dla studentów. Nie jest to bowiem archiwum, ale aktywne Towarzystwo Obrony Utraconej Czczy TW Odojewskiego, lansujące go i promujące – za czyje pieniądze? – na nieprawdopodobną wręcz skalę. Jego współpraca z SB jest dla niego nie tylko moralnie obojętna, ale zaprzecza jej, powołując się na epokowe odkrycia dr Wojcieszki, które przedstawiają go jako ofiarę SB, atakując takich jak ja, którzy ją udowadniają. Urządzą mu ciągle liczne, również ogólnopolskie, sesje, konferencje, panele, konkursy, a dla studentów obowiązkowe zajęcia o jego książkach, rajdy jego wielkopolskim szlakiem (a w planach także i zagranicznym). Organizują spotkania z krytykami, a także jego pociotkami – przybyłą z Francji córką i wnukiem, kumpami oraz ich dziećmi, opowiadającymi, jakim fajnym był również dziadkiem i wujkiem. W pięknych wnętrzach pałacu Działyńskich i Raczyńskich urządzą mu poprzedzane wernisażami z oprawą muzyczną i recytacją aktorów wystawy dokumentujące jego bogate i atrakcyjne życie. Zdjęcia od rozkośznego bobaska w wóze do redaktora Wolnej Europy (o tym, że okłamał ją, zatajając swoją agenturalną przeszłość ani mru-mru). Pełne antyków, ikon, obrazów kolejne mieszkania, na warszawskim Żoliborzu i w Monachium. Kolejne żony i nawet dziecięce rysunki jego córki. Zdjęcia z podróży i wakacji – Dubrownika, Włoch, Grecji. Wieleojęzyczne wydania jego książek. A... jego ofiary? Takie wystawy powinny być dozwolone tylko wtedy, gdy obok będą zdjęcia ofiar TW „WO”: Krzysztonia, Wojdowskiego, Herberta, jego donosy i spis książek, które na skutek nich nie powstały. Inaczej są policzkiem dla ofiar, przykładem komunistycznego zdeprawowania, zacierania granicy między dobrem a złem, braku rozrachunku z PRL. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



maja 1965 r., sygnowany jego nazwiskiem, Odojewski – bo tak się widać też zdarzało – dotyczy Bohdana Wojdowskiego, kolegi z redakcji „Współczesności”, autora „Chleba rzuconego umarłym”, dziecka Holocaustu, który również skończył samobójstwem. Jego spraw zawodowych, nagrody Kosielskich, ale głównie mówi o osobistych „nieprzyjemnych cechach charakteru: apodyktyczny, awanturniczy, nieustępliwy, mitoman, alkoholik. Po pijanemu wywołuje pijackie burdy, za co kilkakrotnie był

8. Żenujący tekst dr Wojcieszki nie jest jednak samotnym wybrukiem, na który można by machnąć ręką, ale częścią równie żenującej hagiografii pt. „Zabezpieczenie śladów. Wokół życia i twórczości W. Odojewskiego” (wydawnictwo: Poznańskie Studia Polonistyczne). Oczywiście trzeba o tym pisać, ale już inaczej, na nowo. Z jednym choćby zdaniem, którego tu brak – że kariery, tłumaczeń na 20 języków nie zawdzięczał tylko sobie, lecz także wysługiwaniu się SB. Brak



FOT. PASCAL PABROT/SYGMA/GETTY IMAGES

W górę biegu historii

Odszedł do Wieczności Jean Raspail (1925–2020). Jak na romantyka przystało, miał śmierć wpisującą się we własne dzieło. Umierał, gdy Zachód stoi w obliczu rewolucji, którą przepowiedział. „Le Figaro”, najstarszy francuski dziennik, pożegnał go wielkim blokiem wspomnień. Złożyli mu hołd wdzięczności – zjednoczeni w żałobie – obaj spadkobiercy tronu Francji, książę Andegawenii i hrabia Paryża. Ci wszyscy, dla których był heroldem Nadziei – uświadomili sobie, że śmierć jest nie tylko końcem życia (ludzie wiary w ten koniec nie wierzą), ale przede wszystkim sieroctwem tych, którzy zostają tutaj.

Pisarstwo Raspaila sprowadza się często do „Obozu świętych”, książki rzeźwywieści proroczej. Na początku lat 70. ubiegłego wieku, gdy nie wygasły jeszcze zgłoszcza po paryskim maju, gdy ciągle odbywały się demonstracje przeciw ame-

rykańskiej obronie Republiki Wietnamu, gdy skrajna lewica żyła rewolucją obyczajową – „Obóz świętych” wieścił rewolucję kolejną, większą i definitywną, imigracyjną inwazję, która zakończy dzieje zachodniej Europy. Ta niewątpliwie genialna książka nie była jednak najbardziej typowa w jego twórczości. Raspail z reguły nie pisał o współczesności, której – zgodnie z dewizą politycznej kontrrewolucji – warto bronić „quand même”, mimo wszystko, ale o nicości nowoczesności. Nie był kontrrewolucjonistą politycznym, jak Maurras, ale romantycznym, jak Chateaubriand.

Często przypomina się, że zaczynał jako podróżnik. Jego podróże jednak, jak w drukowanym obok fragmencie „Na królewskim szlaku”, opowieści o młodzińskiej podróży z Quebecu do Nowego Orleanu, więc w poprzek (niegdys francuskiej) Ameryki, były w gruncie rzeczy wędrówką w poszukiwaniu zagubionych

dróg historii. Bo przecież, gdyby nie było rewolucji, Francja nie porzuciłaby swych północnoamerykańskich posiadłości, obejmujących jeszcze na początku XIX w. (współczesnym nie chce się wierzyć!) całe dorzecze Missisipi, cesarz Maksymilian, gdyby dopisało mu szczęście, mógł obronić Cesarstwo Meksyku przed rewolucją Juareza, nawet Antoni de Tounens mógł dzięki swym Indianom utrzymać niepodległość Królestwa Patagonii. Nie trzeba wymyślać alternatywnych historii, historia jest jedynie jedną z własnych alternatyw. Raspail całe życie podążał w górę jej biegu.

Nadzieja, w rozumieniu katolickim, nie jest optymizmem, ale nadprzyrodzoną pewnością siebie. Wiarą w to, że Bóg da nam dość sił, by przeżyć życie tak, jak powinniśmy. Właśnie tej Nadziei uczył Jean Raspail, wbrew nadziei.

Marek Jurek

FRAGMENT KSIAŻKI

AMERYKAŃSKA PRZYGODA W KANU NA RZECĘ ŚWIĘTEGO WAWRZYŃCA

Od Wydawcy: W 1949 r. Jean Raspail ma 23 lata i wielkie marzenie: popłynąć Rzeką Świętego Wawrzyńca do Nowego Orleanu śladami pierwszych francuskich odkrywców Ameryki. Przez siedem miesięcy on i jego trzech towarzysze, francuscy skauci, stali w obliczu złej pogody, wypadków i wraków statków, prowadząc każdego wieczoru dziennik pokładowy. Te cudownie odnalezione po latach notatki stały się okazją do przeżycia jeszcze raz tej wyjątkowej podróży i niezwykłej historii, w której spotykamy się z legendarnymi pionierami Ameryki Francuskiej; podróżnikami, żołnierzami i misjonarzami. Wyprawa ta, podczas siedmiu miesięcy zmagania, zrobiła z młodzieńca mężczyznę, pisarza, podróżnika i odkrywcę. Przez całe życie na królewskiej służbie. Zakończył ją 13 czerwca 2020 r. Święć, Panie, nad jego duszą.

„[...] 25 maja 1949 r. o drugiej po południu było zimno i wiał złośliwy wiatr północny. Okutani w anoraki, wreszcie mieliśmy się załadować do naszych kanu. Mażoretki ubrane były w pończochy z białej wełny. Fanfary grały starą piosenkę handlarzy skór. Wszyscy zgromadzeni znali jej słowa: »Wiosło, co nas prowadzi, co nas prowadzi, to wiosło wiedzie nas w górę...«. W górę – czyli do Górnego Kraju... Wciąż jeszcze widzę Mojżesza Cadorette’a, jego piękną miedzianą twarz okoloną białymi włosami, jak ze łzami w oczach (my też je mieliśmy) przybija do dziobów naszych kanu medal z Matką Boską Opiekunką Podróżnych. Mer Trois-Rivières, pan Rousseau, przybył w towarzystwie siedmiorga swoich dzieci – taka liczba przychówku była normą w tamtych czasach, kiedy tzw. zemsta kołysek (mające miejsce w Kanadzie od XIX w. propagowanie jak największej liczby urodzin w rodzinach ludności francuskojęzycznej, w celu opierania się obcym wpływom) dobiegała końca. Za pośrednictwem mikrofonu skierował do nas kilka bardzo serdecznych słów, mówił, że jest z nas dumny (a nie posunęliśmy

się jeszcze nawet o metr!) i życzył powodzenia »przeklętym Francuzom«, czyli nam, co było określeniem dobrze znanym na brzegach Rzeki Świętego Wawrzyńca, choć wcale nie pejoratywnym, a będącym jedynie formą przypomnienia, pół żartem, pół serio, że po traktacie paryskim Francja, wycofując się, bez większego żalu, swoje elity i wszystko, co stanowiło fundament tych »śnieżnych przestrzeni«, zostawiła ich sam na sam z Anglikami, a jedynym wsparciem społecznym, moralnym i administracyjnym byli prości proboszczowie, siostrzyczki zakonne i szkoły katolickie, co zresztą faktycznie miało ich ocalić. Mający u swego boku małego chórzystę w czerwonej szatce i białej komży, ksiądz Tessier pobłogosławił nasze kanu, hojnie skrapiając je wodą święconą. W tłumie zaległa cisza jak makiem zasiał. Odbijając jedno za drugim od przystani, nasze dwa kanu skierowały dzioby ku nurtowi, żegnane uroczystą »Marsylianką«, którą, mimo licznych potknięć, z fantazją odgrywał oddział miejskich trębaczy.

Trois-Rivières leży w przewężeniu rzeki, w górze mając Jezioro Świętego Piotra, zaś w dole ogromne i potężne rozlewisko spływające z Quebecu do oceanu. To zwężenie bardzo, niestety, zwiększa szybkość nurtu. Rzeka, zmuszona torować sobie drogę pomiędzy blisko siebie położonymi brzegami (dwa kilometry zamiast pięciu czy sześciu), chętnie okazuje zły humor. Najeża się szpiczastymi falami, ostrymi i rozpryskującymi wokół krople wody. Przyjaciele z klubu Radissona zapomnieli nas ostrzec, że Rzeka Świętego Wawrzyńca podlega morskim pływowi, i że start naszego rejsu nieszczęśliwie zbiegł się z początkiem odpływu. Dostaliśmy pięścią w nos – szybki nurt, odpływ i wiatr! Wiał teraz z południowego zachodu – prosto w nasze twarze! Nadlatywał od strony Montrealu, coraz bardziej porywisty, jakby postanowił zagrozić nam drogę. Uklekliśmy w naszych kanu, w pozycji bojowej, co gwarantowało mniejsze obciążenie i większą równowagę. Na próżno, zgięci wpół, wiosłowaliśmy jak szaleni. Kiedy brzmiał ostatni refren »Marsylianki«, my nie

oddaliliśmy się od przystani o więcej niż trzydzieści metrów. Na brzegu panowało pełne zdumienia milczenie. Starzy wiosłarze z klubu Radissona kontemplowali tę katastrofę ze stoickim spokojem, przed oczyma duszy mając czekające nas tysiące mil. Nasze twarze spływały potem – zmęczenia i wstydu. Dyrygent orkiestry wspaniałomyślnie rzucił nam koło ratunkowe. By nas podnieść na duchu, fanfary zagrały »Wiosło, co nas prowadzi, co nas prowadzi«, po czym gładko przeszły do »Jaskółeczko, miła jaskółeczko...«, by zakończyć nieco zaskakującą pieśnią »Pułk Sambre-et-Meuse«, która w cudowny sposób pozwoliła nam w końcu na dobre odpłynąć. O jakieś trzysta metrów od nas na torze wodnym dostrzegłem boję (ze względu na liczne i położone tuż pod powierzchnią mielizny, doradzano nam trzymać się żeglownej części rzeki). Pod wpływem prądu boja wciąż chowała się pod wodę.

Przybicie do niej wymagało wielkiej zręczności, niczym chwywanie na łąso konia w galopie. Ona tańczyła na falach, a nasze unoszone przez nie kanu chaotycznie rzucały się na wszystkie strony. Po kilku próbach, które skończyły się totalnym przemoczeniem, mój »szlakowy« (tak się w języku kajaków nazywa członek załogi siedzącego z przodu), Philippe Andrieu, oraz ja, jego sternik, daliśmy sobie w końcu radę. Gdy drugie kanu podpłynęło do nas, rzuciłem im linę, którą ich szlakowy, Yves, wśród śmiechów i kpín, w końcu chwycił. Kompletnie przemoczeni, leżąc w naszych kanu, mogliśmy wreszcie odetchnąć. Byliśmy wyczerpani – w głowach pustka, drżące ręce. Nie wytrzymałabymy nawet pięciu minut dłużej i gdyby nie ta boja – kto wie – dokąd by nas zawiął wiatr i poniósł nurt, nie bacząc na nasze zamierzenia. Tłum na brzegu już się rozszedł. Zastanawiałem się, co ci ludzie myśleli o »przeklętych Francuzach«. A co myślał stary Mojżesz? A ksiądz Tessier? Niebo zasnuło się niskimi, czarnymi chmurami”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

JEAN RASPAIL
„NA
KRÓLEWSKIM
SZLAKU”
TŁUM. BEATA
BIAŁY,
WYDAWNICTWO
DĘBOGÓRA 2020

Bogusław Kiernicki i jego wydawnictwo Dębogóra mają wielkie zasługi w upowszechnianiu w Polsce twórczości Jeana Raspaila.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Koszmar Sowietów

Ja pojechała do Kazachstanu dzieckiem, za mała na pracę byłam, ale: »Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet«, to i do roboty trza było iść. Przy traktorze mnie postawili, filtry czyściłam. Raz jak ręce ubrudziłam smarem, to wodą obmyłam, a tam mróz.

Ty wiesz, co to mały mróz? To -35, -40 stopni. Duży to -50, -60. I ten mróz mi pod skórę zaszedł. Ręki zamarzli, odmrozili się. Skóra gniła, kości odpadali. Wojna była, ratunku znikąd, nie było czym posmarować. I te żywe ręce nie lekarz, nie pielęgniarka, tylko siostra mi odcinała. Ale nie padłam. Umierać dzisiaj czy jutro, wszystko jedno. Czy z rękami czy bez, przed Bogiem stanąć to mi żadna różnica.

To fragment wstrząsającej opowieści pani Rafały Wróblewskiej ze wsi Janczyki pod Kamieńcem Podolskim. W 1936 r. została wywieziona wraz z bliskimi w głąb Związku Sowieckiego w ramach wielkiej, zapomnianej deportacji Polaków. Po latach, na krótko przed śmiercią, opowiedziała o swoich przerażających przeżyciach Monice Odrobińskiej, autorce przejmującej książki „Dzieci wygnane”.

Pani Wróblewska straciła w Kazachstanie bliskich i dłoń. A wcześniej – w swoich rodzinnych okolicach – była świadkiem

wielkiego głodu. Sztucznie wywołanej przez bolszewików katastrofy, która pochłonęła życie milionów chłopów. Ukraińców, Rosjan, mieszkańców Kaukazu. A także, o czym mało kto wie, kilkudziesięciu tysięcy Polaków. Między innymi brata i siostry pani Rafały. Wcześniej Sowietci wywieźli na Syberię jej ojca. Nigdy nie wrócił.

Baliśmy się. I tamtych, i tego głodu. To była żywa śmierć, w oczach ją było ludziom widać. Ludzie takie słabe były, że na drogę wychodziły, siadały, przewracały się i tak umierały. Z głodu puchły. W każdej chacie padało dwoje, troje. A najwięcej to dzieci umierali. Jak oni płakali: »Mama, daj«. A co ta mama da? Jak kawałek chleba znalazła i dziecku do buzi wkładała, to z ręką gryzli. A żeby rodzinę wykarmić, to i trupy jedli, i jedno drugie zabijało i jadło. Kłoski zbierałam, jak nikt nie widział. Zmarłych w lesie chowali, jamy kopali. Oni tam do dzisiaj. Czasem krzyż ktoś postawił. Za ogrodem kanał płynął, cały trupami zawałony. Na nich z czasem drzewa porosły, ale owoców z nich nie zrywaliśmy. Raz jak nazbieraliśmy wiśni, to pierogi z tymi wiśniami trupem pachnieli”.

Tak, sowiecki „raj” był w rzeczywistości piekłem na ziemi. ©



★★★★★
MONIKA
ODROBIŃSKA
„DZIECI
WYGNANE”
ZNAK



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bitwa pod Cedynią

Niewiele wiemy o pierwszych władcach Polan z dynastii Piastów, a w miarę pewne informacje dotyczą dopiero Mieszka I. Z zapisów kronikarzy wyłania się postać pogańskiego księcia władającego bogatym państwem i dysponującego znaczną siłą zbrojną. Jednak w 963 r. Mieszko poniósł klęskę w wojnie ze Związkiem Wieleckim, skupiającym plemiona słowiańskie osiadłe na zachód od Odry. Dowodzeni przez niemieckiego awanturnika Wich-

się zabezpieczyć państwo przed najazdami ze strony Niemiec. Rychło okazało się, że Mieszko prowadzi właściwą politykę. W 967 r. Wichman i Wieleci ponownie najechali jego ziemie, ale tym razem książę był już dobrze przygotowany. Oddziały Polan, udając ucieczkę, wciągnęły przeciwnika w zasadzkę i Mieszko odniósł całkowite zwycięstwo. Wichman poległ, a Wieleci musieli się wycofać. W walce odznaczyły się dwa hufce czeskiej jazdy przysłane z Pragi.

Pięć lat później spadł kolejny najazd, tym razem na ziemie Polan wtargnął niemiecki margrabia Hodon. Mieszko mógł uchodzić za przyjaciela cesarza i płacić mu trybut, ale pograniczni możnowładcy prowadzili własną politykę. Czy była to zwykła wyprawa rabunkowa jak wiele innych, czy też margrabia sprzeciwiał się ekspansji Mieszka na Pomorzu? Tego nie wiemy, ale do decydującej bitwy doszło 24 czerwca 972 r. pod Cedynią (dawniej Cedzyną).

Zwycięstwo Polan było drugoczące, jednak triumf Mieszka zaniepokoił cesarza. Książę został wezwany na jego dwór i musiał oddać syna (przyszłego Bolesława Chrobrego) jako zakładnika swoich dobrych intencji. Cesarz jednak niebawem zmarł, młody książę powrócił do Polski, a Mieszko udowodnił, że jego państwo stało się ważnym elementem polityki regionu. Poszczególne niemieckie możnowładcy nie mieli już więcej ochoty atakować polańskiego księcia. ©

**Zwycięstwo Polan
było drugoczące,
triumf Mieszka
zaniepokoił cesarza**

mana Wieleci dwukrotnie pokonali polańskie oddziały, a na polu bitwy poległ brat naszego księcia.

Mieszko uczciwie odrobił pracę domową. Uznał, że skoro nie może własnymi siłami pokonać wroga, to musi znaleźć sojusznika. Zawarł przymierze z Czechami i poślubił tamtejszą księżniczkę o imieniu Dobrawa (Dąbrówka). Rozpoczął również przygotowania do przyjęcia chrześcijaństwa. Nawiązał też bezpośredni kontakt z cesarzem Niemiec. Uznał bliżej nieokreśloną formę zwierzchnictwa nad sobą i otrzymał tytuł przyjaciela cesarza. Zapewne płacił również trybut z części ziem, które miał pod swoją władzą. W ten sposób starał



W COLUMBUS USUWAJĄ KOLUMBA

Amerykańskie miasto Columbus już dwa lata temu zdecydowało, że nie będzie miało oficjalnego święta Dnia Kolumba. Odkrywczy nie należy już czcić, gdyż jego odkrycia doprowadziły do „zniewolenia rdzennej ludzkości”. Teraz miejscowy collage poszedł o krok dalej i zdecydował o usunięciu pomnika Kolumba ze swojego terenu. Władze szkoły twierdzą, że to efekt „wieloletniego dialogu” oraz wynik „troski i wsparcia dla studentów kolorowych, którzy zostali poszkodowani i byli traumatyzowani przez rasizm”.

FOT. CSC

BLACK LIFE MATTERS W DOLARACH

W Seattle, gdzie po śmierci George'a Floyda wybuchły zamieszki, spod kontroli policji wyrwana została cała strefa miasta. Protestujący zajęli dzielnicę Capitol Hill (gdy prezydent USA nazwał ich terrorystami, burmistrz Seattle stanęła po stronie demonstrantów, pisząc w sieci, że tłumienie protestów będzie niezgodne z konstytucją). Jeden z nich zaproponował teraz, że każdy biały z tej dzielnicy, jeśli chce opuścić „strefę”, powinien zapłacić 10 dol. jednemu czarnoskóremu mieszkańcowi. Film z tego wydarzenia w sieci zyskał poparcie wielu ciemnoskórych, którzy twierdzą, że powinno być prawo nakazujące białym płacenie Afroamerykanom.

KULISY HISZPAŃSKIEJ SELEKCJI

Dziennik „El País” dotarł do dokumentów świadczących o tym, że w Hiszpanii

podczas masowych zachorowań na koronawirusa selekcjonowano chorych na tych, którym warto pomagać. Szczegółowe wytyczne – z punktową oceną pacjenta – wysłał do madryckich szpitali koordynator działań sanitarnych Carlos Mur de Viu. Selekcji często dokonywał personel domów opieki dla seniorów. Wielu słabych i schorowanych nie otrzymywało leczenia ani pomocy.

ŚWIĘTOWALI KONIEC LOCKDOWNU I SIĘ ZARAZILI

W Jacksonville na Florydzie ludzie ucieszyli się ze zniesienia obostrzeń związanych z pandemią. Szesnaścioro znajomych postanowiło to uczcić spotkaniem w irlandzkim pubie. Jak potem przyznali – nie zachowywali ostrożności, nie nosili maseczek. Wszyscy zarazili się koronawirusem. Mediom wyznali, że to dla nich „lekcja” i że uważają, iż wszystko otworzono za wcześnie. Teraz oni są chorzy, a bar zamknięty. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Czarno na białym

Kierowca zasnął na linii przejazdu drive-thru restauracji w Atlancie. Gdy dwaj policjanci chcieli go aresztować za jazdę po pijanemu, Rayshard Brooks zaczął się z nimi szarpać, wyrwał jednemu z nich paralizator i uciekając, mierzyl z niego do stróżów prawa. Został śmiertelnie postrzelony podczas próby ucieczki.

Teraz dodajmy kolor skóry – policjanci byli biali, a bandyta czarny. W takiej sytuacji wyrok lewicowych mediów mógł być tylko jeden: to kolejny rasistowski atak. Wyrok ulicy: zamieszki, spalenie restauracji, zablokowanie autostrady. Wyrok

polityków: rezygnacja szefowej lokalnej policji, rozpaczanie nad losem Brooksa i jego rodziny oraz zwolnienie z pracy policjanta, któremu postawiono już 11 zarzutów i grozi mu teraz kara śmierci.

Historie o czarnych obywatelach masowo mordowanych przez białych szeryfów chętnie kupują zarówno Afroamerykanie, jak i – o dziwo – biali na całym świecie, również w Polsce. Statystyki obalają jednak ten mit. W 2020 r. (do 4 czerwca) z rąk policji w USA zginęło 88 czarnych, 57 Latynosów i... 172 białych. Rok 2019: policjanci zabili 235 czarnych, 158 Latynosów i 370 białych.

2018 r.: 209 zabitych czarnych, 148 Latynosów oraz 399 białych. Być może główny problem nie polega więc na rasizmie, ale np. na braku dobrego wykształcenia, odpowiednich przepisów czy wystarczającej liczby policjantów. A być może to jednak rasizm i oburzeni biali powinni wyjść na ulice... W XXI w. jest oczywiste, że nikogo nie wolno prześladować z powodu rasy, płci, pochodzenia czy orientacji seksualnej. Walczmy z rasizmem, ale sprawdzajmy też fakty i prześladowajmy głupotę, bo choć ona nikogo nie dyskryminuje, to rozprzestrzenia się w zastraszającym tempie. ©©



Małgorzata Wołczyk

Konserwatyści w Hiszpanii wiedzą, że śledztwo w sprawie korupcji króla jest tak naprawdę lewicowym zamachem na koronę

Spooglądając na Hiszpanię, zdarza nam się zapominać, że wciąż panuje tam miłościwie król Felipe VI z dynastii Burbonów. Walec liberalnej demokracji tak nieopatrzenie wyrównał nasze światy, że turysta z nadwiślańskiej republiki nawet się nie spostrzeże, gdy wyląduje w innym ustroju: monarchii parlamentarnej Królestwa Hiszpanii. Stąd łatwo zrozumieć, ile prawdy kryje się w powiedzeniu „el rey reina, pero no gobierna” (król panuje, ale nie rządzi). Krótka przechadzka po Madrycie i już wiemy, że tutejszy król nie spoziera na wszystkich z miliona suwenirów tak jak w „zbzikowanym” na punkcie rodziny królewskiej Londynie.

Felipe VI to władca dyskretny i nie tylko dlatego, że konstytucja wyznacza mu symboliczną rolę szefa państwa bez żadnej realnej władzy. Wielu rodaków ma mu za złe, że w tak dramatycznej sytuacji, w jakiej znalazł się kraj, jest zbyt uległy wobec autorytarnej władzy koalicyjnego rządu socjalistów z komunistami, od którego on sam tyle razy doświadczył upokorzeń. Wciąż echem odbija się jego deklaracja odmowy dziedziczenia majątku po ojcu, emerytowanym królu Juanie Carlosie, która de facto wybrzmiała jak synowski akt oskarżenia.

Odmówić dziedziczenia „wszelkiego majątku, aktywów, inwestycji, których pochodzenie, cechy lub cel mogą być niezgodne z prawem lub z kryteriami prawości i uczciwości” to niejako potwierdzić słuszność kierowanych pod adresem ojca zarzutów o korupcję. Rzecz o tyle dziwna, że zgodnie z hiszpańskim art. 991 k.c.: „Nikt nie może przyjąć ani odrzucić spadku, nie mając pewności co do śmierci osoby, po której dziedziczy”. Tak więc rezygnacja nie może zostać zaakceptowana przez prawników, a stanowi zaledwie deklarację.

Panujący monarcha nie tylko odciął się od „umoczonego” ojca, lecz także ogłosił wstrzymanie mu wypłaty



środków z budżetu przewidzianego dla rodziny królewskiej, co oznacza utratę „pensji” króla emeryta w wysokości 200 tys. euro rocznie. Skąd taka determinacja? On sam wskazuje na deklarację, którą wygłosił, obejmując tron w 2014 r.: „Korona musi zapewnić godność instytucji, zachować jej prestiż i postępować uczciwie, transparentnie, jak wynika to z jej obowiązków i odpowiedzialności społecznej”. Czyżby więc król emeryt splamił honor korony, a tym samym Hiszpanii, którą ta symbolizuje? Czy rozpoczęte właśnie przez prokuraturę generalną śledztwo w sprawie przyjęcia 100 mln dol. łapówki od króla Abdula z Arabii Saudyjskiej w zamian za kontrakt zawarty z hiszpańskim koncernem na budowę szybkiej kolei AVE z Rijadu do Mekki w 2008 r. pogrąży króla emeryta ostatecznie?

TWARZ I SYMBOL HISZPANII

82-letni schorowany Juan Carlos budzić może wiele sprzecznych emocji. Z całą pewnością jednak odegrał znaczącą rolę w transformacji i zapisze się

w historii jako ten, który w ciągu 39 lat panowania był twarzą i symbolem Hiszpanii jako kraju wolności i ogromnego dobrobytu.

Urodził się w Rzymie w 1938 r. jako syn Juana de Borbón i wnuk Alfonsa XIII Burbona, który na wieść o ogłoszeniu Republiki (1931) uciekł z kraju. Wychowany we frankistowskich akademiach wojskowych od wczesnej młodości był kształcony do przyszłej roli i w końcu desygnowany przez gen. Franco na swojego następcę już w 1969 r. Przez kilka lat brał udział w posiedzeniach gabinetu, zyskując zaufanie generała i jego otoczenia. Wcześniej, w 1962 r., poślubił grecką księżniczkę Sofię, z którą zamieszkał w pałacu Zarzuela, a na świat przychodzili kolejno: Elena (1963), Cristina (1963) i Felipe (1968). W lipcu 1974 r., gdy gen. Franco zachorował, młody Burbon sprawował rządy w jego imieniu, co umocniło jego pozycję i nadzieje w nim pokładane. A jednak po śmierci El Caudillo zręcznymi posunięciami odsuwał się od „twardogłowych” i zjednywał sobie szerokie kręgi współpracowników.



Juan Carlos (z lewej) i Felipe VI, Madryt 2019 r.

FOT. CARLOS ALVAREZ/GETTY IMAGES

Był świetnym pośrednikiem między spadkobiercami frankizmu a środowiskami opozycyjnymi, umożliwiając pokojową i sprawną ścieżkę przemian. Razem doprowadzili do uchwalenia konstytucji w 1978 r., dzięki której Hiszpania stała się formalnie państwem demokracji parlamentarnej z nikłą władzą królewską na wzór pozostałych monarchów Europy.

BEZ PRZYDOMKA

W pierwszej przemowie w Kortezach w 1975 r. jasno wyraził swoje intencje: „Niech nasza przyszłość będzie oparta na prawdziwej zgodzie i harmonii narodowej. Chciałbym odgrywać rolę moderatora, strażnika porządku konstytucyjnego i promotora sprawiedliwości”. Trzeba przyznać, że wywiązał się z tej roli równie wyśmienicie, jak spektakularnie ten sukces roztrwonił. Naród nie był tak naiwny, aby wierzyć w wierność i uczciwość małżeńską swojego władcy, ale jednak spektakularna liczba romanсів, o których biedna królowa Sofía dowiadywała się z prasy zagranicznej, budziła zażenowanie. Liczne gafy króla,

ekscentryczne eskapady na polowania, niewybredny język, a i pewna niefrasobliwość w sprawowaniu urzędu sprawiły, że do dziś Hiszpanie szukają mu właściwego przydomka, jakim zwykli obdarzać królów. Niektórzy stawiają, że do historii przejdzie jako Juan Carlos El Bribón (Łajdak), bo taką też nazwę nosi jego jacht. Jako usprawiedliwienie awanturniczego życia monarchy mogą posłużyć traumy z dzieciństwa: niechęć, czy zastrzeżenie swojego młodszego brata Alfonsito podczas zabawy pistoletem. To był po prostu fatalny wypadek i ledwie jedno zdarzenie z długiej listy tragedii, których doświadczyli Burbonowie w XX w. Nawet słabość króla do pieniędzy niektórzy tłumaczą biedą, z którą zmagali się jego ojciec i dziadek – król na wygnaniu. Obecne kłopoty Juana Carlosa, czyli rozpoczęcie śledztwa prokuratury, które ma wyjaśnić nielegalnie zgromadzony majątek w rajach podatkowych, dla wielu Hiszpanów jest tym, czym jest w istocie: zamachem na koronę, która jest symbolem zjednoczonej Hiszpanii. To kolejna odsłona wojny hiszpańsko-hiszpańskiej. Bo też skrajna lewica, wciąż odwołująca się do ideałów Republiki, w imię której podpalono Hiszpanię już w 1934 r. podczas rewolucji w Asturii, chce, aby wszystko, co „anachroniczne”, jak katolicyzm, monarchia i tradycja, miało zostać raz na zawsze wypalone ogniem z nowoczesnego modelu państwa.

Owszem, skandale korupcyjne Juana Carlosa nie podobają się nikomu, ale tylko naiwni mogą wierzyć, że to skaza typowa dla Casa Real Española.

– Naprawdę ktokolwiek rozsądny na tym świecie uważa, że królowie Holandii czy Monako nie zdobywają w ten sam sposób majątku? I nie załatwiają po cichu intratnych kontraktów dla swoich ojczyzn, gromadząc przy okazji odsetek od transakcji na koncie? Przecież to dziwne, żeby król saudyjski rozmawiał z ministrem transportu, a nie z kimś na swoim poziomie, czyli królem – objaśnia mi jeden z dziennikarzy z Madrytu.

Podobnie twierdzi jedna ze słynnych dziennikarek śledczych Pilar Urbano, która potwierdza, że o takich praktykach monarchów wiedzą wszyscy, którzy mają orientację, jak funkcjonują królewskie rodziny. Ona sama, ekspertka w temacie, uważa, że Juan Carlos uratował mnóstwo firm krajowych, zaspokajając przy tym własne ambi-

cje. Nawet takie sprawy jak odmowę widzenia Busha juniora z Zapatero (za wycofanie wojsk z Iraku) załatwił jednym telefonem. A przecież w międzyczasie liderował wielu innym przedsięwzięciom, poczynając od wstąpienia Hiszpanii do NATO.

ATAK NA KORONĘ

Zdaniem niektórych król Felipe VI słusznie zrobił, odcinając się radykalnie od ojca (usunął go z protokołu dyplomatycznego) i wianuszką jego przyjaźni. Cały czas pokazuje, jak bardzo zależy mu na transparentności i godnym reprezentowaniu korony, aby wytrącić lewicy argumenty na rzecz rozwiązania monarchii. Strzeże swojego wizerunku zatroskanego władcy, wiernego męża i dobrego ojca dla dwóch córek. Nawet w czasie pandemii nie wycofał się jak inni królowie w zacisze pałacu, ale w rękawiczkach i maseczce organizował spotkania i pomoc na wielu szczeblach.

Jakkolwiek jednak będzie walczył o odzyskanie prestiżu nadwątłego przez króla emeryta, zbyt wielu socjalistów i separatystów zainteresowanych jest atakiem na koronę. Santiago Abascal, którego partia VOX sprzeciwia się tworzeniu parlamentarnej komisji śledczej ds. domniemanych nieprawidłowości na kontaktach fundacji związanych z królem emerytem, wyjaśnia powody następująco: „Król emeryt od dawna nie pełni żadnej konstytucyjnej funkcji. Zbadanie sprawy ewentualnych przestępstw należy pozostawić sądom, a nie upolitycznionej komisji”.

Konserwatywna część narodu wie, że gdyby rządowi naprawdę zależało na ściganiu korupcji i przestępstw fiskalnych, to pierwszymi oskarżonymi powinni być jego członkowie, a nie schorowany król. Wystarczy zestawień 64 mln euro przyjęte przez króla z 680 mln euro zdefraudowanymi tylko w ostatnim skandalu korupcyjnym PSOE (związany z ERE). Skoro jednak prokuratorem generalnym jest Dolores Delgado, zaufana premiera Sanchez, pełniąc do niedawna funkcję ministra sprawiedliwości, wszystko wydaje się jasne. A jednak prokuratura będzie potrzebowała tygodni, aby ustalić, czy domniemane przestępstwo król popełnił przed 2014 r., czyli datą abdykacji. Jeśli tak, to w myśl litery prawa zapewni mu to bezkarność (nietykalność).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Leopold II sprzed pałacu królewskiego w stolicy Belgii dumnie patrzy przed siebie, lewą ręką trzymając wodze konia, a prawą zdaje się pokazywać, że ziemia, na której stoi, jest tylko jego. Ręce króla wielokrotnie już w ostatnich latach malowane były na czerwono, ale brukselski magistrat za każdym razem bardzo szybko je czyścił. Teraz jednak, podczas ostatniej fali protestów zwolenników ruchu Black Lives Matter, pomnik króla mazany jest farbą tak często, że nie sposób byłoby nadążyć z przywracaniem mu odpowiedniego wyglądu.

O ile w przypadku części obalanych obecnie w Europie pomników można mieć spore wątpliwości, czy takie akcje nie są objawem szaleństwa, o tyle usuwanie monumentów przedstawiających Leopolda II nie powinno być w żadnym razie kontrowersyjne. Ten król Belgii w latach 1865–1909 sprawił, że dorzecze potężnej rzeki Kongo spłynęło na przełomie wieków XIX i XX krwią, stając się prawdziwym piekłem na ziemi. Dużo w sprawie nagłośnienia tych zbrodni zrobił już Joseph Conrad ze swoim „Jądem ciemności”, ale w samej Belgii jeszcze do niedawna ten temat był najzwyczajniej w świecie zamykany pod dywan. Opowieść o zbrodniarzu na tronie, zaledwie sto lat temu stojącym na czele systemu, w którym Afrykanie byli traktowani gorzej niż dzikie zwierzęta, niezbyt dobrze pasował do wizerunku miłej, otwartej Belgii.

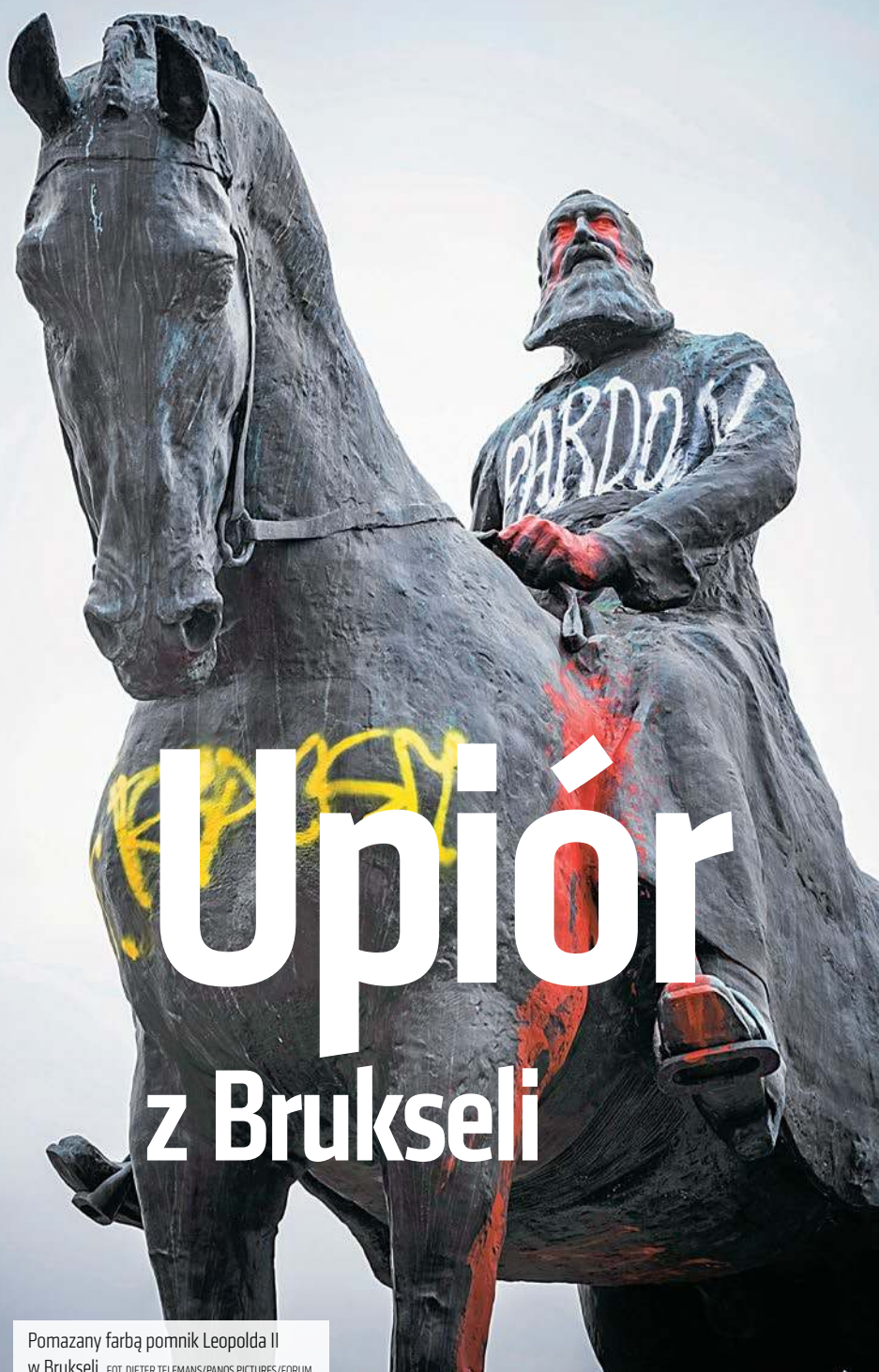
RANKING ZBRODNIARZY

„Historia zapomniała o zbrodniarzu Leopolda, choć mam nadzieję, że moja książka trochę zmieniła ten stan rzeczy. Jeśli spojrzymy na liczbę ofiar, to belgijski król powinien zająć wysokie miejsce w rankingu największych zbrodniarzy w dziejach” – powiedział „Historii Do Rzeczy” Adam Hochschild, amerykański historyk, który w 1999 r. opublikował przełomową książkę pt. „Duch króla Leopolda. Opowieść o chciwości, terrorze i bohaterstwie w kolonialnej Afryce”. Co ciekawe, Hochschild początkowo wcale nie zamierzał się zajmować belgijskim królem. Wszystko zmieniła jedna szokująca liczba. „Chciałem napisać książkę na zupełnie inny temat i w trakcie zbierania informacji natknąłem się gdzieś przypadkowo na krótką informację, że pod koniec XIX w. i na początku XX w. w Kongu zginęło 8 mln ludzi. W pierwszej chwili



Piotr Włoczyk

Belgijskie władze, tak wyczulone na demokrację i tolerancję, wspinają się na szczyty hipokryzji w sprawie Leopolda II, który odpowiada za śmierć co najmniej 8 mln ludzi. Czy właśnie nadchodzi kres polityki obrony człowieka, którego dziedzictwo jest nie do obrony?



Upiór z Brukseli

Pomazany farbą pomnik Leopolda II w Brukseli FOT. DIETER TELEMANS/PANOS PICTURES/FORUM

myślałem, że to błąd drukarski” – wyjaśnia historyk.

Nazwisko Leopolda II do dziś jest w Belgii widoczne na tabliczkach z nazwami ulic, placów czy parków. To wyrazy wdzięczności z dawnych lat – w końcu dzięki zorganizowanemu przez niego morderczemu systemowi wyzysku do Belgii popłynęła z Afryki rzeka pieniędzy, która zmieniała oblicze tego kraju. Do tej pory jedyną większą zmianą w tym kontekście było przemianowanie nazwy jednej ze stacji metra noszącej jego imię (znajdującej się przy Parlamencie Europejskim). Najwyraźniej władze Brukseli uznały, że pozostawienie starej nazwy stacji w takim miejscu byłoby jednak zbyt dużym „przegięciem”.

Bardzo dobrze problem belgijskich elit z Leopoldem II pokazuje to, jak dwa lata temu Didier Reynders potraktował reportera magazynu „The New Yorker”. Reynders (wówczas minister spraw zagranicznych Belgii, obecnie unijny komisarz ds. sprawiedliwości) zapytany, czy Belgia nie powinna wypłacić swojej dawnej kolonii odszkodowania za dekady zbrodni i wyzysku, odparł, że „najpierw musielibyśmy ustalić fakty”. Te znane są doskonale, ale belgijscy politycy jeszcze do niedawna podchodzili do nich, jak widać po reakcji Reyndersa, sceptycznie. Troska o dobre imię belgijskiej rodziny królewskiej kazała im szukać ucieczek w stylu: „Musielibyśmy ustalić fakty”.

Wygląda jednak na to, że ostatnie protesty przyparły belgijskich polityków do muru. Największe światowe media od kilku tygodni zadają to samo pytanie: Jak to możliwe, że w stolicy UE w honorowym miejscu stoi pomnik kata Afryki? Władze Brukseli ogłosiły właśnie, że zorganizują komisję (poza politykami i historykami będą w niej zasiadać również przedstawiciele imigrantów z Demokratycznej Republiki Konga) i na podstawie jej rekomendacji podejmą decyzję w sprawie rozsianych po stolicy pamiątek po Leopoldzie.

WĘDZONE RĘCE

Dlaczego to Leopoldowi II przypisuje się bezpośrednią odpowiedzialność za całe zło, które działo się na terenie tej belgijskiej kolonii? W przeciwieństwie do kolonii innych państw europejskich Kongo było w latach 1885–1908 osobistą własnością Leopolda II. Jak to możliwe? „Irytowało go, że jest królem małego i nie zbyt liczącego się państwa. Mówił o Belgii,

że jest to »mały kraj małych ludzi«. Zazdrościł Brytyjczykom ich zamorskich posiadłości i całe życie marzył o zdobywaniu dla Belgii kolonii – tłumaczy Adam Hochschild. – Planował zajęcie Fidżi, części Abisynii, myślał o różnych rejonach Azji Południowo-Wschodniej. Jednak w belgijskim parlamencie panowało przekonanie, że byłoby to zbyt duże obciążenie dla niewielkiego państwa, które praktycznie nie miało floty wojennej. Leopold znalazł wyjście, które rozwiązywało te problemy: Kongo nie było kolonią belgijską, tylko jego prywatną własnością, w której miał pełnię władzy”.

Kongo przez większość XIX w. leżało poza głównymi kierunkami ekspansji kolonialnej mocarstw europejskich. Trudny teren, porośnięty nieprzebytą dżunglą, nie wyglądał zbyt zachęcająco dla Wielkiej Brytanii czy Francji, które i tak miały wystarczająco dużo problemów z zagospodarowaniem swoich kolonii w Afryce. Leopold II uderzył w tony humanitarne: obiecywał, że będzie walczył z handlem niewolnikami, podniesie cywilizacyjnie rejon dorzecza rzeki Kongo.

Kreował się na prawdziwego liberała i reszta świata to „kupiła”. Inna rzecz, że dogadał się z mocarstwami, każdemu obiecując w Kongu pewne koncesje, a główni gracze w Afryce woleli, żeby Kongo przypadło w udziale małemu państwu, niż żeby dostał je któryś z konkurentów. W ten sposób w 1885 r. na konferencji w Berlinie Leopold II uzyskał zgodę na powołanie Wolnego Państwa Konga. Jego prywatne państwo było 76 razy większe od Belgii.

W ciągu kolejnych trzech dekad Leopold II zyskał fortunę dzięki wyciskaniu z Konga dwóch towarów: kości słoniowej i kauczuku. Nad wyrabianiem wyśrubowanych norm czuwała utworzona przez Belgów (i dowodzona przez belgijskich oficerów) tzw. Force Publique. Trzonem tej prywatnej armii Leopolda II byli oczywiście czarni żołnierze, przymusowo wcielani w jej szeregi. Aby odpowiednio zmotywować niewolników zaganianych do pozyskiwania kości słoniowej i kauczuku, Belgowie sięgnęli po rodziny zbieraczy.

„Zakładnikiem odcinano uszy, nosy, a najczęściej dłonie. W ogóle odcinanie rąk stało się powszechną praktyką. Żołnierze Force Publique musieli rozliczać się z naboju, które dostawali od belgijskich oficerów. Na dowód, że żadnego nie zmarnowali, musieli przynosić odcięte

dłonie ludzi, których zastrzelili. Ponieważ często głodowali i używali pocisków do polowania, odcinali ręce żyjącym. Belgowie zmuszali też lokalnych wodzów do pomocy w tłumieniu buntów. Dowodem zabicia buntownika również były odcięte dłonie. Często mijało wiele dni, zanim wódz mógł pokazać je Belgom, więc żeby je zakonserwować, trzeba było je wędzić” – mówi autor „Ducha króla Leopolda”.

Symbolem belgijskich okrucieństw w Kongu był „chicotte”, czyli bat z suszonej skóry hipopotama, idealny do rozcinania skóry niewolników. Kompletna bezkarność sprawiła, że Kongo stało się rajem dla wszelkiej maści sadystów. Historycy szacują, że w latach 1880–1920 ludność Konga zmniejszyła się o połowę.

Już wtedy, na początku XX w., zbrodnie Belgów w Afryce wyróżniały się na tle tego, co Europejczycy robili na Czarnym Lądzie. Główną rolę w kampanii nagłaśniania losu Kongijczyków odegrał brytyjski dziennikarz Edmund Morel. Wspomagali go w tym m.in. Mark Twain, Arthur Conan Doyle i wspomniany już Joseph Conrad. Presja na Belgię doprowadziła do tego, że w 1908 r. Leopold II oddał kontrolę nad swoją posiadłością państwu belgijskiemu. Zbrodnie i wyzysk zostały do pewnego stopnia ograniczone. Świat dosyć szybko jednak zapomniał o zbrodniach Leopolda II – niedługo bowiem wybuchła pierwsza wojna światowa.

„Niemcy zajęli Belgię i dopuszczali się tam okrutnych zbrodni, które nagłaśniała propaganda państw ententy. Wojna przeciwko Niemcom była przedstawiana jako walka o wyzwolenie dręczonych i mordowanych belgijskich cywili. Zbrodnie w Kongu nie pasowały do tego obrazu i stały się dla prasy tematem tabu” – wyjaśnia Adam Hochschild. Po tragedii pierwszej wojny światowej przyszła apokalipsa kolejnej wojny i piekło Leopolda II niewiele już obchodziło.

Dzisiaj jednak ten temat wraca z coraz większą mocą. Nie tylko z powodu protestów przeciw pomnikom króla-zbrodnicarza. Do Brukseli płyną z Afryki coraz bardziej stanowczo artykułowane żądania wypłacenia odszkodowań za zbrodnie popełnione w imię interesów „właściciela” Konga. Czy Bruksela ugnie się przed oskarżeniami o rasizm i wyzysk, który zbudował jej dobrobyt, i zapłaci potomkom ofiar Leopolda II?

Podatek od oszczędności



Rząd nagle ogłasza, że w związku z kryzysem zabiera wszystkim Polakom 10 proc. ze zgromadzonych w bankach pieniędzy – gdyby taki scenariusz miał się ziścić, to awantura byłaby gwarantowana. Być może doszłoby do zamieszek i szturmów na banki oraz bankomaty. Członkowie rządu nie są jednak głupi, więc rzecz jasna niczego takiego nie ogłosili. Zamiast tego nowy „podatek od oszczędności”, który wyjątkowo mocno odczuwają już drobni ciułacze, wprowadziła Rada Polityki Pieniężnej, działająca przy Narodowym Banku Polskim. Zarządzając obniżki w kwietniu i w maju, RPP sprowadziła stopę referencyjną z 1,5 proc. do zaledwie 0,1 proc.

Polski bank centralny poszedł więc w kierunku Europejskiego Banku Centralnego, a także banków centralnych



Jacek Przybylski

Radykalne cięcie stóp procentowych przez NBP w połączeniu z wysoką inflacją sprawiło, że oszczędności Polaków szybko tracą wartość. I chociaż formalnie nie mamy jeszcze ujemnych stóp procentowych, to realnie są już też w Polsce. Jakby tego było mało, pierwsze banki każą sobie dodatkowo płacić za przechowywanie pieniędzy na rachunkach

Japonii czy Szwajcarii, które od lat prowadzą politykę ujemnych stóp procentowych, przez co klienci muszą dopłacać bankom za utrzymywanie w nich depozyty. I chociaż decyzje obecnej Rady Polityki Pieniężnej są dla ekonomistów bardzo trudne do przewidzenia, to można się spodziewać, że rekordowo niskie

stopy będą utrzymane do końca obecnego, a niewykluczone, że także do końca przyszłego roku.

LOKATY NA 0,01

Ultraniskie stopy procentowe cieszą kredytobiorców. Maksymalne oprocentowanie kredytów i pożyczek spadło



banku z 0,75 do 0,3 proc., a powyżej tej kwoty do marnego 0,1 proc.

Również w Santanderze oprocentowanie lokat spadło – niezależnie od tego, czy na 3 czy na 24 miesiące – do marnych 0,01 proc. Taka sama stawka w skali roku będzie obowiązywać dla konta „Max Oszczędnościowego” już od 30 czerwca.

W przypadku takich stawek takie określenia jak „konto preferencyjne”, „bonus”, „max” czy „lokata rentierska” nabierają tragicomicznego wydźwięku. Według barometru jednej z firm pożyczkowych opublikowanego jesienią zeszłego roku przeciętny Kowalski ma bowiem odłożone na czarną godzinę 13 tys. zł. Jeżeli całą tę kwotę Kowalski ulokuje na 0,01 proc. w skali roku, to po miesiącu bank naliczy mu 0,11 zł zysku, od którego potrąci podatek Belki (0,02 zł) i wypłaci 9 gr (słownie dziewięć groszy). Przez rok na swej przezorności przeciętny Kowalski zarobi zaś netto 1,05 zł. Oczywiście, jeśli się dobrze poszpera i wybierze naprawdę promocyjne konto lub lokatę, to nadal można ulokować pieniądze na ponad 2 proc. w skali roku. Przeważnie są to jednak oferty dla nowych klientów lub na tzw. nowe środki.

GWARANCJA STRATY

Nad Wisłą pojawiają się również banki, które pieniądze na lokaty są gotowe przechować, ale nie chcą za to płacić ani grosza. Pojawiają się też pierwsze oferty kont oszczędnościowych, w których de facto za trzymanie oszczędności trzeba bankom zapłacić.

Na pomysł takiej opłaty wpadł jeszcze w kwietniu PKO BP. Bank pobiera 1 zł miesięcznie za obsługę konta oszczędnościowego. Oprocentowanie wynosi zaś 0,2 proc. (do 30 czerwca do salda 50 tys. zł). To oznacza, że klient lokujący w banku 10 tys. zł otrzyma po miesiącu netto 1,32 zł, czyli zyska de facto zaledwie 32 gr, a ci, którzy zdeponują mniejszą kwotę, do posiadania drobnych zaskórniaków już teraz muszą nieco dopłacać.

W czerwcu o podobnych planach poinformował np. EnveloBank. Konto oszczędnościowe, które obecnie jest prowadzone bezpłatnie, od września ma już kosztować 2,99 zł miesięcznie (1,99 zł, jeśli klient posiada też rachunek ROR w EnveloBanku). Biorąc pod uwagę, że przy oprocentowaniu 0,01 proc. od 10 tys. zł miesięcznie bank wypłaci klientowi – po potrąceniu podatku Belki – 76 gr (!), to przy niskim kapitale do

trzymania oszczędności w tym banku trzeba będzie systematycznie dopłacać.

W przypadku, gdy saldo wyniesie średnio 5 tys. zł, w skali roku odsetki netto wyniosą 38 gr, a opłata za rachunek 35,88 zł. Roczna strata wyniesie więc 35,5 zł. Tyle samo trzeba by dopłacić do przyjemności oszczędzania, gdyby konto prowadzone było bezpłatnie, a stopa procentowa była ujemna i wynosiła –0,5 proc.

Dobrze trzeba też policzyć, lokując pieniądze w Toyota Banku. Konto oszczędnościowe prowadzone jest tam bezpłatnie, ale już za przelew Sorbnet z rachunku oszczędnościowego trzeba zapłacić 25 zł (dokonany samodzielnie przez Internet) lub 30 zł za przelew zlecony telefonicznie.

Przy oprocentowaniu 2 proc. dla salda powyżej 50 tys. zł taka oferta może być jeszcze opłacalna. Trzeba jednak pamiętać, że bank do salda 19 999,99 zł stosuje oprocentowanie 0,4 proc. Zysk netto od zaoszczędzonych 10 tys. zł wynosi więc miesięcznie 2,65 zł. Aby wyjść na zero przy wypłacie zdeponowanych 10 tys. zł, trzeba więc odczekać niemal rok lub dopłacić bankowi za bezpieczne przechowanie oszczędności.

Wysokie opłaty od posiadaczy subkont walutowych planuje też pobierać Citi Handlowy. Ci, którzy po 20 sierpnia założą subkonto walutowe w euro (lub wykonają zmianę typu konta), będą musieli płacić w zależności od tego, jak dużo oszczędności trzymają na rachunku. Przy saldzie do 20 tys. euro miesięczna opłata wyniesie 18 zł, przy 100 tys. euro wzrośnie do 90 zł, a ci, którzy chcą trzymać w Citi Handlowym ponad 100 tys. euro, będą musieli wysupłać miesięcznie już 180 zł.

Oczywiście, zamiast lokować pieniądze w bankach, można oszczędności pożyczyć własnemu państwu. Niestety, sam rząd również mocno ściął oprocentowanie. Do końca kwietnia w zamian za finansowanie długu państwa poprzez zakup trzymiesięcznych krótkoterminowych obligacji skarbowych Ministerstwo Finansów było skłonne zapłacić Kowalskiemu 1,5 proc. w skali roku. Jeśli obligację kupi teraz, to dostanie symboliczne 0,5 proc. (minus podatek Belki). Podobnie rzecz ma się z obligacjami dwuletnimi (spadek oprocentowania z 2,1 proc. do 1 proc. w skali roku), a także papierami czteroletnimi czy 10-letnimi.

Jeszcze przed wielkim cięciem stóp procentowych Polacy, którzy chcieli bezpiecznie oszczędzać w bankach, musieli

bowiem do 7,2 proc. w skali roku. Jednocześnie osobom, które mają jakieś zaskórniaki, RPP zadała potężny cios. Po obniżkach stóp banki drastycznie obniżyły bowiem i tak skromne oprocentowanie lokat i rachunków oszczędnościowych. A to nie koniec obniżek.

Dla przykładu w zeszłym tygodniu ING Bank Śląski poinformował klientów, że do 6 lipca na Otwartym Koncie Oszczędnościowym obowiązuje oprocentowanie 0,5 proc., od 7 lipca spadnie ono do 0,25 proc., a od 1 września do symbolicznego 0,05 proc.

Informację o obniżce wysłał też klientom Alior. Do 16 sierpnia standardowe oprocentowanie na koncie oszczędnościowym będzie wynosiło w tym banku 0,3 proc., a od 17 sierpnia spadnie do 0,01 proc. Preferencyjne oprocentowanie do 50 tys. od 17 sierpnia spadnie w tym

■ pogodzić się z tym, że przy inflacji wynoszącej ponad 4 proc. w skali roku ponoszą istotną realną stratę. W maju „podatek inflacyjny” płacony przez Polaków był według najnowszych danych Eurostatu najwyższy w całej Unii Europejskiej. Stopa inflacji cen konsumpcyjnych (HICP) w Polsce wzrosła w maju o 3,4 proc. w ujęciu rocznym. Za Polską znalazły się: Czechy (3,1 proc.), Węgry (2,2 proc.) czy Słowacja (2,1 proc.). W całej Unii średni poziom inflacji wyniósł 0,6 proc. w porównaniu z majem ubiegłego roku. Inflacja CPI według analityków ma zaś w całym 2020 r. wynieść ok. 3,3 proc. (według analityków Goldman Sachs może to być nawet 3,7 proc.).

To oznacza, że praktycznie każdy dostępny obecnie na rynku bankowy depozyt już teraz ma de facto ujemne oprocentowanie. Polityka ultraniskich stóp procentowych przy wciąż wysokiej inflacji bazowej daje więc oszczędzającym smutną gwarancję spadku siły nabywczej ich pieniędzy. Cieszyć się może jedynie Ministerstwo Finansów, które teraz może pożyczać pieniądze o wiele taniej niż przed pandemią. Niestety, może być jeszcze gorzej. Nie ma bowiem przepisów zabraniających formalnego wprowadzenia ujemnych stóp procentowych. W takim przypadku to nie banki płaciłyby odsetki od kapitału, ale oszczędzający płaciliby je bankom.

Ci, którzy mają niewielkie oszczędności, mogą trzymać je w skarpecie. W gorszej sytuacji są ci, którzy zdecydowali się na lokatach lub rachunkach oszczędnościowych trzymać pieniądze odkładane z mozołem na emeryturę, np. w ramach IKO. Przedwczesna likwidacja IKO niesie za sobą konsekwencje podatkowe, a zmiana strategii, np. na akcyjną, wiąże się ze sporo wyższym ryzykiem.

AKCJE, ZŁOTO, NIERUCHOMOŚCI

W co więc zainwestować, skoro na trzymaniu pieniędzy w bankach tak wiele się traci? Tradycyjną alternatywą mogą być inwestycje w nieruchomości. Trzeba jednak pamiętać, że choć przez ostatnie lata pozwalały one sporo zarobić, to takie inwestycje są też obarczone stosunkowo dużym ryzykiem straty części kapitału. W ogłoszonych w czerwcu prognozach analitycy banku PKO BP przewidują, że w drugiej połowie obecnego roku ceny mieszkań – w wyniku recesji oraz spadku popytu wywołanego pandemią COVID-19 przy dużej produkcji mieszkań

na rynku deweloperskim – mogą spaść nawet o 15 proc. Oczywiście, nie brak też głosów przeciwnych.

Sporo zarobić, ale też dużo stracić można na giełdzie papierów wartościowych. Z danych opublikowanych przez Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych wynika, że podczas pandemii Polacy ruszyli na giełdę – pod koniec kwietnia otwartych było aż 1,3 mln rachunków maklerskich.

Mocne odbicie na GPW po pandemicznym krachu dało bowiem okazję do zarobienia fortuny. Zła wiadomość dla przyszłości rynku finansowego jest jednak taka, że wiele osób nie ukrywa nawet, iż na giełdzie nie tyle inwestuje, ile spekuluje lub po prostu „gra”. To zaś czyni parkiet bardziej podatnym na duże wahania nastrojów.

Inni w czasach kryzysu wolą nabywać złoto. Chociaż wydaje się ono już bardzo drogie – jedna uncja kosztuje ponad 1,7 tys. dol. – to w czasach, gdy drukarki

3,4 proc.

TYLE WEDŁUG EUROSTATU WYNIOSŁA W MAJU W POLSCE INFLACJA CEN KONSUMPCYJNYCH

banków centralnych pracują jak oszalałe, ciągle przyciąga kupujących.

Trudno powiedzieć, która strategia jest dobra, bo w koronawirusowych realiach wszelkie prognozy są dziś tak wiarygodne jak wróżenie z fusów. Przy dużym wpływie emocji na zachowania rynków może się zaś okazać, że lepiej już dopłacić kilka złotych do konta oszczędnościowego i zapłacić podatek inflacyjny, niż stracić kilkanaście, kilkadziesiąt procent podczas kolejnego giełdowego krachu.

KTO ZA TO PŁACI?

Zmiany dotkną nie tylko posiadaczy mniejszych lub większych oszczędności. Ponieważ radykalne cięcie stóp procentowych uderzyło w wynik odsetkowy banków, to te postanowiły przykręcić kurek z usługami za zero złotych. Odpowiedz na pytanie, kto płaci za niskie stopy, stała się więc jasna: pan płaci, pani płaci, my płacimy.

Według najnowszych danych Głównego Urzędu Statystycznego działające

w Polsce banki oraz inne instytucje finansowe podniosły w maju ceny swoich usług o 39,3 proc. w porównaniu z majem zeszłego roku. Podwyżka od kwietnia 2020 do maja 2020 r. wyniosła zaś 42,9 proc.

Czasy, w których jeszcze niedawno można było mieć konto ze wszystkimi usługami za zero złotych, szybko przechodzą do historii. Liczba banków, które bezpłatnie oferują prowadzenie rachunku, wydanie i obsługę karty oraz wypłatę gotówki z każdego bankomatu w Polsce i za granicą, zmalała do jednego. Samo prowadzenie rachunku w kilkunastu bankach nadal jest bezpłatne, ale za wypłaty z bankomatów lub niektóre przelewy są już pobierane opłaty.

Co prawda banki nadal promują aktywnych klientów, ale na zwolnienie z opłat za prowadzenie konta, przelewy, wypłatę gotówki z bankomatu czy wydaną kartę płatniczą pozwalają tylko wówczas, jeśli spełni się wiele mniej lub bardziej skomplikowanych warunków.

Banki podwyższają m.in. opłaty za wydanie karty kredytowej, prowizje za korzystanie z limitu zadłużenia czy marże od udzielanych pożyczek i kredytów.

GROŹNA LEKCJA

Polacy nie należą do najbardziej oszczędnych i zapobiegliwych narodów. Jeszcze w 2016 r. większą skłonność do odkładania pieniędzy mieli mieszkańcy Botswany, Rwandy czy Iraku. Wraz z poprawiającą się sytuacją polskich gospodarstw domowych odsetek oszczędzających w ostatnich latach systematycznie jednak rósł.

Ostatnie działania RPP wysyłają jasny sygnał: Polska nie chce budować swej gospodarki na kapitale, lecz – niczym za Gomułki – budować dobrobyt narodu na... błyskawicznie rosnącym długu. Nasze władze monetarne zachowują się tym samym niczym ojciec, który od lat żyjąc od chwilówki do chwilówki, do tego samego zmusza całą rodzinę. Krótkowzroczna polityka ultraniskich stóp procentowych w połączeniu z wysoką inflacją i podatkiem Belki niszczy bowiem nawyk oszczędzania i sprawia, że część bardziej odpowiedzialnych Polaków może nie chcieć dłużej czuć się jak frajer i dojść do wniosku, że najrozsądniej byłoby jak najszybciej przejąć wszystkie zaskórniaki, a w razie kolejnego kryzysu po prostu pożyczać lub żądać pomocy od rządu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER



COVID-owa (d)opłata



Tomasz Cukiernik

Koszty regulacji dotyczących bezpieczeństwa epidemiologicznego w dobie koronawirusa gabinety lekarskie, salony fryzjerskie czy kosmetyczne siłą rzeczy musiały przerzucić na swoich pacjentów i klientów

U ortodonta plus 50 zł do wizyty. U dentysty od 50 zł w górę”, „Słupsk – płaciłam dodatkowe 100 zł u dentysty”, „Lubuskie – ściągam aparat za tydzień i powiedzieli mi, że dodatkowo za wizytę biorą 70 zł” – takie wpisy można przeczytać na facebookowej grupie dotyczącej aparatów ortodontycznych. W jednym z wpisów pacjentka informuje, że wizyta kosztuje „dodatkowo 100 zł, ale zbierają faktury z całego miesiąca i rozkładają to na wszystkich pacjentów, przy czym część kosztów biorą na siebie. Reszta, która zostanie, będzie nam zwrócona”. Pacjenci i klienci skarżą się też, że niektóre gabinety czy salony nie mają wyod-

rębionej opłaty covidowej, a podnoszą cenę samej usługi. „Zapłaciłam 50 zł więcej u fryzjera” – oburza się internautka. Jedna z pacjentek w Gliwicach za wizytę ortodontyczną zapłaciła 300 zł, podczas gdy przed epidemią wizyta zwykle kosztowała 150 zł. Inny pacjent u ortopedy zapłacił 250 zł zamiast wcześniejszych 150 zł. – Przed wizytą w gabinecie ortodontycznym wiedziałam o dodatkowej opłacie covidowej, ale nie miałam wyjścia. Mając aparat na zębach, musiałam iść na wizytę kontrolną i zapłacić dodatkowo 80 zł. Zmiana lekarza nie wchodzi w grę, a nawet jeśli, to inny ortodonta też ma dodatkowe opłaty – mówi anonimowo pacjentka jednego z gabinetów ortodontycznych w Warszawie.

DEZYNFEKCJA KOSZTUJE

Opłaty covidowe pobierane są w różnej wysokości przez gabinety lekarskie, salony fryzjerskie i kosmetyczne. Internauci informują o kwotach od 20 do 150 zł, ale według UOKiK wysokość dodatkowych opłat waha się od 10 zł nawet do 350 zł i średnio wynoszą one nieco ponad 70 zł. – Faktycznie produkty ochronne podrożały, ale czy para rękawiczek i maseczka czy nawet ten specjalny strój to koszt 100 zł na jednego pacjen-

ta? – zastanawia się jedna z internautek. Dlatego pojawiły się sugestie, że właściciele niektórych gabinetów wykorzystują sytuację z koronawirusem do podnoszenia cen za swoje usługi, bo przecież zawsze powinni stosować dezynfekcję. – To cwaniactwo i żerowanie na ludziach – uważa internauta.

Ale inny odpowiada, że sam sprzęt do dezynfekcji kosztuje nawet kilka tysięcy złotych. Poza tym mimo wszystko skala dezynfekcji w czasie koronawirusa – przynajmniej teoretycznie – jest znacznie rozszerzona. Gabinet PureDent Stomatologia i Ortodoncja z Czeladzi (woj. śląskie) poinformował, że jako standard walki z Covid-19 wprowadził dezynfektor powietrza z funkcją wyłapywania i destrukcji wirusów z powietrza w gabinetach i poczekalni, najnowszy autoklaw do dezynfekcji narzędzi i profesjonalny system mechanicznej wentylacji pomieszczeń gabinetów i poczekalni. A to wszystko przecież nie jest za darmo.

Ministerstwo Zdrowia przygotowało zalecenia postępowania przy udzielaniu świadczeń stomatologicznych w związku z epidemią koronawirusa. Lekarz i asystent powinni być wyposażeni w odzież ochronną: fartuch jednorazowy z długim rękawem, czepkiem i ochraniaczami na buty lub fartuch z długim rękawem

i czepkiem oraz ochraniaczami materiałowymi użytymi jako jednorazowe w przypadku możliwości prania w pralce znajdującej się w gabinecie, maska chirurgiczna, gogle/okulary oraz przyłbica, rękawiczki jednorazowe. Wśród wymagań resortu dotyczących zabezpieczenia dla gabinetu przyjmującego pacjenta jest wymienione sprzątnięcie i dezynfekcja stanowiska oraz powierzchni dotykowych po wyjściu pacjenta z gabinetu, włączając w to klamki, uchwyty, umycie podłogi itp. oraz wymieniane narzędzi.

Z kolei 13 maja Główny Inspektor Sanitarny przedstawił wytyczne przeciwepidemiczne dla gabinetów świadczących usługi kosmetyczne i estetyczne, w których jest mowa o tzw. dystansie społecznym oraz o konieczności odkażania kilka razy dziennie płynami do dezynfekcji każdej dotykanej powierzchni. Dodatkowo pracownicy powinni używać środków ochrony indywidualnej adekwatnych do wykonywanego zabiegu, w tym odzieży ochronnej (np. fartuch jednorazowy lub tekstylny prany w temperaturze min. 60 st. C z dodatkiem detergentu), maseczki ochronnej, a w razie konieczności także przyłbic lub gogli lub zastępczo innych rozwiązań spełniających funkcję ochrony oczu oraz rękawiczek jednorazowych. GIS zaleca, by jeśli klient przyjdzie bez maseczki ochronnej lub rękawiczek jednorazowych, to salon mu je zapewnił odpłatnie lub nieodpłatnie.

W tej sytuacji Marcin Karoń, właściciel salonu fryzjerskiego w Dąbrowie Górniczej, w imieniu branży fryzjersko-kosmetycznej prosi klientów o wyrozumiałość, wyjaśniając konieczność wprowadzania dodatkowych opłat. Jak tłumaczy, używane teraz do strzyżenia fizełinowe peleryny jednorazowe wcześniej nie były stosowane, a koszty dezynfekcji narzędzi wzrosły o połowę. Dodatkowo trzeba zakupić środki do dezynfekcji rąk dla klienta na wejściu do salonu i w toalecie. Co więcej, zauważa, że cena jednorazowych rękawiczek wzrosła sześciokrotnie. Ponadto salon musi kupować fartuchy jednorazowe dla pracowników, rękawiczki dla klientów, jeśli nie przyniosą swoich, maseczki dla klientów i personelu oraz przyłbice. – Do tego tracimy sporo czasu na dezynfekcję każdej powierzchni, której klient dotknie. Doliczam do usługi symboliczne 5 zł – mówi Karoń.

Natomiast wspomniany wyżej gabinet PureDent Stomatologia i Ortodoncja 16 kwietnia br. oficjalnie zakomunikował

pacjentom na swoim profilu w mediach społecznościowych, że „po każdym pacjencie gabinet jest odpowiednio odkażany, wietrzony oraz naświetlany lampą UV, aby zapewnić maksymalne bezpieczeństwo” i „ze względu na dramatyczne braki i astronomiczne ceny środków ochrony wprowadzona jest dopłata do wizyty w wysokości 70 zł niezależnie od procedury”. Gabinet uczciwie wymienia, jakie środki ochrony stosuje przy każdym pacjencie: trzy maseczki chirurgiczne, dwie maseczki z wentylkiem i filtrem FFP3, dwa kombinezony norma EN14126, trzy fartuchy chirurgiczne, trzy ochraniacze na obuwie, trzy czepki i trzy pary rękawiczek. Ale już 12 maja gabinet zniósł dodatkową opłatę, co uzasadnił tym, że „dzięki sprawnej pracy całego zespołu udało nam się nabyć środki ochrony w przystępnych cenach”. – Nie powinno ani dziwić, ani szokować to, że fryzjerzy czy kosmetyczki podnoszą teraz ceny swoich usług. Wszak zakup środków niezbędnych do spełnienia nowych wymogów sanitarnych kosztuje, a wymienione podmioty w ostatnich tygodniach nie zarabiały, gdyż rząd skutecznie im to uniemożliwił. Gdyby straty spowodowane przymusowym zamknięciem działalności były tym przedsiębiorcom w całości wyrównane przez rząd, być może skala podwyżek byłaby mniejsza – komentuje dr Przemysław Hankus, prezes zarządu Stowarzyszenia Libertariańskiego.

KONKURENCJA ZWERYFIKUJE NOWE OPŁATY

Należy jednak zwrócić uwagę, że nie wszystkie gabinety żądają dodatkowych opłat od swoich pacjentów. Opłaty covidowe za zapewnienie wymogów sanitarnych podczas świadczenia usług stosowało ponad 30 proc. skontrolowanych przez UOKiK placówek medycznych. „Byłam i u ortodonta, i u dentysty, płaciłam normalnie bez dodatkowych kosztów”, „U mnie cena bez zmian”, „Wizyty u stomatologa bez dodatkowych kosztów (opolskie)” – czytamy na facebookowej grupie. Także gabinet Olivia Dental z Gdańska na swoim profilu w mediach społecznościowych informuje, że „my raczej działamy nieszablono. Od ostatnich wydarzeń coraz mocniej przecieramy oczy ze zdumienia, jak słyszymy przez telefon wasze zapytania o »opłaty covidowe«. U nas ceny wszystkich zabiegów pozostały bez zmian!”.

Nie znaczy to, że ten i inne gabinety kosztów epidemiologicznego bezpieczeństwa nie będą musiały ponosić, co wynika z zaleceń Ministerstwa Zdrowia oraz GIS, ale i zdrowego rozsądku. Z badania w ramach projektu „Bezpieczny powrót do pracy w nowej normalności”, przeprowadzonego z inicjatywy trzech największych firm z branży usług HR, wynika, że w przypadku 40 proc. firm nowe wydatki związane z BHP stanowią od 1 do 3 proc. budżetu kosztowego, a 11 proc. badanych przedsiębiorstw wskazało, że w ich przypadku jest to ponad 5 proc. tego budżetu. Tak więc nie są to kwoty bardzo wysokie, ale z drugiej strony nie są one całkowicie pomijalne.

Czy opłata covidowa jest legalna? Tak. Co więcej, nie jest uregulowana w prawie jej maksymalna wysokość. I bardzo dobrze, bo państwo nie powinno zajmować się ustalaniem żadnych cen. Nielegalne jest natomiast informowanie pacjenta czy klienta o dodatkowej opłacie dopiero po wizycie czy wykonaniu usługi. W takiej sytuacji inspektor Inspekcji Handlowej może nałożyć karę finansową w wysokości do 20 tys. zł. UOKiK – po skargach konsumentów – już bada sprawę.

Dezynfekcja i bezpieczeństwo epidemiologiczne musi kosztować, a właściciele prywatnych gabinetów i salonów nie zawsze chcą z powodu koronawirusa ponosić dodatkowe wydatki z własnej kieszeni. Naturalne jest więc przerzucanie tych kosztów na pacjentów i klientów. Widać, że nie tylko podatki są przerzucane na klienta. Przerzucane są także koszty regulacji, które na kark przedsiębiorców zrzuca państwo pod postacią dbania o bezpieczeństwo epidemiologiczne. No ale tak działa rynek. I to konkurencja rynkowa ostatecznie zweryfikuje nowe opłaty. Firmy, które zbyt mocno podniosły ceny, szybko będą musiały je obniżyć, bo w przeciwnym wypadku po prostu stracą klientów na rzecz konkurencji, która opłat covidowych nie wprowadziła lub są one w niższej wysokości. – Szczególnie w tym trudnym czasie bądźmy ostrożni i porównujmy oferty pomiędzy placówkami medycznymi. Pod pretekstem wystąpienia dodatkowych kosztów niektórzy przedsiębiorcy realizują dodatkowe wynagrodzenie, weryfikujemy zatem całkowitą cenę usługi jeszcze przed jej rozpoczęciem lub podpisaniem umowy – zaleca konsumentom Tomasz Chróstny, prezes UOKiK.

O polskich jabłkach, sokach jabłkowych i wpływie pandemii na rodzimych producentów

mówi Dawid Błaszczuk, dyrektor marketingu i partner zarządzający w firmie Bracia Sadownicy

Gdy myśli pan: „polskie jabłko”...

... to uważam, że mamy absolutne powody do dumy.

Bo?

Jesteśmy jabłkową potęgą. Jesteśmy największym producentem jabłek w Europie i trzecim co do wielkości na świecie. Polskie jabłko ma unikatowy, niepowtarzalny profil smakowy. Jabłko z Francji czy Włoch nie będzie smakować tak dobrze. Cała Europa jest zachwycona polskimi jabłkami.

Ile hektarów mają sady, z których pochodzą jabłka na soki Braci Sadowników?

W sumie 300 ha. To sady braci sadowników, Adam Jędrzejewskiego i Pawła Szeroczyńskiego, i 12 innych okolicznych sadowników z Kujaw zrzeszonych w grupie Sadco.

Policzyliście, ile to drzew?

Prawie milion.

Ile jabłek się z nich zbiera?

W zależności od sezonu, 15–18 tys. ton.

Jak długo rośnie sad, zanim zaczyna owocować? Jakże trzeba ponieść nakłady, żeby zebrać jabłka?

Wysokowydajne sady rosną stosunkowo krótko. Drzewka, które kupujemy ze specjalnych szkółek, potrzebują dwóch-trzech lat, zanim będziemy mogli zebrać pierwszy większy zbiór. Żyją 20–25 lat i po tym czasie są wymieniane, bo przestają owocować. Nakładem jest więc przede wszystkim czas i praca – w ciągu tych dwóch-trzech lat, kiedy drzewka nie owocują, należy je podlewać, przycinać, pielęgnować. W sadzie praca ludzkich rąk jest najważniejsza, bo sadownictwo nie zostało w żaden sposób zmechanizowane ani uprzemysłowione. Drzewka sadzi się ręcznie, pielęgnuje ręcznie, ręcznie przycina i przerzedza kwiaty. Zbiory jabłek również odbywają się ręcznie. Każde jabłko z drzewa trzeba zerwać i umieścić w skrzyni.

Skąd wziął się pomysł na produkcję soków z jabłek?

Bracia sadownicy – Adam Jędrzejewski i Paweł Szeroczyński – pochodzą z domów, w których wiedza sadownicza była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Są trzecią generacją sadowników, a siedlisko Śmiłowice zostało założone przez ich pradiadka w 1905 r. Kiedy stali się sukcesorami tej tradycji, spróbowali zrobić coś więcej, niż robili ich ojcowie i dziadkowie. Przyglądali się temu, jak rozwijają się biznesy sadownicze w Europie, i zauważyli, że tam jabłko to marka. Tymczasem w Polsce jabłko, chociaż pozostaje naszym narodowym owocem, jest produktem trochę niedocenionym. Stąd wziął się pomysł, żeby stworzyć markę owoców. A jeśli markę owoców – to również markę przetworów na ich bazie.

Jakie soki produkują Bracia Sadownicy?

Te najbardziej szlachetne, najlepsze – soki tłoczone. Fachowo nazywa się je soki NFC – Not From Concentrate, w przeciwieństwie do soków sprzedawanych w kartonach, które są robione z koncentratu. Nasze soki to produkty nisko przetworzone, mają najwyższą wartość odżywczą. Jabłka lub inne owoce wrzuca się na prasę, wyciska się je, sok poddaje się lekkiej pasteryzacji i butelkuje.

Soki są produkowane tylko z jabłek?

My jesteśmy „ci od jabłek”, na jabłkach się znamy i w jabłkach się specjalizujemy. Bazą wszystkich naszych produktów jest jabłko. Czasami z różnymi dodatkami – soków lub ziół. Na przykład teraz proponujemy linię lemoniad „Letnie jabłko”, w których dodatkiem do soku jabłkowego są naturalne ekstrakty z ogórka, mięty czy bazylii.

Jak wiele tych soków sprzedajecie?





Po pierwszym roku działalności mieliśmy 12 mln zł obrotu, w kolejnym roku 23 mln zł, a w tym roku chcemy podwoić sprzedaż i dojść do 40 mln zł. Po dwóch latach istnienia zostaliśmy trzecią marką w Polsce na rynku soków nie z koncentratów. Zaczynaliśmy z 12 rodzajami takich soków, w tej chwili doszliśmy do 40.

Wysyłacie je za granicę?

Jesteśmy typowo polskim biznesem, polską rodzinną firmą i skupiliśmy się na polskim rynku.

Ile osób zatrudniacie?

Czterdzieści w samej firmie Bracia Sadownicy. W sadach, które dostarczają nam jabłka, w sezonie pracuje do 150 osób.

Jak wpłynęła na firmę pandemia koronawirusa?

Dotknęła nas podobnie jak cały rynek spożywczy. Odczuliśmy znaczne spowol-

nienie, bo konsumenci zaczęli rzadziej odwiedzać sklepy, a kierowcy – stacje benzynowe. To musiało się odbić na naszych obrotach. Teraz mamy pierwsze sygnały, że najgorszy czas już za nami, jest szansa na odbicie.

Skorzystaliście z Tarczy Antykrzysowej. Co dzięki niej zyskaliście?

Finansowy oddech, który krótko-okresowo pozwolił nam ustabilizować sytuację w firmie w najgorszym okresie. Dzięki tej pomocy zachowaliśmy miejsca pracy i możemy planować przyszłość.

Sprzedajecie swoje soki na stacjach PKN ORLEN. Co oznacza dla firmy Bracia Sadownicy współpraca z tym koncernem? Czy obecność na stacjach ORLEN pomogła w ratowaniu miejsc pracy?

Tak. Pandemia okazała się szczególnie groźna dla takich polskich podmiotów jak my, firm, które są dopiero w fazie tworzenia swoich struktur i osiągnięcia

stabilizacji. Każdy kolejny tydzień niezrealizowanej sprzedaży stwarzał realne zagrożenie dla przyszłości firmy, ale przede wszystkim dla miejsc pracy. Współpraca z taką siecią jak ORLEN to dla nas szansa na stabilizację – stabilny, przewidywalny biznes, wypłacalność.

Dla mnie, jako marketingowca, jest szczególnie ważne to, że ORLEN, jako największa sieć stacji paliw w Polsce, umożliwia promocję polskiego biznesu, polskich produktów. Dla nas to duża szansa, bardzo to wsparcie doceniamy. Dla naszej firmy stacje PKN ORLEN to bardzo ważny kanał sprzedaży, bo nasze produkty mają szansę tam nabyć młody dynamiczny, mobilny konsument.

Co sprzedajecie na stacjach PKN ORLEN?

Kiedy ORLEN rozpoczął projekt „Pij polskie soki”, weszliśmy na stacje z naszym hitem – „Musującym jabłkiem”. To napój, który dzięki wysokiej zawartości naturalnie słodkich soków owocowych nie jest dosładzany. Dzięki temu jest naturalną, zdrową alternatywą dla napojów gazowanych. Poza tym sprzedajemy tam tłoczone soki.

Od stacji ORLEN wszystko się zaczęło. Dzisiaj nasze produkty są we wszystkich innych sieciach stacji paliw, bo ORLEN odgrywa dużą opiniotwórczą rolę na rynku. Inne sieci patrzą na to, co jest na stacjach ORLEN, wyrabiają sobie na tej podstawie opinię.

ORLEN na swoich stacjach stawia na polskie produkty. Do kupowania polskiej żywności zachęca akcja Ministerstwa Rolnictwa i KOWR „Kupuj świadomie – Produkt Polski”. Dla polskich producentów takie promowanie patriotyzmu konsumenckiego jest ważne?

Patriotyzm gospodarczy to nie tylko kwestia racjonalnych przesłanek, że powinniśmy promować polskie produkty, bo to pomaga w utrzymaniu polskich miejsc pracy i wspiera polskich producentów. To także kwestia edukacji konsumenta. Bo on powinien świadomie wybierać produkty wysokiej jakości, a taka jest polska żywność. Tego typu akcje pozwalają uzmysłowić to konsumentowi. Jeśli tylko mogę, to wybieram polskie, bo polska żywność jest wysokiej jakości, bezpieczna, zdrowa, nie musiała jechać przez pół świata, by dotrzeć do sklepów, została przygotowana zgodnie ze standardami europejskimi. Cemu więc właśnie jej nie wybrać?

rozmawiała Katarzyna Świrydowicz



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Spożywcza+

Wciąż niejasna pozostaje przyszłość ogłoszonego przez jednego z wiceministrów aktywów państwowych pomysłu uruchomienia państwowej sieci sprzedaży produktów żywnościowych. Uruchomienia (raczej w drodze przejścia którejs z istniejących prywatnych sieci sklepów niż tworzenia jej od podstaw) po to, by – jak określił to wiceminister – „być obecnym od pola do stołu”. A przyszłość owego pomysłu pozostaje niejasna, bo jego autor najpierw go ogłosił, a kilka dni później się zeń wycofał, choć w przestrzeni publicznej pozostały niedomówienia wskazujące na to, że „coś jednak jest na rzeczy”.

Prawdę mówiąc, pomysł ów od chwili ogłoszenia budził we mnie niedosyt – nie tylko dlatego, że dało się wyczuć, iż wiceminister wyjawiał go jakby półgębkiem, bez przekonania. Głównie dlatego, że od razu rzucała się w oczy jego niekompletność czy wręcz połowiczność. Nie do końca np. rozumiem, dlaczego w tej sprawie – państwowego handlu żywnością – zatrzymać się w pół drogi? Wszak po co państwowa sieć sklepów miałaby żywność oferowaną klientom kupować od prywatnych producentów, czyli rolników? Czy nie lepiej pójść krok albo i dwa dalej i stworzyć także państwowe gospodarstwa rolne – to z jednej strony tego „łańcucha dostaw”, z drugiej zaś jego strony „uruchomić” – wielką, ogólnopolską sieć państwowych jadłodajni? Dopiero wtedy w pełni – w 100 proc! – zostałaby zrealizowana owa

zarysowana przez wiceministra idea państwa „obecnego” w biznesie spożywczym naprawdę „od pola do stołu”.

To wszystko żartem. A serio – serio mówiąc i pisząc? Nietrudno się domyślić, że pomysł zgłoszony przez wiceministra miałby „użyć ciężkiej doli polskiego chłopca”, czyli sprawić, aby „handlarze-prywaciarze” raz na zawsze przestali wyzyskiwać utrudzonych polskich rolników, a sprawiedliwi handlowcy państwowi dali im zarabiać godziwie. Czyli żeby w takiej państwowej sieci obowiązywały „sprawiedliwe ceny”. Ale „sprawiedliwe” – czyli jakie? Ceny „sprawiedliwe” dla rolników czy ceny „sprawiedliwe” dla klientów kupujących żywność? Bo to dość trudno pogodzić, jak wiadomo.

A przy okazji – jeśli wolno spytać specjalistów od aktywów państwowych, jak idzie produkcja pasażerskich promów w stoczni w Szczecinie, gdzie stępkę pod pierwszy z nich w 2017 r. wbił ówczesny wicepremier Morawiecki? Jak idzie produkcja aut elektrycznych przez firmę ElectroMobility Poland, w którą wpakowano kilkadziesiąt milionów złotych? Jak idzie produkcja broni fabrykom państwowym, zwłaszcza w porównaniu z fabrykami prywatnymi? Nie wspominając o państwowych kopalniach węgla. Wreszcie: jak idzie budowa państwowych mieszkań w ramach programu „Mieszkanie+”?

No właśnie – i tak samo pewnie pójdzie handel żywnością w państwowym Spożywcza+. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Debata nad sprawami najważniejszymi

Ubiegłotygodniowa debata – a może raczej „debata” prezydencka w TVP – pokazała, że Polska to kraj szczęśliwy, w którym poważnych problemów nie ma, a nawet jeśli jakieś są, to rozwiązują się same i po prostu nie ma sensu się nimi zajmować.

Polska to kraj szczęśliwy, w którym poważnych problemów nie ma

Co w Polsce jest istotne? Ano na przykład to, czy lekcje religii będą w szkołach, czy nie. Zadającemu to pytanie red. Adamczykowi umknęło zapewne, że gwarantuje to konkordat, ratyfikowany 22 lata temu, więc kwestia jest czysto teoretyczna. To jednak nieistotny detal. Równie wielkiej wagi jest pytanie o nieistniejącą szczepionkę na koronawirusa. Tej szczepionki być może w ogóle nigdy nie będzie, ale to także szczegół. Jakby bowiem jednak była, np. za 10 lat, to my już będziemy przygotowani. Mamy to przedyskutowane między kandydatami na prezydenta w roku 2020. Podobnie jak mamy omówioną kwestię przyjmowania euro. Nikt nas w tej sprawie nie naciska, euro jako wspólna waluta może się skończyć, zanim

przyjdzie nam do głowy cokolwiek w tej sprawie zrobić – ale znów, jakby co, tośmy to już przegadali.

Bardzo natomiast dobrze się stało, że kandydatów nie pytano o rozmaite nudne i całkowicie poboczne tematy. Na przykład o kwestię kosztów pracy, wysokości podatku VAT, sensowności opodatkowywania wynagrodzeń w sferze budżetowej, wzrostu długu publicznego, wolności gospodarczej ogólnie, zakazu handlu w niedzielę. Nie zapytano o koszt programów socjalnych i sposoby na ich utrzymanie w czasie kryzysu. Nie było mowy o problemach szkół i uczniów. Nie pojawiła się w pytaniach kwestia głównych kierunków polityki zagranicznej. Nieważne okazały się koszty związane z wdrażaniem Europejskiego Zielonego Ładu ani warunki, które będziemy musieli spełnić, aby skorzystać z Funduszu Odbudowy UE. Nieistotny jest los polskich kopalń.

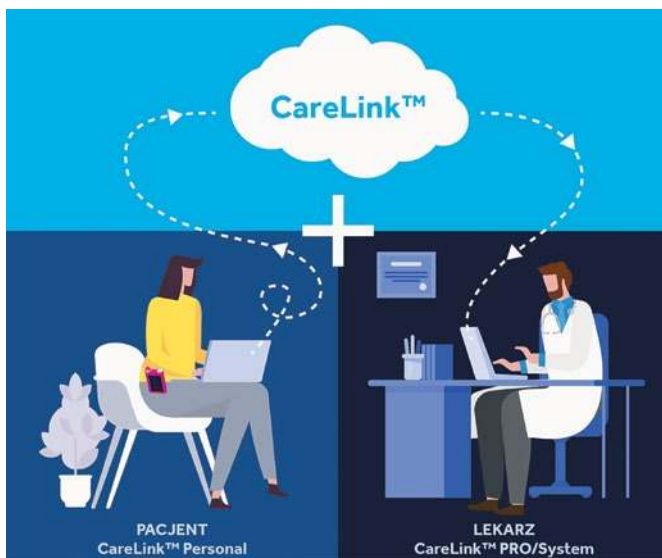
Wszystko to są sprawy, którymi kandydaci na prezydenta, zdaniem przygotowujących debatę, w ogóle zajmować się nie muszą lub może nawet nie powinni. To takie nudne, skomplikowane i jeszcze mogłoby się okazać, że główni pretendenci nie bardzo wiedzą, co odpowiedzieć. A przecież – jak wiadomo – w debacie nie chodzi o to, żeby komuś zrobiło się nieprzyjemnie, przykro lub by poczuł się zakłopotany. ©©

Epidemia wirusa SARS-CoV-2 w ciągu kilku tygodni zmieniła funkcjonowanie systemu opieki zdrowotnej. Oprócz strachu przed zarażeniem się wirusem i zachorowaniem na COVID-19 problemem stał się też utrudniony dostęp do diagnostyki i leczenia wielu chorób. Zorganizowanie opieki nad pacjentem z chorobą przewlekłą wymagało wprowadzenia procedur, które z dnia na dzień pozwoliły na prowadzenie wizyt telemedycznych. 12 marca 2020 r. Narodowy Fundusz Zdrowia opublikował na swojej stronie komunikat o wprowadzeniu procedury medycznej: „Porada lekarska za pośrednictwem systemów teleinformatycznych lub systemów łączności”. Wreszcie okazało się to możliwe, choć lekarze i sami pacjenci oczekiwali takich rozwiązań od wielu lat. Szczególnie w diabetologii przeprowadzenie e-wizyty jest bardzo skuteczne dzięki systemom „chmurowym”, pozwalającym na ocenę wyników leczenia. Badanie przeprowadzone przez Polskie Towarzystwo Diabetologiczne w 2018 r. wykazało, że aż 79 proc. polskich dzieci chorych na cukrzycę typu 1 leczonych jest za pomocą najnowszej dostępnej technologii – terapii za pomocą osobistej pompy insulinowej (OPI). Odsetek pacjentów dorosłych leczonych tą metodą jest znacznie niższy, ale z roku na rok rośnie; dane NFZ za 2019 r. wskazują na ok. 20 tys. pacjentów.

Podczas wizyty pacjenta w poradni diabetologicznej lekarze odczytują dane z pompy insulinowej, które pozwalają na ocenę stężeń glukozy, dawek insuliny, ale dostarczają też wielu cennych informacji o spożywanych posiłkach czy np. aktywności fizycznej. Diabetolog może

Telemedycyna?

Oczekiwania stały się faktem



jeszcze lepiej ocenić leczenie i modyfikację ustawień pompy insulinowej, gdy pacjent korzysta z ciągłego monitorowania glikemii (ang. CGM – Continuous Glucose Monitoring). Technologia ta pozwala na pomiar stężenia glukozy w tkance podskórnej co 5 min przez całą dobę, z możliwością przewidywania zmian glikemii oraz alarmowania o jej nieprawidłowych wartościach. Wielu pacjentów samodzielnie odczytuje dane z pompy insulinowych za pomocą oprogramowania on-line CareLink Personal,

z którego użytkownicy pomp firmy Medtronic korzystają na całym świecie. Warto podkreślić, że jeśli dane dostępu do konta CareLink Personal zostaną przekazane lekarzowi, to może on w łatwy sposób odczytać

raport z pompy insulinowej w poradni diabetologicznej. Wizyty podczas epidemii SARS-CoV-2 polegają na rozmowie telefonicznej z pacjentem i omawianiu aktualnego raportu z pompy

insulinowej. Ocena, jak pacjent radzi sobie na co dzień z cukrzycą, jest wiarygodna dzięki identyfikacji powtarzających się w ciągu doby epizodów hipo- i hiperglikemii. Na tej podstawie lekarz wspólnie z pacjentem mogą modyfikować dawki insuliny podawane za pomocą pompy insulinowej. Najnowszym rozwiązaniem dla lekarzy jest wprowadzenie oprogramowania CareLink System w chmurze internetowej, dzięki czemu diabetolog ma dostęp do danych o leczeniu wszystkich swoich pacjentów. System ten jest całkowicie bezpieczny, ponieważ umożliwia wyłącznie analizę danych. Nie jest możliwe zdalne modyfikowanie terapii; pacjent, który ma przy sobie pompę insulinową, musi wykonać określone czynności. Ostatnie miesiące pokazały, że tak prowadzone wizyty są efektywne, oszczędzają czas pacjentów, którzy nie muszą pokonywać znacznych odległości w celu spotkania się z diabetologiem. Pacjenci z całą pewnością doceniają rozwiązania telemedyczne, ponieważ umożliwiają im one szybki dostęp do konsultacji specjalistycznej. Z punktu widzenia zespołów diabetologicznych e-wizyta stała się kolejnym narzędziem w opiece nad chorymi. Miejmy nadzieję, że „porada lekarska za pośrednictwem systemów teleinformatycznych” pozostanie z nami znacznie dłużej niż wirus SARS-CoV-2.

dr n. med. Andrzej Gawrecki
Katedra i Klinika Chorób
Wewnętrznych i Diabetologii,
Uniwersytet Medyczny w Poznaniu
Szpital Miejski im. Franciszka Raszei
DiabeTECH.life

Medtronic



Prof. Dorota Zozulińska-Ziółkiewicz



Od lewej: dr n. med. Jakub Gierczyński, Anna Śliwińska, prof. Marcin Grabowski, wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski, Katarzyna Pinkosz. FOT. ADAM SYMONOWICZ

Bez monitorowania nie ma



Katarzyna Pinkosz

Ci chorzy, którzy w czasie pandemii COVID-19 mają możliwość korzystania z nowoczesnych technologii monitorowania, mogą być leczeni efektywnie. Warto, by nowe technologie były dostępne dla większych grup pacjentów – podkreślali eksperci podczas debaty „Do Rzeczy”

Przyzwyczailiśmy się do tego, że kiedy pogotowie przyjeżdża do osoby z podejrzeniem zawału serca, ratownicy wysyłają zapis EKG do szpitala i już po chwili wiedzą, czy pacjenta trzeba szybko zawieźć do ośrodka kardiologii interwencyjnej. Teledyplomacja świetnie sprawdza się w kardiologii, a obecnie w coraz większym stopniu jest wykorzystywana m.in. do monitorowania osób, które mają wszczepione defibrylatory. Gdy u takiego pacjenta pojawiają się zaburzenia rytmu serca, defibrylator ratuje mu życie, przywracając prawidłowy rytm. Informacja o tym, co się stało, może być natychmiast automatycznie przekazana – dzięki teledyplomacji – do ośrodka monitorującego. Dzięki temu pacjent może bardzo szybko otrzymać zalecenia dotyczące np. zmiany terapii, jej zintensyfikowania albo prośbę o stawienie się na wizytę.

Dzięki nowoczesnym urządzeniom serce pacjenta może być monitorowane 24 godziny na dobę. – Monitoring urządzeń wszczepialnych nie tylko oznacza większe poczucie bezpieczeństwa pacjenta, lecz także przekłada się na zmniejszenie śmiertelności i wydłużenie życia. W sytuacji epidemii COVID-19 staramy się maksymalnie ograniczać bezpośredni kontakt pacjenta ze szpitalem, dlatego chcielibyśmy móc w pełni stosować nowoczesne technologie – mówił prof. Marcin Grabowski, kierownik Oddziału Elektrokardiologii Kliniki Kardiologii WUM, który niedawno wraz z zespołem wszczepił pacjentowi z niewydolnością serca kardiowerter–defibrylator, z którego dane są przesyłane do ośrodka za pomocą zwykłego smartfona ze specjalną aplikacją.

Nowoczesne technologie ułatwiają opiekę nad pacjentem i wydłużają życie, jednak nie wszyscy pacjenci mający urządzenia wszczepialne są objęci monitoringiem. – W naszej klinice obejmujemy ich opieką, jednak to szpital musi zainwestować w nadajniki. Nie jest również wycenione monitorowanie pacjentów ani objęcie ich kompleksową opieką. COVID-19 pokazał, jak ważna jest teledyplomacja, dlatego bardzo liczymy na zmiany, refundację nowoczesnych urządzeń i lepszą wycenę teleopieki – podkreślał prof. Grabowski.

TECHNOLOGIE XXI W. W CUKRZYCY

W czasie epidemii COVID-19 teledyplomacja świetnie sprawdziła się też u tych pacjentów z cukrzycą typu 1, którzy korzystają z indywidualnych pomp insulinowych i systemów monitorowania glikemii. – Dzięki glukometrom i paskom

można sprawdzić poziom cukru w danej chwili. Nowoczesne systemy monitorowania glikemii to technologie XXI w.: zapisują poziom glukozy przez cały czas, pokazują także trendy: czy glikemia rośnie, czy spada, a niektóre nawet ostrzegają dźwiękiem przed hipo- i hiperglikemią – zaznaczała Anna Śliwińska, prezes zarządu Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków. Nowoczesne systemy umożliwiają lepsze wyrównanie metaboliczne cukrzycy, a przede wszystkim chronią przed powikłaniami.

– Nie wyobrażamy sobie, jak moglibyśmy w dobie COVID-19 prowadzić leczenie na odległość, czyli poprzez teleporady, szczególnie dzieci najmłodszych z cukrzycą typu 1, gdyby nadal mierzenie poziomu glikemii w tej grupie pacjentów odbywało się za pomocą pasków i glukometrów. Pacjent, który mierzy poziom glikemii kilka razy dziennie za pomocą glukometru, ma informację tylko o bieżącej glikemii, nie widzi poziomów cukrów pomiędzy pomiarami. Dlatego trudno przekazywać poprawne decyzje terapeutyczne dotyczące dawki insuliny, szczególnie na odległość – mówiła prof. Małgorzata Myśliwiec, kierownik Katedry i Kliniki Pediatrii, Diabetologii i Endokrynologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Dodatkowym atutem systemów monitorujących glikemię jest to, że dane można przysyłać i udostępnić lekarzowi. Dzięki temu może on prześledzić poziomy glikemii w poszczególnych dniach, ich wahania i podjąć odpowiednią decyzję dotyczącą dawki insuliny. – Do telewizji pacjenci przygotowują się nawet lepiej niż do zwykłych wizyt w poradni, już wcześniej analizując swoje poziomy glikemii. Wydaje nam się, że w tej grupie pacjentów wyrównanie



Prof. Małgorzata Myśliwiec

leczenia

glikemii znacznie się poprawiło. Dzięki tym nowym technologiom praktycznie nie występują u pacjentów z cukrzycą typu 1 ciężkie hipoglikemie, z których powodu wcześniej dzieci musiały być hospitalizowane – zaznaczała prof. Myśliwiec.

Systemy monitorowania glikemii połączone z osobistymi pompami insulino- wymi są tak dużą zmianą dla chorych, że zarówno eksperci, jak i pacjenci bardzo czekają na rozszerzenie ich refundacji (obecnie systemy monitorujące glikemię metodą skanowania są refundowane dla osób od 4. do 18. roku życia, a systemy sprzężone z pompą insulinową – do 26. roku życia). Niektóre z systemów zintegrowanych z pompą ostrzegają dźwiękiem przed zbliżającą się hipoglikemią, a wtedy pompa automatycznie przestaje podawać insulinę. – To jest dla pacjenta inny świat: może uniknąć powikłań i prowadzić normalne życie. To też inny świat dla diabetologa, który może wyciągać wnioski z analizy danych i lepiej dopasować dawkę insuliny do pacjenta – potwierdziła prof. Dorota Zozulińska-Ziółkiewicz, prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego. – Kiedyś niemal na oślep monitorowało się glikemię, teraz rewolucja dzieje się na naszych oczach. Pacjenci chcieliby, by systemy były dostępne dla wszystkich, którzy ich potrzebują, czyli dla wszystkich pacjentów z cukrzycą typu 1 albo wręcz dla wszystkich na intensywnej insulinoterapii – podkreślała Anna Śliwińska.

EKONOMICZNIE OPŁACALNE

Doktor Jakub Gierczyński, ekspert systemu ochrony zdrowia, zaznacza, że zastosowanie systemów monitorowania

glikemii przynosi ewidentne korzyści dla systemu ochrony zdrowia: pacjenci są lepiej leczeni, dzięki temu zmniejsza się liczba hospitalizacji i powikłań. Mogą normalnie pracować, rzadziej korzystają ze zwolnień lekarskich. – Według danych ZUS dzięki poprawie leczenia o 9 proc. zmniejszyła się liczba absencji chorobowych z powodu cukrzycy insulinozależnej między 2015 a 2019 r.: z 310 tys. do 277 tys. – mówił dr Gierczyński. Podkreślał, że korzystne byłoby nieodbieranie możliwości stosowania systemów monitorujących połączonych z pompą insulinową osobom, które kończą 26 lat. – W innych krajach już to się dostrzega, epidemia koronawirusa przyspieszyła zmiany w ochronie zdrowia. Niedawno Chorwacja wydłużyła możliwość stosowania pomp insulino- wych i nowoczesnych urządzeń monitorujących powyżej 26. roku życia, wydłużono również możliwość ich stosowania w Czechach – zaznaczył dr Gierczyński.

Zdaniem prof. Myśliwiec z nowych technologii najbardziej skorzystaliby dorośli pacjenci dobrze współpracujący z diabetologiem, osiągający dobre efekty leczenia. – Jeśli pacjent ma pompę insulino- wą, system monitorowania glikemii i potrafi te technologie stosować, to żyje praktycznie tak jak osoba zdrowa. Gdy pacjent ma nieświadomość glikemii, nie sprawdzi sobie poziomu cukru glukometrem, gdy wystąpi hipoglikemia, bo przecież on jej nie odczuwa. System monitorowania glikemii może go ostrzec przed zbliżającą się hipoglikemią. Dzięki temu na pewno udałoby się zmniejszyć liczbę hospitalizacji, a nawet zgonów z powodu ciężkich hipoglikemii i wydłużyć czas życia pacjentów – mówiła prof. Myśliwiec.

Jej zdaniem obecnie jest ok. 1000–1500 osób powyżej 26. roku życia, dla których zastosowanie tych nowoczesnych systemów byłoby najbardziej wskazane.

– Idealnie byłoby wszystkim pacjentom leczonym metodą intensywnej insulinoterapii dać możliwość korzystania z systemów, a następnie przedłużyć ich refundację dla osób, u których widać ewidentne korzyści z ich stosowania, w postaci poprawy wyrównania glikemii – zaznaczyła prof. Zozulińska-Ziółkiewicz.

Obecny na debacie wiceminister Maciej Miłkowski tłumaczył, że systemy monitorowania glikemii i pompy insulino- we ministerstwo starało się udostępnić przede wszystkim dzieciom i młodym osobom z cukrzycą typu 1, ponieważ grupa najmłodszych powinna być leczona najlepiej, by uniknąć powikłań. – Chcemy monitorować, jak skuteczne okazały się leki, które niedawno zostały wprowadzone do refundacji, czy spowodowały one zmniejszenie liczby hospitalizacji i czy widać zmniejszenie kosztów w innych dziedzinach ochrony zdrowia. Takie analizy chcemy też zrobić co do efektywności systemów monitorowania glikemii, pomp insulino- wych – mówił wiceminister. Podkreślił, że ministerstwo będzie pracować nad możliwością stosowania systemów monitorowania glikemii dla innych grup chorych na cukrzycę, gdyż są skuteczne i zmniejszają koszty leczenia powikłań. – Kierunek jest słuszny, jednak nowe technologie są kosztowne, dlatego musimy sprawdzić, w których grupach ich zastosowanie przyniesie najwięcej korzyści – zaznaczył wiceminister.

RYCERZE I WARCHOŁY

Sejmikowa przygoda **Mycielskiego**

JACEK KOMUDA

Mycielski Maciej herbu Dołęga, urodzony w 1690 r. kasztelan kaliski i poznański, był w XVIII w. jednym z bardziej znanych statystów sejmikowych w Wielkopolsce. Wierny stronnik Augusta II Sasa i uczestnik wielkiej wojny północnej już w 1714 r. został cześnikiem wschowskim. Trzy lata później przesunięto go na chorążego nadwornego i, jak się zaraz przekonamy, tytuł ten stał się przyczyną wielu jego zgryzot. W 1720 r. otrzymał po Stanisławie Ledóchowskim chorągiew pancerną. Później był deputatem województw wielkopolskich na Trybunał w Lublinie, wreszcie został wybrany jego marszałkiem.

Po śmierci króla Augusta Mycielski poparł Stanisława Leszczyńskiego w 1733 r. Stał przy ostatnim królu, wybranym w prawdziwie wolnej elekcji, do samego końca i dopiero w 1736 r. uznał wybór Augusta III Sasa, przeprowadzony pod moskiewskimi bagnetami i szablami. Niestety, w innych sprawach brakło mu wytrwałości, w 1741 r. wystąpił przeciwko projektom Józefa Potockiego zawiązania konfederacji i aukcji wojska, które to działania wymierzone były przede wszystkim przeciwko stronnictwu Familii Czartoryskich i Poniatowskich. W dodatku okazał się tchórzem, gdyż obawiał się, że zwiększenie sił zbrojnych Rzeczypospolitej mogłoby, jak się wyraził: „Śasiedzkie irytować potencje”.

Większość szlachty zapamiętała jednak Mycielskiego z jednej z najbardziej komediowych historii sejmikowych w Rzeczypospolitej. W 1724 r. na sejmiku w Środzie doszło do sporu, kto z utytułowanych uczestników zjazdu powinien zająć jakie miejsce



FOT. WIKIPEDIA

w kościele, a mówiąc dzisiejszym językiem – który urzędnik powinien usiąść przed którym. Bohater, będący wówczas wspomnianym chorążym nadwornym koronnym, zasiadł przed podkomorzym poznańskim, co wywołało awanturę. Dziś sprawa byłaby może błaha, gdyż oba urzędy były wyłącznie tytułarne, jednak dla szlachty trzysta lat temu – niemal gardłowa! Jak podaje Wojciech Kriegseisen – była to oczywista szykana, gdyż: „Podkomorzy był co prawda wyższym urzędnikiem szlacheckim, ale w województwie poznańskim i stał niżej od dygnitarza koronnego, który formalnie rzecz biorąc stał niżej od każdego senatora, ale z kolei wyżej od wszystkich dygnitarzy i urzędników ziemskich”. Jednak szlachta, powołując się na stare precedensy, a w każdym województwie były ich tysiące, domagała się od Mycielskiego ustąpienia. Ten zdecydował się zmienić miejsce na gorsze i tak zaczęła się cała komedia. Kiedy bowiem usiłował się za podkomorzym, żaden kolejny dygnitarz ziemski nie chciał go wpuścić przed siebie, gdyż sam zostałby zdegradowany o jedno miejsce. Mycielski na koniec próbował wcisnąć się na siłę między najdrobniejszych urzędników ziemskich – skarbników i mieczników, ale i ci opierali się przed tym z całych sił. Jak pisał Kriegseisen: „Każdy zajmujący honorowe miejsce bronił się i tuląc do swego sąsiada, nie chciał wpuścić chorążego i tym samym dać się

zdegradować”. Walka, a raczej próby „podsiądnięcia” lub wypchnięcia któregoś z niższych urzędników bądź rozepchania się między nimi, trwała podobno cały tydzień; aż tyle strawił sejmik w Środzie na przepychankach. Stwierdzono w końcu, że chorąży nie ma w prawie miejsca honorowego. Wówczas rozwścieczony

Mycielski, nie chcąc pozwolić, aby wypchnięto go do szeregów nieutytułowanej szlachty stojącej za plecami dygnitarzy, a mającej małe znaczenie dla przebiegu obrad, po prostu zerwał sejmik. Zapewne zresztą o to chodziło jego przeciwnikom politycznym i organizatorom awantury.

Porażka nie wpłynęła jednak na działalność publiczną Mycielskiego, gdyż w latach późniejszych, już jako znaczny dygnitarz, bo kasztelan, poświęcił wiele starań, aby pogodzić zwaśnione stronnictwa i przeciwdziałać rwaniu zjazdów. Na przykład w 1744 r., w napiętej atmosferze walki politycznej, doprowadził swymi talentami do pomyślnego zakończenia sejmiku przedsejmowego w tej samej Środzie Wielkopolskiej. Jednocześnie dzięki różnym koligacjom Mycielski stał się najbogatszym szlachcicem w Wielkopolsce – posiadał Szamotuły, Gostyń, Szubin i Tuliszków, a także włości na wschodzie: Hrynki w województwie nowogródzkim, Kulikowice na Wołyniu i dobra w województwie kijowskim. Pod koniec życia, a zmarł w Szubinie w 1747 r., cieszył się wielkim poważaniem wśród szlachty, co sprawiło, że był sprawnym rozjemcą sporów politycznych i majątkowych. Pogodził na przykład Piotra Sapiechę z Ludwikiem Szoltdrskim, a Elżbietę z Wiśniowieckich Zamoyską z Zamoyskimi. Nie poszło mu dobrze tylko z kresowym dziadem, Mikołajem Potockim. ©

WARSTWOWA SAŁATKA RZECZNIKA POLICJI

Od kiedy związałem się na dłużej z Warszawą po objęciu stanowiska rzecznika prasowego polskiej policji i jestem bardzo aktywnie zaangażowany w codzienne obowiązki służbowe, zacząłem szukać szybkich, prostych, ale przede wszystkim zdrowych i sycących posiłków, które nie tylko zaspokoją głód, lecz także dadzą mi energii do działania. Niestety, obciążenie codziennymi obowiązkami nie pozwala mi regularnie gotować, ale kiedy tylko znajduję czas, skupiam się na sałatkach, które są i zdrowe, i pożywne.

Jednym z ulubionych przepisów, którym bardzo chętnie dzielę się z innymi, jest sałatka warstwowa gyros, którą można spożywać nie tylko jako przekąskę, lecz także jako danie główne, zarówno na ciepło, jak i zimno. Serdecznie polecam.

Składniki (dla kilku osób):

- podwójna pierś kurczaka
- 5–6 dużych cebul
- puszka kukurydzy
- duży słoik ogórków w zalewie octowej, tzw. korniszonów
- średnia główka kapusty pekińskiej
- 3–4 pomidory
- przyprawa gyros
- sól, pieprz
- olej do smażenia

Składniki do sosu:

- duży jogurt grecki
- 4–5 łyżek majonezu
- 4–5 łyżek ketchupu łagodnego

- 3–4 ząbki czosnku (według uznania)

Przygotowanie:

Pierś kurczaka umyj, osusz ręcznikiem papierowym.

Następnie pokrój w średniej wielkości kostkę.

Na patelni rozgrzej olej i smaż pokrojoną pierś. Gdy mięso będzie białe, dopraw solą, pieprzem oraz przyprawą gyros. Smaż, aż będzie złociste, następnie przełóż je do wysokiej miski/salaterki.

Na tej samej patelni usmaż pokrojoną w piórka cebulę. Rozłóż ją równomiernie na usmażonej piersi kurczaka.

Usmażoną cebulę pokryj połową przygotowanego sosu.

Ogórki konserwowe pokrój w średniej wielkości kostkę i rozłóż równomiernie jako kolejną warstwę na sosie.

Odcedź dobrze kukurydzę i rozłóż ją na pokrojonych ogórkach. Rozłóż równomiernie drugą część sosu. Całość posyp pokrojoną w półcentymetrowe wstążki kapustą pekińską.

Wierzch sałatki ozdób pokrojonymi w ósemki pomidorami.

Sos:

Jogurt, majonez oraz ketchup dobrze wymieszaj. Do sosu dodaj przeciśnięty przez praskę czosnek. Smaczne-go! ☺☺

oprac.

raw

Inspektor dr Mariusz Ciarka jest rzecznikiem prasowym Komendanta Głównego Policji.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Sałata



FOT. ADRIAN STOK

Po pierwszym roku studiów w 1969 r. pojechałam do Londynu na zaproszenie dalszej rodziny. Trzeba powiedzieć, że wtedy kuchnia angielska nie była jeszcze tak multi-kulti jak dziś, nie zdążyła przyswoić wszystkich orientalnych smaków i nie cieszyła się najlepszą reputacją.

Jednak w domu mojej ciotki Molly, na Danvers Street w dzielnicy Chelsea, która właśnie zaczynała być najmodniejszą okolicą swingującego Londynu, kuchnia była doskonała. Tam właśnie po raz pierwszy zetknęłam się z daniami, które teraz w naszym domu jest na stole niemal codziennie i które uważamy za coś najzwyczajszego na świecie. Wtedy jednak zielona sałata serwowana z dodatkiem ogórków, pomidorów, papryki, oliwek, awokado, polana sosem winogret była w Polsce czymś nieznanym. U nas jadało się sałatę polaną śmietaną. Powód prosty: rukoli, roszponki, lodowej, strzępiastej po prostu nie było. O oliwkach, awokado czy o czymś tak ekstrawaganckim jak kapusta pak choi czy dębowa nie mówiąc. Maria Iwaszkiewicz opisuje czerwone menu na Stawiskach: chłodnik, pieczone kurczęta, ziemniaki z koperkiem, sałata ze śmietaną. Polski letni obiad w ogrodzie. Lata 60.

Od lat 90. dobra z całego świata zaczęły spływać przez cały rok, a potem być także uprawiane u nas. Teraz w każdej biedronce jest spory wybór sałat, trafiły, można

powiedzieć, pod strzechy. Każdy dom ma własny styl, który tworzą dodatki i oczywiście wybór liści, ale clou wszystkiego jest sos. Podstawą to oliwa, ocet i sól. O smaku sosu decyduje świeżość oliwy, ewentualny dodatek czosnku, musztardy, miodu, ziół. U przyjaciół jada się sałatę z sosem słodkawym, oni krzywią się na nasz słony i w dodatku z czosnkiem. Jedni lubią ocet balsamiczny, inni cytrynę. Moja przyjaciółka Włoszka uważa, że oliwa tylko z oliwek ma zbyt intensywny smak i miesza ją z olejem słonecznikowym. Niezależnie od tego, jaki smak sosu wybieramy, używanie gotowca z torebki lub butelki uważam za kulinarny analfabetyzm. Niestety to świństwo podają w różnych barach sałatkowych. Niedawno od Polki, studentki, która pracuje w dobrej restauracji w Paryżu, dowiedziałam się również, że i tam sos do sałaty jest produktem gotowym, kupowanym przez gastronomię hurtowo. Nie zmienia to jednak faktu, że we francuskich restauracjach mieszana sałata z tuńczykiem, anchois, gotowanymi jajkami, pomidorami, fasolką szparagową jest niezawodnym daniem lanczowym dla turystów. „Salade composee”, zawsze jednakowo smaczna, nawet jeśli z gotowym sosem. ☺☺



FOT. JAN BELEC/VEST NEWS

TEST „DO RZECZY”: OCZYSZCZACZ WOODPECKER PLASMA AIR PURIFIER

Możliwość likwidacji bakterii i wirusów (w tym koronawirusa wywołującego COVID-19), brak konieczności wymiany filtrów, łatwość obsługi i nowoczesny design – to najważniejsze zalety nowoczesnego oczyszczacza powietrza, który zamiast filtrów do sterylizacji powietrza w pomieszczeniach wykorzystuje plazmę wysokociśnieniową.

Testowany model Q7 waży niemal 20 kg i zajmuje sporo miejsca w pomieszczeniu (wymiarzy tego urządzenia to 76 x 38 x 38 cm). Na szczęście nowoczesny, minimalistyczny design sprawia, że oczyszczacz nie rzuca się zbyt w oczy. Według producenta to wielkie urządzenie potrafi efektywnie oczyszczać pomieszczenia o powierzchni do 110 mkw. Mniejszy i niemal o połowę lżejszy model Q3 przeznaczony jest do powierzchni od 30 do 40 mkw.

Urządzenie przeznaczone jest do sterylizacji pomieszczeń, w tym np. gabinetów lekarskich, salonów fryzjerskich, restauracji, klubów fitness, a także otwartych biurowych przestrzeni. Producent zapewnia, że Woodpecker Plasma Air Purifier nie tylko potrafi skutecznie poradzić sobie z kurzem, roztocami, pyłkami czy oparami chemicznymi, lecz także jest bardzo efektywny w eliminowaniu bakterii oraz wirusów (w tym SARS-CoV-2). Niszczenie wirusów i bakterii ma następować dzięki wykorzystaniu pola elektrycznego o wartości od 20 do 40 tys. woltów.



Według producenta wskaźnik eliminacji wirusa grypy H3N2 w ciągu jednej godziny wynosi 99,9 proc. Wszystko dzięki temu, że

testowany oczyszczacz Woodpecker potrafi filtrować cząsteczki o rozmiarze wynoszącym nawet 0,0146 um.

Niestety, w redakcyjnych warunkach nie możemy sprawdzić zapewnień o skuteczności urządzenia w walce z wirusami i bakteriami. Urządzenie poprawnie wskazuje jednak wartość zanieczyszczenia PM 2.5. Plusem tego oczyszczacza jest też łatwość obsługi. Lewym przyciskiem można rozjaśnić lub przygasić diody wyświetlane na panelu kontrolnym, a prawym zwiększyć lub zmniejszyć obroty, na których działa wiatrak (do wyboru jest pięć prędkości: od 300 do 800 obrotów na minutę).

Plusem jest też brak konieczności wymiany filtrów, co w przypadku tradycyjnych oczyszczaczy potrafi generować spore koszty. W tym modelu powinno wystarczyć regularne czyszczenie elektrody pod bieżącą wodą.

Wady? Urządzenie działa niemal bezgłośnie tylko na najniższej prędkości. Na wyższych jest już mocno słyszalne, a na najwyższym „biegu” hałasuje na tyle mocno, że może to utrudniać prowadzenie rozmów. Zbyt krótki kabel sprawia, że podłączenie urządzenia do prądu w biurze może wymagać przedłużacza.

Testowany sprzęt jest stosunkowo drogi. Za model Q3 trzeba zapłacić 3,5 tys. zł, a Q7 to wydatek ponad 6 tys. zł. ©©

Jacek Przybylski



NASTROI KAŻDY INSTRUMENT

Gra na źle nastrojonych instrumentach, zwłaszcza w blokach podczas pandemii, może być ryzykowna. Niekiedy strojenie zamawiają nawet zmęczeni brzdękaniem sąsiedzi. Na szczęście powstało urządzenie, które potrafi automatycznie nastroić wszystko: od tradycyjnej gitary poprzez gitary elektryczne aż do mandoliny i ukulele. Roadie 3 we współpracy ze smartfonem błyskawicznie stroi instrumenty, a nawet potrafi ocenić stan strun i zasugerować konieczność ich wymiany. Akumulator o pojemności 500 mAh można ładować dowolnym zasilaczem USB lub powerbankiem. Gadżet zamawiać można na Kickstarterze za 99 dol. (czyli niemal 400 zł). Pierwsze wysyłki planowane są na październik.

MIESZANA RZECZYWISTOŚĆ

Microsoft HoloLens 2 AR, które przez ostatnie 12 miesięcy mogli kupować jedynie deweloperzy oraz biznesowi partnerzy firmy Microsoft, są wreszcie dostępne dla każdego chętnego. Google rzeczywistości mieszanej, które z założenia mają kompletnie zmienić nasz świat, umożliwiają wyświetlanie szczegółowych hologramów, nakładających się na rzeczywisty obraz. Inżynier w fabryce może więc mieć cały czas przed oczyma dokładny projekt, lekarz aktualne zdjęcie rentgenowskie pacjenta. A zwiedzający muzeum historii naturalnej, patrząc na kości dinozaura, będzie mógł ujrzeć jego wizualizację z czasów, gdy ludzie rzucali w dinozaury kamieniami. Cena to 3,5 tys. dol., czyli równowartość 14 tys. zł. ©©

Jacek Przybylski



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



POD WĄS

Duma ojca

IGOR ZALEWSKI

Rok 2020 ma jednak pewne plusy. Przede wszystkim nakręcono ostatnią część „Gwiezdných wojen”, której szczęśliwie udało mi się nie obejrzeć, bo już od pewnego czasu robiło mi się niedobrze na dźwięk słów „moc” czy „Jedi”. Luke Skywalker działał podobnie jak Włodzimierz Cimoszewicz nosowo broniący demokracji w Polsce. Ale się skończyło i niech to będzie nauczka dla następnych pokoleń. Nigdy więcej ciągnięcia w nieskończoność czegoś, co dawno powinno zostać zakończone!

Oprócz gwiazdnej sagi kończy się też zdalny rok szkolny i tutaj odniosłem pewien sukces: ani razu nie włożyłem na golaś (ani nawet w piżamie) w pole widzenia nauczycieli mojego syna. Mój sukces jest jednak niczym w porównaniu z osiągnięciami Tymona. Nie wiem jak inne dzieciaki, ale ja z podziwem patrzyłem na swojego, jak radzi sobie w tej niecodziennej sytuacji. Umówmy się, że dzieci i tak tyrają w szkole. Teraz rzucono je na jeszcze głębszą wodę (to nie wyrzut, ale konstatacja). O ile młodzi raczej bez problemów i często lepiej niż nauczyciele ogarniali sprawy technologiczne, o tyle samodyscyplina i regularna praca bez ciągłego nadzoru pedagoga to było wyzwanie.

Z przyczyn ideowych (moja żona) oraz strukturalnego lenistwa (ja) w domu nie przesadzaliśmy z kontrolowaniem nauki naszego syna. On ma 10 lat i czasem wydaje się duży, zwłaszcza

kiedy się mądrzy, ale czasem malutki, kiedy pyta nas o hasło, gdy jest sam w domu i ma nam otworzyć drzwi. Czas zdalnej nauki był dla niego pierwszą poważniejszą próbą w życiu, w której musiał sobie poradzić prawie zupełnie sam, z naszym minimalnym wsparciem. I dał radę, chociaż momentami było mu ciężko, a PlayStation kusiło niczym mnie sklep monopolowy.

W dość pokrętny sposób rzeczywistość przypominała mi o jednym z najprzejmniejszych stanów, jakie można przeżyć. Ten stan to bez wątpienia duma z własnego dziecka. A przy okazji uświadomiłem sobie, że ta duma bierze się dziś z zadziwiających powodów. Otóż już kilkakrotnie pęczniałem z dumy, kiedy w różnych zakątkach świata zupełnie obcy ludzie chwalili naszego syna za to, że... czyta książkę. Czytał w knajpie czy na plaży, a ludzie traktowali to jako niezwykle zjawisko. Najpierw pomyślałem, że są stuknięci. Albo że to pedofile. – To takie rzadkie, że dziecko siedzi z książką, a nie telefonem – wykrzyknęła mi pewna gruba Kanadyjka w Meksyku, a ja na wszelki wypadek mocno przytuliłem Tymona, żeby go uchronić przed dziwaczką.

Potem rozejrzałem się jednak trochę wokół siebie i zrozumiałem, że to Tymon jest dziwakiem. A dokładnie uświadomiło mi to pytanie, które zadał mu pewien kolega. Oto ono: „Dlaczego czytasz? Masz popsuty telefon?”. ©©



JAK MAKIEM ZASIAŁ

Żaby w kotle

MARCIN MAKOWSKI

Wpublicystyce politycznej jak mantrę powtarza się anegdotę o zabie gotowanej w kotle. Gdy wrzuci się ją do wrzątku – wyskoczy poparzona. Natomiast jeśli umieści się ją w zimnej wodzie, a temperaturę stopniowo podniesie, to zmiennocieplny płaz przegapi moment, w którym może uciec, i po prostu się ugotuje. Dlaczego o tym piszę? Bo cały rok 2020 wyglądał jak oglądany z kotła, z którego być może nie da się już wyskoczyć. Mieszą się w nim porządki, definicje, słowa i wartości.

W ciągu sześciu miesięcy przeszliśmy z niedowierzania w zagrożenie pandemiczne do globalnej paniki, zamykania lasów, wlepiania 10-tysięcznych mandatów za siedzenie na ławce w parku i z powrotem do quasi-normalnego życia, w którym urzęda się wesela, chodzi do knajp i na siłownię. Przy właściwie tych samych, jeśli nie gorszych, statystykach zakażeń koperty do głosowania korespondencyjnego przestały być zabójcze. Masowe wiece kandydatów na prezydenta nie stanowią już ryzyka sanitarnego. Maseczki można radośnie zdjąć, zając się grillowaniem i wycieczkami rowerowymi.

W jeszcze krótszym czasie dowiedzieliśmy się, że żadnej logiki nie należy szukać również w protestach na tle rasowym. Tutaj świeckim świętym – przedstawionym na pogrzebie z aureolą i ze skrzydłami anioła – obwołuje się człowieka, który spędził kilka lat w więzieniu, był wielokrotnie aresztowany za handel narkotykami oraz

za napad i zagrożenie bronią ciężarnej kobiecie. „Nie był aniołem, jak każdy miał w życiu wzloty i upadki” – napisze o George’u Floydzie TVN24. Amerykańskie liberalne media obwieszczają natomiast, że zamieszki i masowe rabowania sklepów „to nie przemoc”. To rodzaj wyładowania nawarstwiającej się frustracji wynikającej z ucisku i nierówności. W Wielkiej Brytanii ktoś napisze „rasista” na pomniku Churchilla, za oceanem strąci z piedestału Kolumba.

Równocześnie wytłumaczy się nam – o czym w Polsce najgłośniejszy krzyczy partia Razem – że Antifa to nie skrajnie lewicowy i anarzystyczny ruch społeczny, ale „antyfaszizm”. I że należeli do niej m.in. Pilecki, Sendlerowa, Baczyński czy żołnierze Września. Z tego powodu, jeśli ktoś jest przeciw Antifie, to „popiera nacjonalistyczne i zbrodnicze ideologie”.

W ciągu tego roku okaże się również, że nie można wyrazić poglądu głoszącego, iż część postulatów środowisk LGBT nosi zmanioną ideologię, i jak z każdym światopoglądem również z tym można polemizować na uczciwych zasadach. Takie stwierdzenie zostanie określone jako „dehumanizowanie”, a skoro tak, to odmówi się mu obecności w przestrzeni medialnej. Jednakże o taką przestrzeń będą walczyć ludzie, którzy odmawiają homoseksualistom prawa do bycia równym i normalnym. I na koniec to oni uczynią z siebie ofiary cenzury. Czy mamy w sobie jeszcze na tyle instynktu, żeby usłyszeć, gdy woda zacznie się gotować? ©©

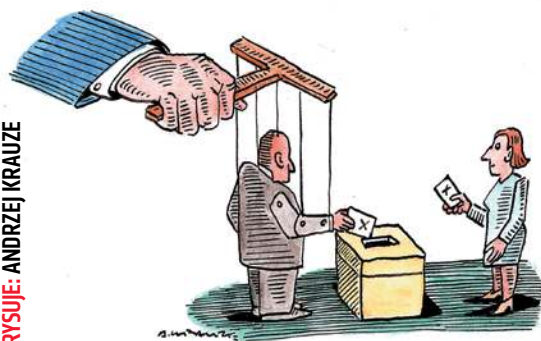
Z INNEJ PERSPEKTYWY

Od pandemii do panoptikum



ANDRZEJ NOWAK

Co to jest pandemia – wiemy, choć spieramy się o jej skalę, źródło i znaczenie. Zastanawiamy się, jak zostanie wykorzystana przez „trzymających władzę” w poszczególnych imperiach? Kierunek odpowiedzi wskazuje rzadziej dziś używane słowo: „panoptikum”. Stosowano je dawniej dla określenia gabinetu osobliwości lub figur woskowych. Polecam tutaj jedną z takich osobliwości, częściowo z wosku. Oto w University College of London podziwiać można wystawione w szklanej gablocie ciało Jeremy’ego Benthama (1747–1832). Przywołuję truchło angielskiego filozofa, bo wydaje mi się nie mniej niż Marks i Lenin ważny dla zrozumienia tego, co nam szykują podniecone okazją pandemii ośrodki władzy nad pojęciami i emocjami.



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Bentham, wiadomo – twórca utilitaryzmu. Marzył całe życie o stworzeniu pannomionu – uniwersalnego kodeksu praw dla całej ludzkości. Człowiek, zredukowany do katalogu 12 bólów i 14 przyjemności, miał być tymi prawami regulowany w taki sposób, by zapewnić maksimum przyjemności i minimum bólu jak największej liczbie jednostek. Każde działanie powinno być oceniane w owej klasyfikacji na podstawie dającego się obliczyć „happiness factor”

(współczynnik szczęścia – coś jak w zreformowanej nauce „impact factor”). Tak obliczalne szczęście ludzkości wymaga wyeliminowania Boga, religii i związanej z tymi pojęciami moralności, kultury, wyobraźni. Bentham jest konsekwentny: skoro liczy się tylko ból, to człowiek nie powinien mieć innych praw niż zwierzęta. W pewnych przypadkach powinien mieć mniej praw niż zwierzęta. Ruch wyzwolenia zwierząt i jednocześnie uzasadnienie zabijania już nie tylko nienarodzonych dzieci, lecz także nawet narodzonych, a także ruch na rzecz tzw. eutanazji – wszystkie te zjawiska znajdują swoje uzasadnienie u Benthama.

Filozof miał brata, Samuela. Wspólnie stworzyli projekt doskonałego nadzoru nad niedoskonałym człowieczeństwem. Nazwali go: „Panopticon”. Stworzyli go na kresach Rzeczypospolitej, w Krzyżewie (dziś na wschodniej granicy Białorusi), zajętych właśnie w I rozbiórce przez Katarzynę II. Samuel Bentham zatrudnił się, tak jak wielu entuzjastów reformowania świata, w imperialnej Rosji. Krzyżew imperatorowa podarowała swojemu faworytowi, księciu Potiomkinowi. Dla niego właśnie angielski inżynier wymyślił jesienią 1786 r. nową fabrykę – budynek z takim systemem korytarzy i luster, by móc obserwować z jednego miejsca wszystkich zatrudnionych w nim ludzi. Nie chodziło o dyscyplinowanie prostych chłopów z okolicy, ale o nadzorowanie sprowadzonych z Anglii nadzorców. Mieć kontrolę nad każdym ruchem tych, którzy mają odgrywać rolę „inteligencji”, „fachowców”, „elity”. To jest idea wyjściowa „Panopticonu”.

Jeremy, który odwiedził brata w roku 1787, był zafascynowany. Podjął jego pomysł i zamienił w projekt idealnego więzienia,

pod tą samą nazwą. Był gotów rozwinąć inne aplikacje tej samej idei: poza więzieniami i fabrykami także dla szpitali i szkół. Widzieć każdego i nadzorować, bez przerwy. Inspektor więzienia, odgrywający tę rolę, mógłby, według utilitarnej koncepcji, łączyć przyjemne z pożytecznym: zapraszać gości do swojej galerii, z której można by podziwiać, co robią nadzorowani, w dowolnym momencie. Wielki Brat patrzy, kontroluje i dostarcza rozrywki. Unia doskonałego nadzoru z ideałem społecznej przejrzystości miała uczynić życie szczęśliwym i bezpiecznym.

Potiomkin sprzedał Krzyżew w 1787 r. i ruszył przygotowywać drogę triumfalnego przejazdu Katarzyny II z Petersburga nad Morze Czarne. Samuel Bentham musiał się energicznie zająć budową potiomkinowskich wiosek wzdłuż trasy. Doskonałe więzienie według modelu braci B., choć prób podejmowano wiele, m.in. w USA i na Kubie, skonstruowano dopiero z użyciem elektronicznych bransoletek nadzorczych w Amsterdamie, stolicy postnowoczesnej użyteczności i przyjemności (narkotyki + eutanazja), w roku 2006.

Teraz widzimy, jak lęk przed pandemią prowadzi do poszerzenia tego eksperymentu poza więzienia, szkoły i fabryki. Słyszymy, że trzeba się poddawać doskonałej opiece/kontroli, od zdrowia poczynając, najlepiej permanentnej, bo inaczej zginiemy. Mamy być jednocześnie leczeni z „mowy nienawiści”. Musi być także nadzorowana nasza pamięć, żeby nie była „zła”. Tym zajmują się już wytrenowani przedstawiciele akademickich, intelektualnych elit, fachowcy najważniejszych korporacji politycznie poprawnej myśli. Wtedy odnajdziemy swoje miejsce w bezpiecznej, szklanej klatce – ekspozycji w muzeum osobliwości. ©

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

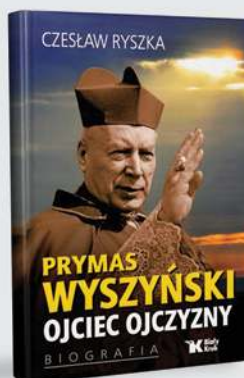
TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY”**

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA
I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**W PREZENCIE
KSIĄŻKA:**

**CZESŁAW RYSZKA
„PRYMAS WYSZYŃSKI.
OJCIEC OJCZYZNY”**

~~756~~ zł



283,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
473 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

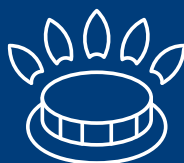
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10, 539 953 631 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Jesteśmy blisko Ciebie



**Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków**



**Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych**



DOBRA ENERGIA
TANI GAZ